

Profesor Butrym



JERZY ŻUŁAWSKI

Profesor Butrym

Jerzy Żuławski. 1874–1915

Ile wojna zgasiła talentów, które kiedyś zakwitłyby może wspaniałym kwiatem na niwie poezji polskiej — tego nie będziemy wiedzieli nigdy. Zostanie to na zawsze tajemnicą. Nie zdradzą nam jej samotne, milczące mogiły, rozrzucone na szerokiej przestrzeni ziem polskich od Karpat aż po błota poleskie.

Wiemy jednak, że wojna trzebiła nie tylko ten młody, nieznan nam bliżej, zagajnik literatury. Wdarła się ona także i do starszego jej lasu i obaliła tam bujne drzewo męskiej, dojrzałej twórczości Jerzego Żuławskiego.

Tragiczny zgon poety, zmarłego w sierpniu 1915 roku, w austriackim szpitalu dla tyfoidalnych w Dębicy, w Galicji Zachodniej, szerokim rozniósł się echem i przygnębiające wywarł wrażenie wśród wszystkich, którzy znali jego bujną, pełną ochoty do życia naturę.

Mimo woli wyrwały się wówczas na usta słowa Juliusza:

„Gdyby przynajmniej przy rycerskiej śpiewce
Karabin jemu pod głowę żołnierski,
Gdyby miecz w sercu lub zabójcza kula!
Lecz nie! — szpitalne łożo i koszula...”¹

W tym „łożu szpitalnym” tkwi bodaj największa tragedia życia i śmierci Żuławskiego. Nie wchodzimy tu w ocenę jego działalności, jako uczestnika Legionów galicyjskich. Wystarcza nam fakt, że pragnął, „jak dziad i ojciec”, dać krew ojczyźnie. Tak przynajmniej pisał w porywie szczerego i głębokiego uczucia w pożegnalnym wierszu do swoich synów. Los zrzucił, że dał tylko — im i ojczyźnie — przedwczesną śmierć i żałobę.

W poezji polskiej wieku XX ma Żuławski swoją własną kartę. Zaczął pisać młodo, jeszcze jako student uniwersytetu berneńskiego w Szwajcarii, gdzie u podnóża Alp, zapatrzoncy w ich śnieżne szczyty, zdobywał doktorat filozoficzny, przykładając się szczególnie do studiów nad Spinozą.

Spinoza też wywarł na niego niewątpliwy i głęboki wpływ. Od niego przejął ów „eudajmonizm etyczny”, który tak doskonale harmonizował z jego naturą, żądną pełni życia i szczęścia. Cała późniejsza filozofia Żuławskiego, na której podstawach ukształtował się jego stosunek do najżywotniejszych osobistych i ogólnych zagadnień, łączy się niemal bezpośrednio z pojęciem Spinozy o potędze ducha, która prowadzi do wolności, przez wolność do cnoty, a przez cnotę, jako wynik wolności, do szczęścia.

Idealem jego, podobnie jak ideałem Spinozy, był „człowiek zdrowy, wesoły, swobodny, szczęśliwy, wrażliwy, choć niczego się nie bojący, poddany cały-rządom rozumu i gorącą miłością Boga rozpalony”.

Kiedy w pracy swojej o Spinozie (*Przed zwierciadłem prawdy* str. 187 i nast.) mówi: „Pogoda, spokój, siła — to trzy błogosławieństwa, które Spinoza światu niesie; nad ideałem jego, nad ludzkością, którą sobie wymarzył, pali się jedna ogromna miłość. do Boga, która jest miłością wszechświata i miłością życia” — mówi to, jakby o sobie i od siebie.

W tych określeniach jest też klucz do zrozumienia całej jego indywidualności.

¹Gdyby przynajmniej przy rycerskiej śpiewce... — fragment wiersza Juliusza Słowackiego pt. *Pogrzeb kapitana Meyznera*. [przypis edytorski]

„Miłość wszechświata i miłość życia” stanowiły treść jego duszy, a co za tym idzie, przejęty również od Spinozy dynamiczny *panteizm*², według którego jedyną substancją, jedynym bezwarunkowym bytem jest nieskończona i identyczna w sobie energia, a świat jest tylko jej objawem — stanowił oś zasadniczą jego myśli badawczej, chciwej poznania, nie zasypiającej nigdy, nawet na różach poezji.

Stąd w sztuce jego łączą się dwa, pozornie zwalczające się nawzajem, pierwiastki — czysty, na wskroś artystyczny pierwiastek marzenia z pierwiastkiem intelektualnym, który przy pomocy określonych, pilnie przestrzeganych dyscyplin umysłowych trzymał na wodzy to, co pospolicie nazywamy „natchnieniem poetyckim”. W „natchnieniu”, które wybucha gejzerami z podświadomych pokładów duszy ludzkiej, Żułowski nie tworzył nigdy. Jego sztuka była świadomemu dążeniem i świadomą pracą człowieka o kulturze rozległej i wysokiej, wypowiadającego kunsztownie istotę swoich przeżyć i niemniej kunsztownie ścigającego swoją tęsknotę, która go unosiła „ponad życie”

Zbliża go to raczej do typu literata w znaczeniu zachodnioeuropejskim, niż do typu poety, jaki przekazała nam do dzisiaj jeszcze żywa w Polsce tradycja romantycznego pojmowania sztuki i posłannictwa artysty.

Nietrudno stwierdzić, że cechę pełnej i kontrolowanej mniej lub więcej surowo, ale zawsze kontrolowanej świadomości twórczej noszą na sobie nawet młodzieńcze poezje autora *Erosa i Psyche*.

Przelewa się w nich tu i owdzie war uczucia, pali się siedmioma swymi barwami tęcza lotnego jak obłok marzenia, ale jednocześnie u podstaw łuku każdej z tych tęczy widać szary „granit” intelektu, stojącego, jak sztyldwach, na straży poezji, aby nałożyć jej swoje wędzidło, gdyby zaszła tego potrzeba.

Potrzeby tej jednak nie było nigdy. Żułowski nie zapędził się na „bezdroża” ani razu w okresie dwudziestoletnim swojej twórczości.

W wierszach lirycznych, których zostawił nam cztery obszerne tomy, w powieściach fantastycznych (*Na srebrnym globie, Zwycięzca, Stara Ziemia*), w powieściach współczesnych (*Laus feminae*), w opowiadaniach i nowelach (*Kuszenie szatana, Bajka o człowieku szczęśliwym*), wreszcie w dramacie, który go najsilniej ku sobie pociągnął, jako rodzaj sztuki, i olśnił możliwością twórczą przekształcenia rodzących się w mózgu obrazów i słów na plastyczną rzeczywistość — potrafił zawsze utrzymać na wodzy marzenie i sprząć je z postulatami krytycznego umysłu.

Rzecz znamienna i wysoce charakterystyczna, że nawet w „nadziemskich” swoich powieściach nie odbiegł zbyt daleko od „ziemi”, że potrafił swojej fantazji księżycowej nadać cechy obronnej prawdy, której nigdy uczony specjalista nie będzie mógł w ogólnej bryle zakwestionować.

W szeregu swoich dramatów, zaczynając od *Dyktatora* poprzez *Wianek mirtowy, Jolę*, najpopularniejsze ze wszystkich dzieł swoich *Erosa i Psyche, Grę, Donnę Aluikę* (*La Bestia*), *Za cenę łez, Koniec Mesjasza* i niewystawiony jeszcze dotąd na żadnej scenie polskiej *Gród słońca*³ — dążył poeta konsekwentnie rozmaitymi drogami i przy pomocy różnych środków zawsze do jednego celu — do najpełniejszego wypowiedzenia swojej idei „pełnego życia” i swojej tęsknoty do bohaterstwa, stanowiącej jeden z najwyższych wyrazów jego poezji.

„Ojczy!” mówi bohater w *Grodzie Słońca*:

ja nazbyt kocham śmiech, swobodę,
życie i słońce i siły swe młode,
co szczęścia dreszczem idą przez me kości,
abym kupować miał za cenę lęku
władztwo! Ja raczej z tym samym uśmiechem,
którym władałem, przyjmę śmierć, niż grzechem
trwogi się skalam...

²*panteizm* — pogląd filozoficzny, według którego bóg i wszechświat stanowią jedność bytową. [przypis edytorski]

³*Dyktator, Wianek mirtowy, Iola, Eros i Psyche, Gra, Donna Aluica (La Bestia), Za cenę łez, Koniec Mesjasza, Gród Słońca* — dramaty autorstwa Jerzego Żuławskiego. [przypis edytorski]

A kiedy dalej w tym samym dramacie (str. 36) słyszymy płomienny wybuch żądy życia:

Życ będe! żyć będe!
Wszak mam tu jeszcze wiele do roboty.
Mój ojczel! myśli swych, zamiarów zloty
pas taki jasny, taki barwny przęde,
i im się więcej moich marzeń wciela,
tym więcej pragnę! Chciałbym, by na świecie
słońce władało, by człek był, jak dziecię,
a z życia nie znał nic, oprócz wesela...

— to zdaje nam się, że to woła do nas bezpośrednio sam Żuławski swoim pragnieniem, swoją wolą i ochotą życia, które było w nim tak bogate, tak rozlewne, tak pełne wiary w siebie i radości.

Radość bujna szła z nim wszędzie — czy w góry, które przemierzył własnymi stopami, wdzierając się na szczyty alpejskie i tatrzańskie, czy na słoneczny brzeg francuskiej i włoskiej Rivieri, czy do Paryża i do Rzymu, gdzie pełnymi haustami pił z najczystszych źródeł kulturę renesansu, pociągającą go ku sobie tą właśnie „pełnią i bogactwem życia”, które szumiało w jego młodych tętnicach, czy wreszcie do Warszawy, gdzie zawsze przywoził z sobą nie tylko reminiscencje zakopiańskich „wczasów letnich” i echa długich z przyjaciółmi rozmów „na werandzie u Płonki”, ale i swobodny oddech z szerokiego świata, ów powiew „europeizmu”, który go czynił równouprawnionym obywatelem wszystkich kultur.

Wykształceniem wżyty w Europę, mocno związany z nią przez swoje studia humanistyczne, pogodzony z życiem, wolny od jakichkolwiek, drobnych nawet śladów przesączających się od wschodu do literatury polskiej metod „samoudręczenia, zdrowy od pnia, silny, trzeźwy i śmiały, należał Żuławski do najbardziej zharmonizowanych wewnętrznie ustrojów pisarskich doby ostatniej. Nie było w nim rozdźwięków, chimer, skowytów duszy, nade wszystko jednak nie było elementu bezsilnej skargi i łamania rąk.

Naturę miał zdobywczą.

Tragedia przeznaczenia chciała, aby wbrew tej naturze, wbrew tej bujnej sile życia, która w nim tkwiła, legł na łożu szpitalnym w chwili wielkiego przełomu dziejowego, z oczyma chciwie wpatrzonymi w jutro.

Żył krótko. Za krótko, aby mógł wypowiedzieć całego siebie. Urodzony w r. 1874, padł na progu życia męskiego, ledwie go przekroczywszy, ledwie spojrzawszy w oczy zagadnieniom, które wiek dojrzały przynosi z sobą polskiemu artyście.

Pozostaje jednak po nim w literaturze ślad trwały i ślad własny, którego czas nie zatrze.

Na imię mu — samodzielny wysiłek twórczy.

Z. Dębicki⁴

I

Z ciemnego rogu dużego salonu, popod pierzaste liście palmy, zwieszające się z wazonu, patrzył profesor Butrym na żonę.

Siedziała przed fortepianem. Skończyła przed chwilą grać; lewą, pieszczoną rękę, z dużym, starym turkusem w pierścieniu, trzymała jeszcze na klawiaturze, uśmiechniętą twarzą zwracała się do kilku stojących obok mężczyzn. Mówili do niej wszyscy, jeden przez drugiego, drocząc się nawzajem i przekomarzając. Profesor widział ich wszystkich, jak przez mgłę, raczej odczuwał tylko ich obecność, jakby dopełnienie obrazu, który miał przed sobą. Nie słyszał i nie słuchał, co mówią, cieszył się tylko, że są, że śmieją się i rozmawiają, bo dzięki temu patrzeć mógł tak zdała na delikatny, jakby rylcem w twardej kamei cięty profil swej żony, widzieć, jak w uśmiechu drga radością życia każdy nerw;

⁴Dębicki, *Zdzisław* (1871–1931) — krytyk literacki, pamiętnikarz, felietonista i poeta okresu Młodej Polski. [przypis edytorski]

jej twarzy, jak błyszczą oczy jej o przedziwnym kolorze morskiej wody, w której ponad zielenią wzgórz odbija się błękitne niebo.

Opuścił nieco powieki na znużone jaskrawym światłem oczy i spod spuszczonej rzęs łowił iskierki płowego złota, sypiące się z jej falistych włosów przy każdym głowy poruszeniu, patrzył, jak w miarę uśmiechu jawił się na jej prawym policzku mały dołeczek, ukośnie padającym światłem fortepianowego kinkietu znaczony i znikał znów, kiedy z szeroko rozwartymi oczyma i rozchylonymi nieco usty słuchała niby poważnie jakichś mówionych do siebie słów...

— Zośka, Zośka — szeptał z cichym, dziecięcym niemal roztkliwieniem.

Uderzył go śmiech głośniejszy. Pani Zośka wstała, mężczyźni rozstąpili się nieco, otwierając jej wolne przejście w głąb salonu. Ale ona nie szła. Widział ją smukłą i wysoką, z męskimi trochę ramionami i przedziwnie kobiecą, miękką, szlachetnie wygiętą linią grzbietu i bioder⁵. Powłóczytą suknią z czarnego aksamitu iskrzyła się na niej świetlnym pyłem, z żyrandolu i lamp padającym.

Zwróciła głowę.

Błysnęła mu na moment jej twarz wprost widziana o brutalnie rozwiniętych kościach szczękowych, wąskich ustach i banalnym, okrągłym czole. Wzrok jej chłodny, roztargniony, nie widząc go, przesunął się po liściach stojącej obok palmy i zgasł gdzieś w czarnym prostokącie osłoniętego ciężką firanką okna.

Przeraził się, jakby nagle po raz pierwszy ujrzał tę kobietę, z którą żył już przecież sześć czy siedem lat... Spuścił na moment oczy. Gdy je znów wznosił, śmiała się już, odpowiadając coś jednemu ze stojących wokół niej mężczyzn. Profesor teraz dopiero zwrócił na nich uwagę. Znał ich wszystkich. Był między nimi wysoki, smukły, poprawnego dżentelmena udający prawnik, który przed paru laty jeszcze nosił za krótkie, na kolanach wygniecione spodnie i wytarty płaszcz narzucał na ramiona. Obecnie, ubrany z wyszukaną starannością, z monoklem w oku, który zrzucał wciąż nerwowym ruchem, i z gładko wygoloną twarzą, niepozwalającą poznać właściwego jego wieku, pochyliwszy cokolwiek małą głowę, mówił właśnie coś do pani Zośki, i patrząc na nią nieco z góry, uśmiechał się dziwnie na wpół dobrotliwym, na wpół szyderym grymasem ust.

Butrymowa, cofając się z lekka wstecz⁶ ramionami, patrzyła nań z uśmiechem oczyma szeroko rozwartymi, dziecięcymi, pełnymi zdumienia i ciekawości. Bródkę subtelną wyciągnęła naprzód, ruchem z przyzwyczajenia już mimowolnym, aby nadać szyi linię doskonałą i ukryć równocześnie zbyt silnie rozwinięte, mięśnie żuchw. Profesor doznał na chwilę wrażenia, że widzi ją pozującą do jakiegoś portretu czy fotografii i poprzez maskę udanego zajęcia na twarzy spostrzega jej nudę i roztargnienie. Poruszył się, jakby chciał powstać i podejść ku niej, ale ogarnęło go znowu smutne onieśmienie. Wiedział, że spojrzy na niego z tym samym uśmiechem, tymi samymi dziecięco zdumionymi oczyma i z tym samym wewnętrznym roztargnieniem, nie czując bynajmniej, że zbliżył się do niej ktoś bliski, drogi, ktoś, kogo by chciała w tej chwili mieć przy sobie.

Spoza pleców adwokata wysunął się teraz człowiek młody o doskonałej apolińskiej budowie, z ponętymi, istic kobiecymi ustami w wygolonej twarzy. Poza tym szlachetna, spokojna męskość biła z całej jego postaci, którą szpeciła jeno przedwcześnie pojawiająca się nad czołem łysina. Butrym poznał Śniegockiego, młodszego kolegę swego z uniwersyteckiej katedry, niedawno przybyłego z zagranicy fizjologa i uśmiechnął się, ponieważ go lubił szczerze i serdecznie. A przy tym zabawiło go to, co zobaczył. Adwokat, prym dotąd w małym kółku dzierżący, skwaśniał jakoś momentalnie. Pewny siebie i troszeczkę impertynencki uśmiech nie zniknął wprawdzie z jego warg, ale zastygł i jakby zamarzał, przemieniając się na jakiś grymas nerwowy i niecierpliwy. Ruchem coraz częstszym władał i wyrzucał szkła z oka — nonszalancja jego stawała się coraz bardziej sztuczną i nienaturalną. Znać było, że jest zniechęcony i dotknięty, że ktoś w tej chwili osobą swą żywiej zajął towarzystwo niż on — i ma ochotę odejść, nie mogąc się tylko zdecydować na wybór momentu właściwego, aby, odchodząc, dać uczuć dość silnie swój brak.

⁵biodr — dziś poprawnie: „bioder”. [przypis edytorski]

⁶cofając się z lekka wstecz — konstrukcja ta dziś uznana by była za błędną (pleonazm); poprawnie: cofając się z lekka ramionami. [przypis edytorski]

Śniegocki jednak nie spostrzegł tego lub nie chciał spostrzec. Z odrobiną przyjacielskiej poufałości nachylił się ku pani Zośce i zaczął jej mówić coś naprawdę zabawnego, gdyż z nagłym i szczerym ożywieniem pojrzała⁷ po sali, jakby szukając kogoś, o kim jej opowiadano, a potem, nie pożegnawszy nawet skinieniem głowy towarzystwa, pofrunęła po parkiecie, unosząc lewą ręką w żywym ruchu przeszkadzający jej tren czarnej, aksamitnej sukni i sypiąc z jasnych, falistych włosów złotymi iskrami.

— Ty jednak jesteś naprawdę szczęśliwy!

Butrym teraz dopiero zauważył, że na małej, ukrytej poza palmą kanapce siedzi obok niego tegi człowiek z silnymi szklami na wylupiastych nieco oczach. Dłonie z przykrótkimi palcami wsparł na krótkich, szeroko z powodu znacznego brzucha rozstawionych kolanach i patrzył przez grube okulary za nienacką w głębi salonu panią Butrymową.

— Ach, to ty jesteś...

— Tak, tak, moje złoto. I zazdroszczę ci.

Butrym zaśmiał się, nie wiadomo, dlaczego.

— Dajże spokój, Władku. Gotów się jestem zaniepokoić!

Tłuszcioch machnął ręką z komiczną rezygnacją.

— Kto jak kto, ale ty możesz być zupełnie spokojnym. Pani Zośka to szczerze złoto. Nie każdy tak trafi jak ty trafiłeś.

Butrym wiedział, że Władysław Krasołucki, pan niegdyś znacznych na Ukrainie majątkości, a obecnie już tylko lekarz wzięty i znany, choć niezbyt lubiany z powodu wyniosłego i uszczypliwego usposobienia, był od lat wielu separowany z żoną, a nie mogąc uzyskać pełnego rozwodu, na próżno wdychał do powtórnego małżeństwa, do którego, jak mawiał, dojrzał dopiero teraz, minawszy pięćdziesiątkę. Zaśmiał się, ponieważ wiedział również, że Krasołucki, wdychając do „ciszy domowego ogniska”, życie prowadzi dość szalone i, mimo lat, nie gardził licznymi stosunkami, wyrobiwszy sobie nawet w tym względzie opinię bardzo szczęśliwego, względnie „niebezpiecznego” człowieka.

Lekarz tymczasem klasnął palcami na przechodzącego lokaja.

— Mój kochanku, daj nam tu jaką butelczynę szampańskiego. O, tu postaw, na stoliku pod palmą...

Wychylił szklankę i zaczął filozofować.

— Ot, kobiety. Zdaje im się Bóg wie co. Każą się czcić, uwielbiać, na rękach nosić, a przynajmniej już złotem opłacać za tę śmieszna drobnostkę, że się nam pozwalają kochać. Wszystko to diabła warto. Jeśli się już komu wdzięczność za kochanie należy, to chyba nam, mężczyznom, bo my byśmy się bardzo dobrze bez tej całej parady mogli obejść. Czyż nie?

Spostrzegł, że się Butrym uśmiecha.

— No, no, nie potrzebujesz się śmiać. Nie mówię naturalnie o fizjologicznej stronie tak zwanej miłości. To jest konieczność natury i to co innego. Ale te wszystkie idealności i poświęcenia są przecież zbytkiem lekkomyślnym i karygodnym. Zastanów się tylko, co to z ludzi robi. Wszak znasz Turskiego?

Profesor skinął głową w milczeniu.

— A widzisz. Przecie to człowiek stracony. Wrócił po dziesięciu latach z Azji, jak osioł złotem obładowany i co mu z tego. Chciał się niby wyzwolić, a wybudował teatr ostatecznie dla księżnej Helenki, topi pieniądze i robi właściwie wszystko, co ona mu podyktuje...

— Tak, ale cóż to ma do rzeczy?

— Tak, nic. Chciałem tylko powiedzieć, że nie każdemu się tak uda jak tobie. W żonie masz nie tylko kobietę, ale towarzysza, przyjaciela, duszę bratnią, która z tobą czuje i myśli.

— Ależ mój drogi, mówiłeś przecież przed chwilą, że wszystkie te idealności...

Krasołucki posmutniał.

— Ech, tak to się mówi. Przyznam ci się, że to... kwaśne winogrona tak mnie rozkwaśniły... Starzeję się, a nie mam domu. Naprawdę uchodzą oboje powszechnie za rzadki przykład szczęśliwego małżeństwa...

Urwał, a potem spytał niespodziewanie:

⁷pojrzała — dziś raczej: rozejrzała się. [przypis edytorski]

— Co robisz dzisiaj wieczorem?
— Wszakże wieczór już jest! — zaśmiał się Butrym.
— No tak, ale potem, gdy odprowadzisz żonę do domu...
— Będzie już późno. Przejrzę notatki na jutrzejszy wykład i pójdę spać.
— Pójdź ze mną do kawiarni... — Wymienił nazwę niedawno otwartego nocnego lokalu. — Jest parę tancerek naprawdę nadzwyczajnych... Możemy się zabawić doskonale.

— Czyż cię to bawi rzeczywiście?

— Moje złoto, i cóż mam robić? Co prawda to szkodzi mi nawet, zwłaszcza, że piję się zwykle dosyć dużo. Nie jestem już z sercem w zupełnym porządku. Ale ostatecznie spotka się kilku ludzi... Wszystko jedno zresztą!

— Więc na co? Po co?

Twarz Krasołuckiego osowiała, zdawało się, że się postarzał naraz o dziesięć lat.

— Nudzę się.

— Nudzę się, rozumiesz to? — powtórzył tonem bezradnej rozpacz. — I co ja mam robić przez cały dzień, mając za jedyne towarzystwo mego służącego? Przyjmuję chorych i śmieję się z tego, bo przecież w całą tę medycynę naszą nie wierzę, a przy tym wcale na cyrulika nie jestem stworzony, potem czytam, potem gram trochę na fortepianie, odwiedzę kogo czasem albo idę do teatru, na koncert... Ale wszystko jest nudne, a ja nie mam domu, a wieczór jest długi, długi!... Z tymi zaś ludźmi, z którymi się schodzę, mój Boże! Przecie nikt na trzeźwo mówić nie zdoła: nazbyt są głupi!

— Więc po pijanemu! — uśmiechnął się Butrym.

— A naturalnie. Wtedy stajemy się sobie równi. Pijaństwo jest najbardziej demokratycznym wynalazkiem, jaki znam i jedynym demokratycznym i demokratyzującym wynalazkiem, który uznają.

Wionęła poprzód nimi smukła postać niewieścia z szumem lśniących pereł na czarnej fali włosów.

— Patrz, patrz! Księżna Helena! — ożywił się Krasołucki. — Wygląda zawsze jeszcze bosko. A ileż ona to będzie miała lat? Czekał... No, no, coś tam pono niewiele do czterdziestki brakuje, jeśli w ogóle brakuje jeszcze co.

— To jeszcze niewiele...

— Moje złoto, dla niej to wiele. Wiem przecie, że sobie nigdy niczego nie żałowała. Dziwię się, że ją w ogóle jeszcze przyjmują po tylu skandalach. Ale to chytra kobieta! Znalazła sobie nowy tytuł towarzyski, gdy zauważyła, że majątek po nieboszczyku księciu Hazarapelianie i piękność nie wystarczą. Artystka! Wielka artystka od dwóch lat. To tak, jakby w nową skórę wlała. Ach, widzisz? Rozmawia z twoją żoną.

— Znają się właściwie bardzo niewiele.

— Mam wrażenie, że księżna nie może pani twojej darować, że jest tu dziś pierwsza i tak otaczana... Patrz, jak się słodko uśmiecha, ręczę, że powie jej coś nader przykrego.

Butrym powstał.

— Nie sądzę — rzekł z roztargnieniem i spojrzął na zegarek. — O! Późno już jest. Spytałem się żony, czy nie zechce iść do domu.

Krasołucki podawał mu rękę, nie wstając.

— A potem w kawiarni, co? Więc do widzenia.

— Nie. Wątpię, bardzo wątpię.

— Nie? Czyż? Na godzinę, na małą godzinę.

— Znam ja te twoje godzinki — zaśmiał się profesor. — Przeciągają się zwykle do rana.

— A choćby — to cóż? Życie jest takie głupie. Ale jedną naprawdę tylko króciutko... Tylko proszę fłaszke *extra dry*⁸. Tutaj nam dali słodkie, więc trzeba splukać...

Butrymowa, widząc zbliżającego się męża, zwróciła się doń z tym samym powabnym uśmiechem, z którym rozmawiała z otaczającymi ją znów mężczyznami.

Profesor podawał niektórym z nich rękę, nie mając dotąd sposobności przywitać się z nimi.

— Czy chciałeś czego ode mnie? — zapytała go żona.

⁸*extra dry* — w odniesieniu do wina musującego: z nutą słodczy. [przypis edytorski]

— Nie. Myślałem owszem, że ty mnie może potrzebujesz...
Pani Zośka wzruszyła ramionami.
— Czy nie chcesz już iść do domu? — pytał.
— Jeśli ci na tym zależy...
— Nie, nie. Mnie bynajmniej. Ale zdawało mi się, że jesteś zmęczona...
Koło mężczyzn rozsunęło się tak, że pozostali oboje sami w pośrodku sali.
— Po co przychodzisz? — mówiła nerwowym szeptem pani Zośka, uśmiechając się wciąż nadzwyczaj uroczo. — Masz minę taką poważną i nachmurzoną, że wszyscy boją się ciebie. Patrz, spłoszyłeś całe towarzystwo.
— Przepraszam cię. Nie miałem wcale tego zamiaru.
— Tak, zamiaru nie miałeś, ale ostatecznie psujesz mi każdą zabawę, której chyba przy tobie nie mam nazbyt wiele.
— Przepraszam cię jeszcze raz i odchodzę.
— Teraz zostań. Ludzie będą myśleli, że się sprzecząmy. Podaj mi rękę i chodźmy do bufetu.
— O czym mówiłaś z księżną Hazarapelianową? — spytał, idąc obojętnie, aby przerwać milczenie.
— Jesteś dziwnie ciekawy. Nie mówiłam o niczym.
— Zdawało mi się, że byłaś zmieszana.
— Byłam zmieszana, bo zauważyłam, że patrzysz na mnie. Nie lubię, gdy mnie tak śledzisz wieczyście.
Przycisnął skrytym, porywczym ruchem jej dłoń, na ramieniu swym opartą.
— Zośka, Zośka! Patrzę na ciebie, bo cię kocham, bo mi się podobasz, bo jesteś moja!
— Cicho! Jeszcze kto posłyszycy.
— To cóż?
— Nie lubię, gdy się tak ofiarujesz ze swoją miłością małżeńską. To jest śmieszne dla ludzi, a nawet i dla nas samych. Żyjemy już prawie siedem lat ze sobą.
— Z każdym dniem kocham cię więcej!
— Tak, początkowo byłam ci dość obojętna. Teraz przyzwyczajasz się do mnie, jak do psa lub kota. W miarę, jak się starzejesz, zaczyna się u ciebie tak zwana solidna, legalna miłość małżeńska... Szkoda, że ja tego u siebie nie mogę zauważyć.
— Zośka! Nie mów. To boli.
— Nie mówię ci przecie nic nowego. Młodsza jestem od ciebie z górą o dziesięć lat i mam ochotę jeszcze żyć.
— Ale po co, po co mówić to wszystko?
— Wolałbyś, abym ci kłamała?
— Tak jest. Kłamiąc, aby mi nie zrobić przykrości, dałabyś dowód, że ci jednak chodzi o mnie cośkolwiek! A przy tym, widzisz, to mi zaraz wiadomo, co jest kłamstwem, a co prawdą.
— Ja wiem.
— Nie wiesz. Czasem, w pewnej chwili, w nastroju jakimś przypadkowym człowiek to lub owo odczuwa. Nie trzeba tego zaraz mówić, bo słowo pozostaje i cofnąć się go nie da, i pamięta się je. A nastrój przykry może minąć, zmienić się. Na cóż go utrzymywać!
Stali już przy bufecie.
— Napijesz się szklankę wina?
— Nie. Nie chcę.
— Więc może limoniady⁹? Herbaty?
— Nie chcę niczego.
— Pociągnijmy tedy przyszli tutaj?
— Zaczynałeś już jakieś wymówki, a ludzie patrzyli, chciałam więc po prostu wzroku ludzkiego uniknąć.
— Wróćmy więc na salę. Pozostawię cię tam w towarzystwie i będę czekał, aż zechcesz iść do domu.
— Możemy iść zaraz do domu. I tak mi humor zepsułeś.
— Zostań, proszę cię. Zostań jeszcze trochę!

⁹limoniada — lemoniada. [przypis edytorski]

— Cóż ci na tym zależy. Przecież widzę i tak, że się nie bawisz.
— Idzie mi o ciebie, chcę, żebyś się ty bawiła.
— Ach, po co ta komedia... O mnie naprawdę nigdy ci nie szło. A zresztą nudzę się.
Ruszył ramionami i spytał sucho:
— Więc mam iść do garderoby po twój płaszcz?
— Nie mogę przecież tak uciec. Myślanoby, żeś mnie zabrał przemocą. Muszę się jeszcze pokazać.
— Służę ci.
Zawrócili do sali z powrotem. Na progu pani Zośka wyciągnęła bródkę swoim zwyczajem i mówiąc do męża z miłym uśmiechem coś zgoła obojętnego, rzuciła wokół wzrokiem dziecięco jasnym i roztargnionym.

Pani Zośka zrzuciła już suknię i ściągała z ramion lekki batystowy stanik, opinający jej szczupłą, niemal chłopięcą kibić, niewymagającą sztucznych sznurowań ani gorsetów. Uniosła do góry krągłe nagie ręce i rozpięła włosy. Rozsypały jej się na barki jak grzywa bajecznej nimfy leśnej: złocista, bujna, lekko falująca.

Butrym siedział w głębokim fotelu obok łóżka żony, we fraku jeszcze i w białym krawacie i, paląc papierosa, patrzył na nią w milczeniu.

Pochyliła się, aby zdjąć ze stóp płytkie czarne pantofelki. Widział jej nogę wysoką, z drobnym, suchym, doskonale okrągłym kolanem i szlachetną smukłą łydką, której biała skóra przeglądała przez cieniuchny jedwab pończochy.

— Zosik...

Odwróciła się ku niemu.

— Czemu nie idziesz jeszcze spać? Późno już jest i ja jestem zmęczona. Och! Palisz znowu papierosa. Prosiłam cię tyle razy, ażebyś nie palił w moim pokoju — przynajmniej wieczorem. Duszę się.

Podeszła ku oknu i niecierpliwym ruchem targnęła je, otwierając szeroko.

— Zośka, daj pokój! Jesteś nieubrana, widać z naprzeciwka.

— Więc czemu palisz? Zresztą tam śpią już wszyscy. Tobie się zdaje, że nikt nie ma nic lepszego do roboty, jak patrzeć wciąż w nasze okna.

Nie odpowiedział nic, lecz, zgasiwszy papierosa, podszedł do okna i zamknął je, zapuszczając firankę, po czym wrócił na dawne miejsce. Spojrzała nań przelotnie i dziwnie przykry ironiczny grymas przewinał jej się koło ust.

Zaległo na chwilę milczenie.

— No, dobranoc — rzekła wreszcie, musnąwszy mu czoło ustami. — Muszę się położyć. Idź już do swego pokoju i śpij.

Przytrzymał ją dłonią i zmusił, aby usiadła na jego kolanie.

— Czekaj. Jeszcze chwilę. Będziesz za to rano spała dłużej. Chciałbym jeszcze z tobą pogadać.

— Ach, rano! Jacuś mnie zbudzi rychło świt. Spać mogą długo tylko ci, co dzieci nie mają. A zresztą, o czym będziemy mówić? Wszak cały dzień jesteśmy razem... od siedmiu lat.

— Nie bardzo. Mam wykłady, mam swoją pracę... Dni całe mijają i pogadać z tobą nie mogę. A tak bym chciał, tak bardzo chciałbym czasem.

Oparła się o niego głową, muskając mu twarz sypkimi, złocistymi włosami o skomplikowanym zapachu stepowych kwiatów i skóry jakiegoś podzwrotnikowego drapieżca.

— Więc mów, mów, co masz do powiedzenia, tylko prędko, bo ja już naprawdę...

Ziewnęła, przymykając powieki.

— Kocham cię, Zosik, kocham cię — szepnął — i tak mi strasznie smutno...

— Dlaczego?

— Nie wiem. Coś jest takiego. Czuję, że z każdym dniem oddalasz się więcej ode mnie i tak mi się gubisz. Mam wrażenie, że otaczasz się powoli jakąś coraz twardszą i grubszą skorupą niewidzialną, na którą trafiają moje ręce, ilekroć dotknąć cię pragną...

— Owszem, dotykasz mnie, nawet ciśniesz — rzekła sucho, usuwając jego palce ze swego nagiego ramienia. Patrz, mam pręgę czerwoną.

Powstał szybko, spychając ją ze swych kolan.

Przeszła obojętnie ku zwierciadłu i poczęła rozczesywać swe bujne włosy.

Chodził po pokoju niecierpliwie dużymi krokami.

— Nie chodź tak! — Wskazała ruchem głowy drzwi sąsiedniego pokoju. — Jacus się zbudzi, a potem ja go będę musiała przez pół godziny usypiać. Tupiesz zanadto.

Przystanął posłuszny około małego biurka, założonego książkami i listami, wśród których leżały porzucone w nieładzie rękawiczki, zegarek na złotym łańcuchu, kolia jakaś i chustka batystowa.

— Więc nie chcesz mówić dziś ze mną! — warknął podrażniony.

— Przyznam ci się, że nie chcę. Śpiąca jestem; męczysz mnie.

Usta mu zadrgały tłumionym gniewem.

— Tak jest zawsze. Wesola bywasz, uśmiechnięta i słodka tylko dla ludzi. Ale gdy ja chcę kiedy z tobą tak szczerze... gdy odnaleźć chcę na powrót kontakt i między naszymi duszami, to zawsze jesteś śpiąca, zmęczona albo zajęta.

Ruszyła ramionami.

— Złe momenty widocznie wybierasz.

Splatała włosy na noc w gruby warkocz. Wijące się złociste nitki wymykały jej się co chwilę spod palców. Na jej odsłoniętym, okrągłym czole pojawiły się zaledwie widoczne, podłużne bruzdy.

— A zresztą — cóż my sobie tak dalece możemy mieć do powiedzenia? Był czas, kiedy cię może gotowa byłam słuchać. Ty wtenczas nie mówiłeś. A dziś, po siedmiu latach!...

— Nie kochasz mnie?

— Nie. Albo raczej i tak i nie. Jeśli miłością nazwiesz życzliwość, to naprawdę życzę ci jak najlepiej. Ale tamta miłość gorąca, którą się czasem w pierwszych i latach czy miesiącach odczuwa, już przeszła.

— Kobieto! Po co ty to wszystko mówisz?

Zaśmiała się nerwowo.

— Bo pytasz. Nie umiem i nie chcę kłamać.

Położyła rękę na kłamce.

— Dobranoc. Idź spać. Idę się tylko umyć do łazienki i będę spała.

Wyrwał jej brutalnie drzwi z ręki i zatrzasnął z hałasem.

— Do kroć stu tysięcy! Nie odchodź, gdy ja mówię do ciebie!

Zaśmiała się znowu nerwowo i zwróciła ku niemu, teraz chłodna na pozór i spokojna.

— Słucham.

W sąsiednim pokoju ozwał się głosik dziecięcy.

— Mamusiu, mamusiu, co się to dzieje?

Odepchnęła męża popędliwym ruchem.

— O, widzisz! Jacek się zbudził. Znowu spać nie będę mogła.

Stała już przy łóżeczku syna.

— Śpij, śpij, mój maleńki. To drzwi mamusi trzasnęły przypadkiem...

— Aha — mówił głosik zaspany — a ja myślałem, że coś się wali. Czy to tatuś coś mówił?

— Zdawało ci się, tatuś już poszedł spać do siebie. Śpij i ty.

Za parę minut pojawiła się znów na progu, przysmykając ostrożnie drzwi za sobą.

— Usnął? — spytał Butrym szeptem.

Skinęła głową, kładąc palec na ustach.

Podszedł ku niej bliżej i chwycił ją za rękę.

— Zośka, Zośka, na miłosierdzie boskie, co się to dzieje! Ja przecież nie mam ochoty, ja nie chcę być złym dla ciebie, a ty masz taką prawdziwą umiejętność drażnienia mnie, że w końcu wybucham i staję się jak cham brutalnym. Zośka, ja nie chcę tego! Przecież ja cię kocham, naprawdę, kocham tak bardzo!

— Idź spać — rzekła chłodno, usuwając delikatnie dłonie z jego rąk.

Poblądł na chwilę, a potem krwawe wypieki wystąpiły mu na skronie. Żywym krokiem, bez słowa pożegnania, wyszedł z pokoju.

II

Wszedłszy do nocnej kawiarni, spostrzegł Butrym doktora Krasołuckiego za stołem pełnym butelek w dziwnym i dość skomplikowanym towarzystwie. Tuż obok niego, niemal o tuste kolano jego się opierając, siedziała jakaś dziewczina, zgoła podejrzenie wymalowana, a nosząca — jak się później okazało — w kawiarni tytuł kasjerki, snać dlatego, że obowiązkiem jej było zasilanie kasy gospodarza przez nakłanianie gości *per fas et nefas*¹⁰ do wypijania jak największej ilości szampana. Koło kasjerki cisnęło się po drugiej stronie dwóch aktorów o czerwonych i łasych mordach. W pierwszym z nich poznał Butrym niejakiego Płażyńskiego, którego widywał był czasami w towarzystwie księżnej Heleny. Trzeci aktor, starszy i snać już dobrze pijany, siedział na drugim końcu stołu i z wielką godnością a powagą opowiadał jakąś historię, której nikt absolutnie nie słuchał. Był tam jeszcze młody literat o tustej, jak gdyby zapuchłej twarzy, z której jeno¹¹ drobne, nieco winem zamglone oczka błyszczwały, jakiś urzędnik z magistratu ogromnie wąsaty i łysy, oraz Rogocki, były adwokat, w stanie zupełnego opilstwa pogrążony.

Profesor chciał się cofnąć, spostrzegłszy tę kompanię, ale Krasołucki go dojrzał i prawie przemocą do stołu zaciągnął.

— Wydaje ci się pewno, żeśmy pijani — mówił — ale zrównaj się z nami, a wnet zobaczysz, że wszyscy trzeźwi będziemy.

Mówiąc to, podsuwał Butrymowi napełnioną winem szklanekę, a gdy ten jeszcze się wahał, nachylił się mu do ucha i szepnął:

— Pij, moje złoto! Przecież z tym bydłem nawet hipopotam na trzeźwo by nie wytrzymał.

— Więc czemu z nimi siedzisz?

— Nudzę się — jęknął Krasołucki, mówiłem ci już: nudzę się! A im kupię parę flaszek wina i bawią mnie za to.

Butrym był podrażniony rozmową z żoną, podrażniony tym, że właściwie bez powodu wyszedł z domu i tym, że tu przyszedł — i chciał się oszołomić. Wychylił duszkiem parę szklanek i rzeczywiście zauważył wkrótce, że towarzystwo jest wcale znośne, a nawet przyjemne. Tymczasem skończyło się nocne przedstawienie w znajdującym się w bocznej sali małym Variete i kilka tancerek i szansonistek wpłynęło między stoliki, szukając pojętymi oczyma, kogo by pożreć lub raczej na zapłacenie kolacji naciągnąć. Krasołucki był tu postacią znaną i zawsze widzianą mile, wprawdzie nie tyle z powodu zalet towarzyskich, jak raczej ze względu na dobrze wyładowany portfel. Rzeczywiście zarabiał on jako wzięty lekarz bardzo wiele i, mimo że się skąpstwem przechwalał, rad wyrzucał zarobione pieniądze.

Znajome „artystki” patrzyły nań tedy przyjaźnie, witając dyskretnym, ale wielce obiecującym skinieniem głowy, nieznajome poglądały zazdrośnie i czekały tylko na sposobność, aby się z nim zapoznać..

Tymczasem „kasjerka” obrażona odeszła od stołu, gdyż Krasołucki, czasami dość wobec kobiet brutalny, powiedział jej jakieś obelżywe słowo, gdy zbyt natarczywie usiłowała go namówić na kupienie jeszcze jednej flaszki wina. Powstał więc i zbliżył się do dwóch stojących opodal w niepewności kobiet. Jedna z nich, brunetka niepierwszej młodości, o żywych i wyrazistych oczach cyganki, była tancerką; drugiej, smutnej i nieładnej blondynki, nikt właściwie nie znał.

Krasołucki witał się z tancerką poufale.

— Niech pani przejdzie z nami do gabinetu, zabawimy się. Mamy jeszcze kawał czasu do rana.

— Bardzo chętnie, ale... ja tu jestem z towarzyszką. Nowo zaangażowana szansonistka, panna Mary...

Krasołucki się skłonił z gracją doskonałego gentelmana, witającego swoją lady.

— Prosimy panią bardzo.

Zbliżyli się do stolika, z którego służba już na polecenie przenosiła nakrycia do sąsiedniego gabinetu.

¹⁰*per fas et nefas* (łac.) — prawem i bezprawiem, wszystkimi środkami niezależnie od ich uczciwości. [przypis edytorski]

¹¹*jeno* — tylko. [przypis edytorski]

— Mietku, moje złoto, pozwól, że ci przedstawię... Nasza kochana, niezmordowana tancerka, zwana pospolicie madame Tourbillon i panna... panna Mary — Wszak tak? — śpiewaczka.

Butrym powitał kobiety podaniem dłoni, wypowiadając równocześnie z roztargnieniem kilka obojętnych słów. Całą uwagę jego zajęła dziwna postać siedzącego opodal pod lustrem mężczyzny. Łysy zupełnie, z długą czarną brodą, patrzył od kilku chwil spod krzaczastych brwi sztywnym, uporczywym wzrokiem w twarz Butrymowi, jakby czekał odeń jakiegoś znaku... Profesor począł szukać w pamięci. Nie znał wcale tego człowieka, a nawet nie umiał sobie zdać sprawy, skąd się wziął na tym miejscu. Przed chwilą było jeszcze próżne¹² i Butrym byłby przysiągł, że nie widział, aby ktokolwiek ku temu odległemu kątowi przechodził, zwłaszcza, że musiałby się wówczas przesunąć tuż obok ich stolika.

Chciał już odruchowo podejść ku nieznanemu, gdy Krasołucki trącił go w ramię.

— Pójdźże. W gabinecie już wszystko gotowe. Właściwie zachciało mu się wymówić i iść do domu. Nim się jednak zdecydował, jak to zrobić, wszedł już do gabinetu i siadł na wygodnej kanapie za okrągłym stołem. Służba wносиła flaszki szampana i talerze z pieczonymi w soli migdałami.

Onieśmieloną i milczącą śpiewaczkę posadzono tuż obok niego. Jeden z młodszych aktorów, umiejący grać, został „odkomenderowany” do stojącego w kącie pianina, madame Tourbillon gotowała się do tańca.

— Tylko zjem kolację — mówiła ze śmiechem, poprawiając jedną ręką zawiązkę u trzewika, a drugą chwytając kawałki szynki z przyniesionego jej półmiska.

Posiliwszy się tak dorywczo i łapczywie, wypila dwie czy trzy szklanki szampana i z kastanietami w ręku stanęła do tańca. Śmiały jej się oczy, śmiały usta, pierś drgała i prężyły się ramiona w oczekiwaniu pierwszych dźwięków muzyki.

— Żelazna kobieta! — mówił z uznaniem Krasołucki, pochyliwszy się do ucha Butrymowi. — Pomyśl, że ona przecie dziś już z obowiązku cały wieczór tańczyła, a nie ma na niej ani śladu zmęczenia. Tańczyć tak będzie do rana — nawet nieproszona.

Zaczęło się zupełne szaleństwo.

Butrym otworzył okno i wciągał w pierś świeże, przedporannym świtem już drgające, jesiennej, chłodnej mgły pełne powietrze. Orzeźwiło go to trochę. Odwrócił się po chwili i zza brudnej, czerwonej portiery, wnętrza okna osłaniającej, patrząc począł w głąb gabinetu. Miał wrażenie, że teraz dopiero zobaczył naprawdę to wnętrze, w którym przecież kilka nocnych godzin już przepędził.

Ciężki, wlokący się dym z papierosów i cygar unosił się chmurą i wąskimi pasemkami wyciekał górą przez okno na boży świat. Lampy elektryczne żarzyły się w tej duszącej, brudnej chmurze czerwono i niepewnie. Krasołucki — bez surduta, z rozpiętą kamizelką na dużym brzuchu, z kroplami perlistego potu na twarzy i łysinie — siedział niewzruszony i — jak się zdawało — sam jeden trzeźwy w tym gronie dzięki bajecznej wytrzymałości swego starszylacheckiego łba. O stanie innych trudno było coś określonego powiedzieć. Stary aktor płakał, nie wiadomo dlaczego mówił coś do siebie, literat całował się kordialnie z nieprzytomnym wprost urzędnikiem magistrackim, były adwokat zdjął jeden but i usiłował go koniecznie postawić na stole, czemu ze łzami w oczach i rozpaczą w błagalnym głosie przeszkadzał jeden z młodszych aktorów, ponoć Płażyński. Drugiego nie mógł Butrym na razie wynaleźć¹³, dopiero po chwili spostrzegł, że śpi na brudnej, ogarkami z papierosów zarzuconej podłodze koło pianina, cisnąc próżną butelkę miłośnie do piersi. Przed pianinem na miejscu jego siedział i grał zgoła automatycznie jakiś strasznie blady i chudy jegomość w starym fraku, który tutaj wszedł nie wiadomo jak i kiedy. Przez drzwi zaglądał co pewien czas kelner, a gdy sądził, że nikt nie uważa, dostawiał do stojących w kącie na podłodze próżnych flaszek jedną lub dwie, w innym gabinecie wypite, aby je potem i tu znowu w rachunku dla osobistego zysku policzyć.

A madame Tourbillon tańczyła ciągle. Nikt na nią już nie patrzył, z wyjątkiem może Krasołuckiego, i ona zdawała się zapominać o czyjejkolwiek obecności w tym dusznym

¹²próżne — tu: puste. [przypis edytorski]

¹³wynaleźć — tu: znaleźć. [przypis edytorski]

i ciasnym gabinecie. Butrym zauważył, że jest teraz w obcisłych czarnych trykotach, przez które widno, jak prężą się i napinają jej stalowe mięśnie. Czasami trącała nogą leżącego na ziemi aktora, który jej zawadzał, czasem stawała na moment przy pianinie i rzucała po węgiersku kilka słów grającemu upiorowi lub nową poddawała mu melodię, wychylała duszkiem pełną szklankę wina i tańczyła znowu z wychudłą od zmęczenia twarzą, z rozplonionymi oczyma i falującą pod czarnym trykotem piersią.

Naraz posłyszał Butrym cichy płacz tuż około siebie. Teraz dopiero zauważył, że po drugiej stronie, we wnętrzu okna, portierą zakryta, siedzi panna Mary.

— Czemu pani płacze? — spytał szorstko.

Przeraziła się i podniosła nań zalękle oczy.

— Ja nie płaczę, tylko... spać mi się chce i jestem głodna.

— Więc czemuż tu pani siedzi u licha?

Nie odpowiedziała nic, spuściwszy jeno oczy na duże i niezgrabne ręce swe, na kolanach złożone. Nie piła prawie nic przez cały wieczór — na twarzy jej malowała się śmiertelna nuda, znużenie i lęk.

Butrymowi pod wpływem wina żal się jej nagle zrobiło.

— Panno Mary — rzekł łagodnie — proszę sobie kazać podać coś do zjedzenia, zapłacę chętnie, a potem iść do domu.

Spojrzała nań z wdzięcznością.

— Niech mi kelner da tylko trochę szynki i chleba przyniesie, a do domu... teraz jeszcze iść nie mogę. Muszę czekać na Tourbillonkę.

— Jakże to? — zapytał, spłoszywszy poprzednio rozkazem przyniesienia szynki kelnera, który właśnie cichutko i chytrze nową próżną flaszkę do wypitych dostawiał.

Mary uśmiechnęła się blado.

— No, przecież na to mnie tu wzięła, abym ją później odprowadziła do domu.

— Jak to: wzięła panią?

— Naturalnie. Mnie samej nikt by nie zaprosił. A z tego, co zarabiam w budzie, nie mogłabym sobie kupić kolacji.

— Słyszałem, że szansonistki są dobrze płacone.

Zaśmiała się nagle z jakimś nienawistnym błyskiem w oku.

— A tak! Są dobrze płacone. Tylko nie ja. Tylko nie takie, jak ja.

Milczała przez chwilę, zającąc łakomie przyniesioną jej szynkę.

— Widzi pan — zaczęła potem, ośladnięta snąc nagle potrzebą wywnętrzenia się — ja panu opowiem, jak to jest. Przecie ja wiem, że jestem nieładna i właściwie wcale nie umiem śpiewać. A co gorsza — i inni o tym wiedzą.

— Więc czemuż pani wstąpiła do Variete? — spytał nieogłędnie.

Posmutniała.

— Ach! Z początku zdawało mi się, że jednak do czegoś dojdę, a teraz za późno się cofać. Cóż bym zresztą mogła robić innego?

— Ale w tych warunkach może się pani po prostu którego dnia znaleźć bez engagementu¹⁴. Czy pani o tym pomyślała!

Zaprzeczyła żywym ruchem głowy.

— O to nie ma obawy! Takie jak ja są właśnie potrzebne i poszukiwane.

— Nie rozumiem.

— Naturalnie, że pan nie rozumie. To trzeba wiedzieć.

Patrzyła nań z pewną dumą, że jest pewna rzecz, którą ona zna lepiej od niego.

— Zaciekawia mnie pani.

— To bardzo proste. Naprzód „gwiazdy” dużo kosztują, aby się więc przedstawienie opłacało, trzeba jej uzupełniać tanimi siłami. Na to się bierze dziewczęta, nieładne i niemające zdolności...

— Takich jest chyba dosyć — wtrącił Butrym.

— O, nie, panie! Takich jest bardzo, bardzo niewiele! Niejedna woli pracować bielizną albo schody zamiatać, niż zgodzić się na taki los.

Oczy jej rozplonęły, schwyciła go za rękę.

¹⁴engagement (fr.) — umowa z artystą: aktorem lub śpiewakiem. [przypis edytorski]

— Czy pan wie, co to jest? Taka szansonistka występuje na początku każdego przedstawienia albo bezpośrednio po pauzie, kiedy ludzie się schodzą i na sali jest jeszcze gwar. Nikt jej nie słucha, nikt nie uważa na nią, a jeśli kto zwróci uwagę, to po to tylko aby sykać, śmiać się i przedrzeźniać, docinać złośliwymi żartami. Ileż ja to razy słyszałam z krzeseł, ze sali: *Idź krowy paść!* Albo: *A to małpa ohydna!* I tym podobne wykrzyki. A ja się muszę uśmiechać i miny stroić przyjemne i śpiewać, śpiewać obrzydliwe, wyuzdane piosenki, kiedy lzy mi się cisną do oczu i i głos w gardle zamiera. A potem dostaję się te kilka groszy, za które wyżyć niepodobna. I trzeba prosić szczęśliwszej koleżanki: weź mnie, gdy ciebie na kolację zaproszą, abym miała wieczór co zjeść... A! To życie! Występowałam już w Warszawie, w Rzymie, w Wiedniu, w Bukareszcie, w Petersburgu i w tyłu, w tyłu innych miejscach, a wszędzie jest to samo!

W nagle zapadłej ciszy — gdyż upiór przy fortepianie zmęczony grać zaprzestał — słychać było zachrypły głos starego aktora:

„A gdy będzie słońce i pogoda, słońce i pogoda,
Pudziemy se, Zosiu, do twego ogroda...”

Krasołucki spod przymkniętych powiek patrzył wzrokiem ironicznym i złośliwym na smutne pobojuwisko.

Świt już był ranny nad miastem. Na rogu ulicy Krasołucki przystanął i chwycił Butryma za ramię.

— A gdyby tak jeszcze gdzieś na filiżankę czarnej kawy?

— Wszystko pozamykane.

— Więc wiesz co? Chodź do mnie. Każę słuzącemu zrobić kawy albo herbaty. I tak już wnet czas będzie na śniadanie.

Nie czekając, co Butrym odpowie, ryknął w głąb ulicy:

— Fiakier!

Jakiś drzemiący na koźle dorożkarz zbudził się i począł szarpać lejcami znużoną szkapę. Znał już snąc doktora, bo nie słuchając adresu, zawrócił od razu w stronę jego mieszkania. Butrym, zmęczony, dał się wieść bez oporu.

Na odgłos dzwonka zaspany służący wybiegł do przedpokoju.

Lekarz kazał mu przygotować herbatę i przeprosiwszy gościa, poszedł naprzód do łazienki, aby „zmyć ze siebie alkohol”, jak zwykł był mawiać. Butrym znalazł się sam w dużym pokoju, będącym na poły salonem, a na poły biblioteką. Ogromne ciemne fotele pluszowe stały tu na puszystym dywanie, cały jeden kąt zajmował fortepian doskonały, koncertowy, kryty czarnym palisandrowym drzewem, na ścianach wisiały obrazy Malczewskiego¹⁵, Wyczółkowskiego¹⁶, Stanisławskiego¹⁷, Ruszczyca¹⁸, jakaś genialna karykatura Sichulskiego¹⁹, trochę akwafort, kilka szkiców i rysunków. Naprzeciw okna stały szafy z książkami, książki i nuty leżały zresztą wszędzie: na stołach i stolikach, na fortepianie, na krzesłach... Butrym począł je mechanicznie przeglądać. Przedziwna mieszanka: naukowe dzieła lekarskie, czasopisma najświeższe i nowe powieści angielskie, wydania klasyków literatury, dzieła filozoficzne i teozoficzne, a między niemi nierzadko jakaś pornograficzna książka francuska, bez daty i miejsca druku, albo album japońskich wyuzdanych rysunków... A wszystkie książki znać było, że były czytane i często, i gruntownie, zarówno naukowe poważne prace, jak na welinie²⁰ odbite, potajemnie, sprzedawane tomiki francuskie.

Profesor pogrążył się w głębokim i miękkim fotelu. Zadumał się, nie umiejąc nawet określić, nad czym myśli właściwie. Wirował mu w pamięci wieczór z żoną na zabawie

¹⁵Malczewski, Jacek (1854–1929) — malarz, najważniejszy przedstawiciel symbolizmu w Polsce. [przypis edytorski]

¹⁶Wyczółkowski, Leon (1852–1936) — malarz, grafik, rysownik, jeden z najważniejszych przedstawicieli realizmu w Polsce. [przypis edytorski]

¹⁷Stanisławski, Jan (1860–1907) — malarz, pejzażysta epoki modernizmu. [przypis edytorski]

¹⁸Ruszczyk, Ferdynand (1870–1936) — jeden z przedstawicieli symbolizmu w Polsce. [przypis edytorski]

¹⁹Sichulski, Kazimierz (1879–1942) — malarz młodopolski. [przypis edytorski]

²⁰welin — pergamin bardzo wysokiej jakości. [przypis edytorski]

spędzony, rozmowa z nią w domu... dzwoniły mu w uszach dźwięki rozstrojonego pianina w gabinecie kawiarnianym, łopotały nieustanne, nużące uderzenia nóg taneczniczy i zgrzytał znów przykry bezbarwny głos skarżącej się szansonistki.

Nie zauważył nawet, jak gospodarz jego wtoczył się do pokoju. Wzniósł głowę dopiero na jego głos — Krasołucki wyglądał przedziwnie. Stał tak, jakby wyszedł z łazienki, w przykrótkiej nocnej koszuli ogromnym brzuchem od kolan odsądzonej, z gołymi włochatymi nogami w czerwonych, safianowych pantoflach.

— Moje złoto, może się zechcesz teraz ty ukąpać?

Butrym zaprzeczył ruchem głowy. Nie chciało mu się po prostu wstawać z wygodnego fotela i ściągać ze siebie ubrania.

Krasołucki usiadł tak, jak był, w fotelu, naprzeciw niego i mieszając łyżeczką przyniesioną herbatę, począł rozprawiać.

— Męczy mnie to wszystko — mówił — zwłaszcza że wróciwszy nad ranem spać już nie mogę. Ale ostatecznie znowu się jakoś dzień przepchało.

— I noc, dodaj.

— Słuszna uwaga. Noc także. Czy ty uważałeś, jak Tourbillonka tańczy? Skąd ona tyle sił żywotnych bierze? Ciekaw jestem, co ona jest właściwie: Cyganka, Węgierka, czy też Żydówka?

— A tej drugiej czy nie znasz? Tej... Mary? — wtrącił Butrym.

— A lichy tam z nią! Obrzydliwa małpa, do kiepskiej kobyły z tą długą twarzą podobna.

— Rozmawiałem z nią. Właściwie jej los jest zupełnie tragiczny.

Lekarz ruszył ramionami.

— Moje złoto, to trudno. Na świecie tylko ładne kobiety mają rację bytu, a co za tym idzie i prawa. Po co Pan Bóg brzydkie stwarza, niezupełnie dobrze rozumiem.

Mówiąc to, przetoczył się po dywanie z fotelu na taboret przed fortepianem i grubymi, tłustymi palcami, jakby od niechcenia, uderzył kilka akordów.

Z ręką na klawiaturze odwrócił się jeszcze do Butryma:

— Byłbym bardzo rad, gdyby służącego mego trafiła kiedy apopleksja, czyli tak zwany pospolicie szlag. Nie potrzebowałbym go wtedy odprawiać, co zawsze jest kłopotliwe, a przyjąłbym innego. Ten opuszcza się już zanadto. Nawet kurzu z fortepianu nie chce mu się zetrzeć.

Zaczynał grać, urywał i mówił znowu:

— A sam jestem, sam, o wszystko sam jeden muszę dbać, o wszystkim pamiętać. Mam mieszkanie, ale nie mam domu. Co innego ty. Ty jesteś szczęśliwy. Gdy ci przyjdzie fantazja, możesz noc w knajpce przepędzić, ale wiesz zawsze, że gdy wrócisz do domu, oczekuje cię tam miła, piękna, inteligentna i cicha kobieta, twoja własna i będzie ci tam dobrze, i będzie ci spokojnie...

Butrym w milczeniu patrzył w okno, gdzie szparami między zapuszczoną storą a futryną wdzierał się biały, smutny dzień i ostrym, sinym światłem klócił się z żółtym blaskiem lamp elektrycznych.

Krasołucki zaczął grać.

Gołe, włochate nogi w czerwonych pantoflach podwinął pod siebie, tłuste dłonie przesuwał po klawiszach z nieprawdopodobną lekkością. Zabrzmiał mu spod palców jakiś stary, dźwięczny, perlisty gawot²¹ Bacha²². Skrzył się i śmiał się, i kołysał, a czasem jakby się i zachłysnął małą lżą, i śmiał się znowu tęskliwie a słodko...

W sennych, przymkniętych nieco oczach Butryma krążyć zaczęły, kłaniać się i przewijać jakieś pary z dawnych znane obrazów: panowie w kolorowych frakach z żabotami, w pończochach, płtykach trzewikach, damy o wysokich fryzurach mocno dekolowane w sukniach bufastych, spod których wyglądał koniec złotego pantofelka...

A przy klawicymbale siedzi sam pan organista Thomasiuskirche i gra...

Zdawało się Butrymowi, że należy sam do grona tańczących. Kłania się, uśmiecha, podaje rękę, przechodzi. Przed nim dama jakaś, która uporczywie patrzy w inną stronę, nie chcąc spojrzeć na niego. Butrym ją zna. Profil delikatny, jakby rylcem w kości

²¹*gawot* — forma muzyczna oparta na starofrancuskim tańcu ludowym. [przypis edytorski]

²²*Bach, Jan Sebastian* (1685–1750) — niemiecki kompozytor i organista barokowy. [przypis edytorski]

sloniowej rzeźbiony, wilgotne leciuchno rozchylone usta, złotem błyszczące włosy i oczy, z boku widziane oczy o przedziwnym kolorze morskiej wody, w której ponad zielenią wzgórz odbija się błękitne niebo...

Dłoń oto podaje swemu towarzyszowi, przechodzi lekko koło niego, bródkę subtel­ną naprzód wyciąga, aby nadać szyi linię doskonałą, uśmiecha się słodkimi, niewinnymi ustami...

Zwróciła głowę.

Błysnęła mu na moment twarz jej wprost widziana o brutalnie rozwiniętych szczę­kach, wąskich ustach okrągłym czole... Wzrok jej chłodny, roztargniony przesunął się po nim...

— Co ci jest? — zapytał Krasołucki od fortepianu, przerywając grę.

— Nic, nic...

— Zdawało mi się, żeś krzyknął.

— Zdawało ci się po prostu. Śpiący jestem.

— Nie warto już spać. Dzień — zauważył Krasołucki filozoficznie i położył znów palce na klawiszach.

Grał teraz sonatę Beethovena²³. Fortepian przeczarował się pod jego dłońmi; grzmiał, huczał, dzwonekami bił, wołał głosem setki instrumentów. Wielkość nieogarnięta, nie­spożyta moc, głębokie, otchłanne, nadludzkie piękno biło ogromną falą z rozkołysanych, krzyczących strun...

Butrym szeroko rozwartymi oczyma patrzył na Krasołuckiego. Innym mu się w tej chwili wydał człowiekiem. Nie było w nim już nic śmiesznego: mimo że siedział tak na pluszowym taborecie w rozchelstanej pod grubą szyją nocnej koszuli, z obwisającym na kolana brzuchem i z cieniutkimi, gołymi nogami w czerwonych pantoflach, opartymi na lśniących pedałach fortepianu. Potężny łeb pochylił nieco, czoło miał namarszczo­ne, wytrzeszczonymi oczyma patrzył przed siebie — kędyś w świat dźwięku, wielu kości i tajemnicy, który rękoma wyczarowywał.

Skończył grać i zwrócił się do Butryma:

— Czy się ty boisz śmierci?

Profesor przetarł czoło, jakby nagle zbudzony, choć senność w tej chwili daleka była od jego powiek.

— Nie wiem. Nie myślałem o tym. Zanadto wiek życia w sobie czuję — rzekł szczerze.

— A ja się boję. Boję się strasznie, bo nie wiem, co tam będzie.

Kazał sobie podać szlafrok i owinąwszy się szczelnie miękką flanelą, usiadł w fotelu.

— Widzisz — zaczął znów po chwili. — ja tyłu już ludzi widziałem umierających. Mną rozmaicie, ale boją się zawsze, o ile tli w nich jeszcze iskra przytomności. Starzy, młodzi, schorowani i zdrowi, co z wypadku jakiegoś śmierć ponoszą, wszystko jedno.

— Skąd ci to teraz przyszło na myśl?

— Myślę o tym często i coraz częściej, choć może nie chcę. Starzeję się widocznie. I jestem sam. Jestem strasznie sam i nie wiem, czy będę miał kogo przy sobie, aby mi zamknął powieki...

— Masz przecie dzieci podobno...

Machnął ręką z lekceważeniem.

— A są tam gdzieś! Poszły za matką. O mnie nie chcą nic wiedzieć. I słusznie, bo i ja nie umiałem ojcem być... Może w innych warunkach...

Zaśmiał się naraz.

— Nie uwierzysz, w jakim byłem kłopotcie, gdy mi niedawno przedstawiono... moją córkę. Najlegalniejszą w świecie córkę. Nie widziałem jej z górą dziesięć lat. Zrobiła się z niej panna dorosła i ładna. Bardzo ładna. Byłem onieśmielony. Nie mogłem się zdobyć na to, aby mówić do niej po imieniu. I ona także nie wiedziała, co ze mną zrobić.

Sposepniał.

— Jakie to głupie! Mówi się: głos krwi! Furda! Nie ma niczego podobnego. Nie kochałem nigdy matki i nie czuję się niczym z dzieckiem związanym. Gdyby było inaczej... Mogło być inaczej...

²³Beethoven, Ludwig van (1770–1827) — pianista i kompozytor niemiecki, jeden z klasyków wiedeńskich, prekursor romantyzmu w muzyce. [przypis edytorski]

— Czy nie twoja wina?

Ruszył ramionami.

— Może. Nie wiem. To pewna, że najbliższą istotą na świecie był mi człowiek żadnym węzłem krwi ze mną niezłączony... Ojciec mój był to dziwak przecudowny. Nie mówił nigdy ze mną. Nie pamiętam nawet, jaki miał głos. Ale żył niedaleko nas w zapadłym futorze staruszek, towiańczyk²⁴, pono jeden z ostatnich... Siwy jak gołąb i zawsze pogodny, choć nie śmiał się nigdy. Nigdy o nic się nie gniewał ani potępiał nikogo. Pszczoły sobie hodował i czytał Ewangelię. Całe dni spędzałem u niego.

Zamyślił się znowu.

— Wiesz, to był jedyny człowiek, który się nie bał śmierci. Tak, on się nie bał, chociaż myślał o niej często.

Chwycił się za głowę.

— Gdyby to można wiedzieć cośkolwiek, wiedzieć na pewno!

— Czy byłś przy śmierci tego staruszka? — zapytał Butrym z zainteresowaniem.

— Tak. Miałem wówczas ze dwadzieścia lat. Studiowałem już medycynę, chociaż nie myślałem wówczas, że będę z niej kiedyś żył.

— I jak umierał?

— Spokojnie. Pewny był i zupełnie spokojny. Uśmiechał się. Jedyny raz w życiu wówczas widziałem jego uśmiech na bladych, sztywniejących już wargach. Ogarnęła mnie jakaś wściekła przekora, bolało mnie to po prostu, że ten człowiek się nie boi, że odchodzi w ciemność tak, jak gdyby mu jeno drzwi do drugiego pokoju otwierano. Nie mogłem tego po prostu znieść. W sposób zgoła zbrodniczy i łajdacki zacząłem go straszyć, mówiłem mu o tym wielkim Niewiadomym, które go czeka, a które może jest tylko nicością...

— A on?

— Patrzył na mnie łagodnie i z politowaniem. A potem wziął mnie chłodną dłonią za rękę. „Dobrze robisz, że to mówisz — rzekł — bo przekonasz się w ten sposób, jak silna jest prawda moja. Ty wątpisz, ty się pytasz, a ja wiem...”. Ryczałem jak bóbr i ręce sobie gryzłem, i nogim jego martwe całowałem²⁵, kiedy zamknął powieki.

Butrym patrzył przed siebie szeroko rozwartymi oczyma.

— On miał rację. Trzeba wiedzieć. Źle czy dobrze, wszystko jedno, aby tylko wiedzieć.

— Ale my nie wiemy nic, nic — rzekł znów Krasołucki.

— Zbyt jesteśmy nieufni, aby każdą złotą baśń przyjąć za prawdę, zbyt niestety mądrzy, by wierzyć, że z chwilą ostatnią skończy się zupełnie to, co tutaj w nas było i żyło.

Służący stanął we drzwiach.

— Proszę pana doktora...

— Co powiesz? — ożywił się Krasołucki.

— Jakaś pani... powiada, że nazywa się Tourbillon... Podobno pan doktor kazał jej przyjść rano...

Lekarz z pewnym zakłopotaniem spojrzął na profesora...

— Tak. Mówiłem jej rzeczywiście... Zgrabna kobieta. Ale jeśli ci przeszkadza...

Butrym pożegnał się i wyszedł na ulicę.

Śmierć

Dzień był już duży. Mgła, która o świecie, miasto zalewała, rozplynęła się teraz i zginęła w ulicach, osadzając się jeno chłodną wilgocią na bruku, którą słońce w miejscach więcej odkrytych powoli ścierało. Butrym po nieprzespanej nocy objął nagły chłód. Zaplął guziki płaszcza i począł z rękami w kieszeniach powoli iść ku rynkowi. Właściwie nie miał jasnego wyobrażenia, co mu teraz robić wypada. Był jeszcze wciąż we fraku, do pracowni uniwersyteckiej tak iść nie mógł, a do domu nie chciał. Przyszło mu na myśl, że synek jego już się zbudził i na odgłos dzwonka wybiegnie przywitać się z ojcem, i będzie chwycił świeżymi rączkami za ubranie jego, pełne kurzu i brudu, przepojone dymem tytoniu i wyziewami wina.

²⁴towiańczyk — wyznawca towianizmu, ruchu religijnego o charakterze mistycznym, stworzonego przez Andrzeja Towiańskiego w połowie XIX wieku. Jednym z najważniejszych przekonań towiańczyków była mesjańska rola Polski. [przypis edytorski]

²⁵i nogim jego martwe całowałem — i nogi jego martwe całowałem. [przypis edytorski]

Stanął pod arkadami Sukiennic i patrzył bez myśli na wieże Mariackiego kościoła. Naraz uczył jakiś niepokój. Miał wrażenie, że ktoś za nim stoi. Przez pewną chwilę walczył z tym uczuciem, nie chcąc się obejrzieć, aż wreszcie zupełnie mimo woli i prawie nieświadomie odwrócił głowę. Pod jedną z kolumn, podtrzymujących sklepienie krużganku, tyłem oparty o głaz, stał jego nieznajomy z kawiarni i spod czarnych krzaczastych brwi patrzył nań znowu przejmującymi oczyma. Ale co najdziwniejsza, te oczy wyglądały teraz jak ślepe. Spojrzenie ich — szklane i zastygłe — szło gdzieś w dal, na wskroś przez rzeczy i ludzi: Butrymowi się zdawało, że pojrzał w jakąś pustkę otchłanną.

— Tak by mógł patrzeć trup — pomyślał i nagłym dreszczem zdjęty, skinął na przejeżdżającą dorożkę, podając adres swego mieszkania.

W przedpokoju, zdejmując płaszcz, spotkał się z żoną. Przywitała go przyjaznym skinieniem głowy i otarła mu usta i wąsy chusteczką, podała policzek do pocałowania.

— Czy Jacuś już wstał? — zapytał ją z pewnym zakłopotaniem.

Spostrzegła to jego zmieszanie i uśmiechnęła się jakby z zadowoleniem.

— O, tak — rzekła spokojnie. — Umyj się i idź do niego, bo pytał się już o ciebie.

— Czy wiesz, gdzie byłem?

Ruszyła ramionami.

— Prawdopodobnie bawiłeś się. Nie mam ci tego wcale za złe, jeśliś się tylko dobrze bawił i jesteś zadowolony.

Powiedziawszy to, odwróciła się bez pośpiechu i odeszła w głąb mieszkania.

Z uczuciem niezwalzonego smutku poszedł Butrym do swojego pokoju i ściągnawszy z siebie ubranie, rzucił się na łóżko, aby zasnąć choć na chwilę. Ale sen nie miał się wcale jego znużonych powiek.

III

Profesor Butrym pozostał sam w obszernej sali. Po wyjściu ostatnich studentów krzątał się jeszcze przez pewien czas stary służący, zbierał porozrzucane po stołach karty astronomiczne, usuwał przyrządy na właściwe miejsca i przykrywał płatami czarnej satyny dla ochrony przed kurzem. Wreszcie, widząc, że profesor go nie potrzebuje, wysunął się cicho...

Butrym siedział przy dużym stole z głową na obu dłoniach opartą. Leżał przed nim gruby podręcznik dziewięciocyfrowych logarytmów i stos kart dużego formatu, zapelnionych niekończącymi się szeregami równań²⁶. Patrzył na to wszystko tępy, znużonym wzrokiem, nie mogąc zdecydować się na zabranie się do pracy. Pustkę miał w sobie przedziwną, jakby wiatr jakiś wywiały zeń wszystkie myśli, uczucia, całe zajęcia do kogokolwiek na świecie.

— Przpracowany jestem — pomyślał. — Od tygodnia oprócz obowiązkowych wykładów i ćwiczeń z uczniami siedzę po dziesięć godzin dziennie nad tymi rachunkami...

Spojrzał na rozłożone papiery.

— I ostatecznie co z tego? — snuło mu się znów w myśli. — Gdy skończę te żmudne i nieprawdopodobnie zawile obliczenia, dowiem się, jakie są faktyczne dane teorii Arrheniusa²⁷, to jest, czy mgławice w pewnych warunkach mogą wytwarzać na powrót różnicę potencjałów energii, zatraconą przez przemianę w ciepło, równomiernie we wszechświecie się rozpraszające... Ale w końcu co komu z tego przyjdzie? To jest warunek utrzymania równowagi w systemach słońc i gwiazdozbiorów, ale choćby rachunki moje wykazały co innego, to równowaga przecież i tak istnieje. Nie postąpię w istocie ani o krok naprzód. Przy tym, czy przy owym wyniku nie odpowiem na żadne: dlaczego? A zresztą ktoś mi zaręczy, czy cała praca moja nie jest fałszywa, gdy z ludzkiej, nieodzownej konieczności przyjąć musiałem założenie, że wszechświat co do przestrzeni i sumy energii jest ograniczony? Przecież to nonsens właściwie, a z drugiej strony nonsensem jest przypuścić brak wszelkiego ograniczenia... Stoję wobec dylematu, niedającego się usunąć. Na dylemacie tym buduję gmach sztucznej równowagi, jakby granitową piramidę, postawioną cieńszym końcem na ostrzu noża. Lada powiew wyrzuci ją musi — w jedną lub w drugą stronę...

Nauka, Filozof

²⁶zrównanie — daw. równanie. [przypis edytorski]

²⁷Arrhenius, Svante (1859–1927) — chemik i fizyk szwedzki. [przypis edytorski]

Niebawem przysunął karty ku sobie i począł sprawdzać długie szeregi zrównań.

— Nie mówię już nawet o możliwości błędów w moim rachunku — myślał znów — ale kto mi zaręczy, że w ogóle wszelki rachunek nie będzie tutaj błędny? Gdzie dowód, że naprawdę dwa razy dwa jest cztery i że ten „pewnik” ma jakikolwiek walor poza obrębem mojego mózgu i świadomości? Operuję pojęciem ruchu, a czy ja wiem, czym on jest w istocie, nie mogę sobie nawet dać rady z jego względnością, która do potwornych wprost wniosków prowadzi...

Zaśmiał się nagle nerwowo i z cicha.

— Ach! Filozofuję jak student, który pierwszy raz stanął wobec problemu świata i bytu. Nie myśleć o tym! Nie myśleć, nie myśleć! Do roboty trzeba się zabrać.

Wziął pióro w rękę i z uporem a zaostrzoną przez wolę jak nóż świadomością, z uwagą w jeden wyteżoną punkt, kreślić począł na papierze nowe szeregi znaków. Rachunek jednak w przedziwny sposób nie chciał się dzisiaj zgadzać. Rozpoczął pracę od nowa.

Upłynęła godzina, gdy naraz uczuł, że stoi ktoś za nim. Odwróciwszy głowę, spostrzegł służącego.

— Czy Franciszek chce czego? — spytał opryskliwie.

— Nie chciałem panu profesorowi przeszkadzać. Stoję tu już dobrą chwilę. Tam pan jest jakiś, który się chce widzieć.

Butrym miał już ochotę odprawić przerywającego mu żmudną pracę natręta, gdy nagle zamajaczyła mu w pamięci postać nieznanego z czarną brodą i umarłymi oczyma. Był prawie pewien, że to on przychodzi.

— Prosić — rzekł krótko, usuwając nieco papiery.

Jakoż za chwilę pojawił się w drzwiach otwartych oczekiwany mężczyzna. Nie mówiąc ani słowa, prawie automatycznie, jakby sennie, przeszedł przez salę wprost ku stołowi, przy którym Butrym pracował. Zdawało się, że nie zwraca nań zgoła uwagi, że go nawet nie widzi. Nie pytając o pozwolenie, ruchem pośpiesznym zaczął przerzucać karty rękopisu, na które zresztą wcale nie patrzył. Naraz drgnął i podsunął jedną kartę przed oczy profesorowi.

— *Voilà. Ici*²⁸ — rzekł po francusku i usiadł szybko, jak gdyby zupełnie z sił wyczerpany. Perlisty pot wystąpił mu na łysą czaszkę.

Butrym zdumiony patrzył na podaną mu kartę. Naraz wykrzyknął głośno. Tutaj był błąd! Drobnie opuszczenie, omyłka zaledwie dostrzegalna, która w rezultacie cały rachunek robiła fałszywym...

— Skąd pan o tym wiedział? — rzekł, zwracając się ku nieznanomemu.

Ten powstał.

— *Comment? Je ne comprends pas polonais*²⁹...

Butrym powtórzył pytanie po francusku.

— Najmocniej pana przepraszam — mówił przybyły, jakby usprawiedliwiając się. — Nie miałem zamiaru pana zadziwić a tym mniej odgrywać komedii... Stało się to zupełnie przypadkowo. Wchodząc tutaj, poczułem naraz na progu, że tam coś jest... Nie mogłem się oprzeć wewnętrznemu pędowi. Czy jest rzeczywiście jaki błąd na karcie, którą wybrałem?

Profesor skinął głową.

— Tak i wdzięczny panu jestem bardzo, choć tego zgoła nie rozumiem. Kto pan jesteś?

— Pers z pochodzenia. Przeprowadzono moją nazwisko znane skądinąd: Firdussi³⁰...

— Proszę, niech pan usiądzie. Mówi pan, że błąd mój wykrył pan raczej nieświadomie... Przypuszczam więc, że co innego pana do mnie sprowadza?

— Tak. Chciałem rzeczywiście...

Urwał i patrzył znowu na Butryma swymi martwymi oczyma. Profesor poruszył się niespokojnie.

— Spotkałem już pana przed tygodniem, dwukrotnie: w kawiarni i rankiem na ulicy? Czy pan od dawna bawi w Krakowie?

²⁸*Voilà. Ici* (fr.) — Proszę. Tutaj. [przypis edytorski]

²⁹*Comment? Je ne comprends pas polonais* (fr.) — Słucham? Nie rozumiem polskiego. [przypis edytorski]

³⁰*Firdussi* — nawiązanie do perskiego poety, Ferdousiego (940–1020 lub 1025), jego nazwisko tłumaczy się jako „Człowiek z raj”. [przypis edytorski]

— Przyjechałem właśnie owego wieczora. Miałem właściwie zamiar jechać dalej, ale zobaczywszy pana, zrozumiałem...

— Co pan rozumiał?

— To nie jest tak łatwo powiedzieć. Szukałem kogoś, aby mi pomógł...

— W czym?

Firdussi znowu nie odpowiadał. Siedział na krześle nieruchomo wyprostowany i patrzył przed siebie oczyma, zdającymi się nic nie widzieć, albo raczej wszystko naraz. Butrym teraz dopiero, przezwyciężając początkowe zmieszanie, przyjrzał mu się dokładnie. Zauważył, że źrenice jego tak są rozszerzone, iż tęczówek prawie nie widać. Nadawało to oczom, zwłaszcza przy ich nieruchomości, pozór jakichś ślepych studni, na których dnie czaiła się noc.

— W czym mogę panu być pomocnym? — powtórzył Butrym pytanie.

— Potrzebuję człowieka mądrego, aby zrozumiał to, co ja wiem.

— A cóż pan wiesz?

Firdussi patrzył wciąż przed siebie.

— Wiem na przykład to — rzekł po chwili, jakby sennie — że obliczenia pańskie nie są dokładne, gdyż wielka mgławica w Łabędziu³¹, którą się pan zajmuje, posiada temperaturę znacznie wyższą, niżli pan przypuszcza.

— Ile? — spytał Butrym zniecierpliwiony.

— Średnio sto trzydzieści ponad absolutne zero — odrzekł Pers bez zająknięcia, po czym drgnął i otrząsnął się, jakby ze snu zbudzony.

Profesor czuł, że zaczyna mu się mieszać w głowie. O szczegółach pracy jego w ogóle nikt nic nie wiedział, tym mniej zaś mógł się o tym cośkolwiek dowiedzieć ów człowiek, przed kilku dniami nie wiadomo skąd tutaj przybyły.

— Kto pan jesteś? — zapytał zdumiony.

— Jestem człowiekiem z gwiazd³² — rzekł Pers, uśmiechając się melancholijnie.

Astronomia, Tajemnica

Wychodząc przed wieczorem z pracowni, Butrym nie umiał sobie jasno zdać sprawy, czy spotkanie z Firdussim było rzeczywistością, czy snem jakimś niepojętym. Zwłaszcza że pamiętając najdrobniejsze szczegóły długiej z nim rozmowy, nie mógł sobie absolutnie przypomnieć tego prostego faktu, kiedy i jak wyszedł ten przedziwny gość od niego?

Drażniło go to wszystko w najwyższym stopniu i wreszcie zaczął przypuszczać, że miał do czynienia z szarlatanem, który mu jakąś sztuką hipnotyczną zaćmił mózg. Zły był na siebie z powodu okazanej — jak myślał teraz — łatwowierności i obiecywał sobie Firdussiego przy najbliższej sposobności zdemaskować, albo — co najlepiej — wcale więcej z nim nie mówić. Z drugiej strony jednak nawet wbrew woli przyznać musiał, że to, co dziś usłyszał od tego człowieka, było nadzwyczajne i po prostu niepojęte. Naprzód to wykrycie błędu w jego obliczeniach, dokonane niejako palcami tylko, a potem te rewelacje niesłychane, dotyczące słońca i gwiazd, i światów, tajemnice zawrotne, wypowiedane głosem spokojnym, lęklwym, jak gdyby sennym, tajemnice, których sam mówiący dobrze nie rozumiał i był jakby onieśmielony tym, że je wypowiada...

Rozmyślając tak, doszedł do uniwersytetu i chciał go właśnie minąć, zdążając ku domowi, gdy naraz zabrzmiał za nim głos:

— Dobry wieczór panu, panie Mieczysławie!

Odwrócił się i dostrzegł Śniegockiego, który właśnie z gmachu uniwersyteckiego wychodził.

Wyciągnął radośnie rękę ku niemu.

— Sam los mi pana zsyła!

— O! Cóż takiego?

Butrym wziął go pod ramię i szedł przez pewien czas, milcząc. Wreszcie zaczął mu opowiadać o przedziwnym spotkaniu w swojej pracowni.

Młody fizjolog spoważniał, słuchając opowiadania.

³¹Łabędź — charakterystyczny, jasny gwiazdozbiór na północnym niebie. [przypis edytorski]

³²Jestem człowiekiem z gwiazd — Dylogia *Laus feminae* była zaplanowana jako trylogia. Trzecia część miała nosić tytuł *Człowiek z gwiazd*. Niestety Żuławski nie zdążył jej napisać przed przedwczesną śmiercią w 1915 roku. [przypis edytorski]

— Nie rozumiem tego wszystkiego — rzekł w końcu — ale to pewna, że jest tu coś więcej niż zwykła szarlataneria. Ale co?

— Właśnie tego jestem ciekaw — rzekł Butrym.

Szli w stronę Wisły, rozmawiając.

— Czy nie przeprawi się pan ze mną na Dębni³³? — zagadnął Śniegocki około mostu. — Tak mnie zajęło to, co pan mówi...

— Późno jest — odparł profesor, spoglądając na zegarek — a mnie czeka żona pewno z kolacją. Więc, choć się panu ode mnie już od dawna należy wizyta, niech pan raczej zawróci i pójdziemy ze mną. Zjemy, co będzie, a potem pogadamy. Mam dzisiaj wieczór wolny.

— Nie odmawiam. Poza przyjemnością, jaką mam z pańskiego towarzystwa, lubię pański dom, bo jest spokojny, cichy, jasny i znać, że jest dobrze ludziom, którzy w nim mieszkają. Jeślibym kiedy w życiu popełnił to, epidemicznie zresztą grasujące, szaleństwo i ożenił się, to chciałbym trafić tak jak pan i znaleźć kobietę do pańskiej żony podobną.

— No, no — zaśmiał się Butrym trochę wymuszenie — dajże pan pokój, bo będę zazdrosny!

— Musiałby pan w takim razie o cały świat być zazdrosnym, bo wszyscy wielbią panią Zośkę — w najgłębszym zresztą i najszczerzym szacunku.

Mimowolne, zaledwie dosłyszalne westchnienie wydarło się z ust Butryma, zaczął mówić o rzeczach obojętnych i codziennych, o pogodzie, o wykładach uniwersyteckich, o zbliżającej się zimie...

Śniegocki zapraszał Butrymową przy kolacji:

— Musi mnie pani kiedy odwiedzić wraz z mężem...

— Dlaczego koniecznie wraz z mężem? — żartowała pani Zośka. — Czyż nie mogę przyjść sama?

— *Madame* — skłonił się z komiczną przesadą — wdzięczny byłbym niesłychanie, ale jako kawaler...

— A cóż to ma do rzeczy?

— Zaraz, jeszcze nie skończyłem. Otóż jako że jestem człek samotny a panią wielbię niesłychanie, więc niezupełnie sobie dowierzam.

— Och! Byłem ja sobie dowierzała³⁴, to z pańskiego niedowierzania nic już z pewnością nie będzie!

— A widzi pan! — wtrącił Butrym, dotąd milczący — To panu oddała!

— Jak zwykle dostałem po uszach. Ale ostatecznie nie o to idzie. Niech mnie pani rzeczywiście kiedy odwiedzi, a zobaczy pani zupełnie nowy rodzaj gospodarstwa. Może pani ode mnie coś nie coś skorzysta.

— Czy sądzi pan, że ja nie jestem dobrą gospodynią?

— Mam pewne wątpliwości w tym względzie — śmiał się — ale choćby pani była i najlepszą, to tego pani nie potrafi, co ja.

— Cóż to za cuda?

— Rzeczywiście cuda. Jestem z natury skąpy. Zresztą muszę, bo ta docentura... coś nie bardzo tego... a wie pani, że co roku wyjeżdżam trochę powłóczyć się po świecie, więc trzeba coś na to odłożyć...

— Zatem system oszczędnościowy?

— Znacznie więcej! Wynalazłem osobną metodę. Sposób uproszczonego prowadzenia domu.

— Jakże to?

— Naprzód nie trzymam służącej, ani -cego.

— Sprząta pan sam?

— Ani mi w głowie! Od czego zasada naturalnego uwarstwienia przedmiotów?

— Cóż to ma znaczyć?

— Zaraz. Czy pani nie uważała, że tak zwane porządkowanie jest właściwie najstraszniejszą ruiną i ponadawaniem przedmiotom codziennego użytku takich położeń, w jakich ich właściwie wcale używać nie można?

³³Dębni^{ki} — dzielnica Krakowa. [przypis edytorski]

³⁴Byłem ja sobie dowierzała — dziś raczej: bylebym ja sobie dowierzała. [przypis edytorski]

— Tego nie uważałam nigdy.

— Ale ja za to — wtrącił znów Butrym ze śmiechem. — Porządki na moim biurku, po których niczego na właściwym miejscu znaleźć nie mogę, są po prostu moją zmorą!

— Otóż daruje pani, ale w tym wypadku przyznaję słusność profesorowi. Wedle zasady naturalnego uwarstwienia przedmiotów, każda rzecz znajduje się tam, gdzie jej się używało, czyli w miejscu najwłaściwszym. Nadto przedmioty więcej używane — przez naturalny bieg wypadków — na wierzchu, rzadziej — pod spodem.

— Ładny tam chaos musi być w pańskim mieszkaniu!

— Nie jest tak źle. Trzeba tylko mieć zasady, a niezbyt wiele rzeczy w domu. Drugą zasadą moją jest kuchnia skomasowana³⁵ i ujednostajniona...

— O, niech mnie pan tego nauczysz! Obeszłabym się wtedy może bez kucharki, która jest przekleństwem życia tak zwanej gospodyni.

— Moja zasada wyklucza wprost istnienie kucharki! — Przede wszystkim gotuję kolację sam. Aby oszczędzić niepotrzebnej straty energii na wymyślanie menu, jem codziennie to samo, mianowicie kaszę. Teraz niech pani pomyśli, siedem razy na tydzień kaszę gotować. To jest po prostu straszne! Wobec tego komasuję tę sprawę i gotuję kaszę w poniedziałek na cały tydzień od razu.

Butrym słuchał tych żartów i usiłował brać w nich udział. Ale roztargniony był i obecnością bardzo zresztą miłego gościa znużony. Ukradkiem poglądał na zegarek, a wreszcie wysunął się do swego pokoju, zbyt dobrze znając Śniegockiego, aby się mógł obawiać obrazy z jego strony.

Siadł przy biurku i podparł głowę rękoma. Przez niedomknięte drzwi dolatywały go odgłosy rozmowy i jasny, swobodny śmiech żony, potem słyszał, że siadła do fortepianu i grała. Drażniła go dzisiaj ta muzyka, bo przeszkadzała mu zebrać rozpierzchłe myśli. Spotkanie z Firdussim wracało mu ciągle do pamięci i im więcej o tym myślał, tym niezrozumialszą wydawała mu się cała rzecz. Aby odegnać tę zmorę od siebie, poszedł do biblioteki i wziął pierwszą lepszą książkę z brzegu, nie patrząc nawet na tytuł.

Przez chwilę miał oczy wlepione w rozwartą stronicę, ale liter zgoła nie widział. Po pewnym czasie dopiero uderzyło go zdanie:

„Są ludzie przychodzący z dala, o których nie da się nawet dokładnie powiedzieć, skąd przychodzą, z czasu czy z przestrzeni. Poznasz ich po tym, że *widzą*. I wiedz, że *widzieć* będą aż tam, skąd przyszli, dopóki ziemia ich nie przyciągnie i nie przywiąże do siebie. Wtedy osłepną i wzrok będą mieli tylko ziemski”.

Butrym ze zdziwieniem odwrócił książkę i spojrział na tytuł. Było to jakieś dzieło teozoficzne, nie do niego nawet należące, ale pożyczone od Krasołuckiego, który wtykał mu niekiedy w dłoń różne książki ze swego bardzo skomplikowanego księgozbioru. Tej Butrym dotąd nawet nie zauważył i nie pamiętał, kiedy ją wziął. Gdyby nie nazwisko lekarza na karcie tytułowej, nie wiedziałby, skąd ją zna...

Z drugiego pokoju dolatywały go strzępy rozmowy.

— Zdaję mi się, że pan Mieczysław jest naprawdę przemęczony pracą. Powinna pani starać się jakoś nakłonić go do odpoczynku albo rozrywki...

— Ależ owszem! Bawi się. Przesiaduje czasem w kawiarni po całych nocach. Nie mam też mu tego zresztą wcale za złe.

— Pani jest po prostu idealna żona.

— Nieprawdaż?

Butrym czytał znowu:

„Człowiek widzący szuka takiego, który by słyszał. Jeśli go znajdzie, to mówi, lecz biada, jeśli słyszający nie słucha albo nie słyszy. Wtedy bieg świata zostaje cofnięty, a wina jest tego, który przewinił, będąc na ziemi”.

— Niech mi pan powie — pytała pani Zośka w drugim pokoju — czy to bardzo jest zabawnie w tych waszych nocnych kawiarniach?

— Niech pani zapyta męża.

— Ach, on mi nie powie. Będzie się bał, abym kiedy nie zechciała iść sama.

— Pani by poszła?

³⁵skomasowana — całościowa. [przypis edytorski]

— Dlaczegożby nie? Aby się przekonać... To jest w ogóle straszna niesprawiedliwość, że wy mężczyźni używacie wszystkiego i wszystko znacie, a nam niczego nie wolno.

A Butrym czytał:

„A na ziemi jest każdy, kto wyciągnął rękę po kobietę i widzi w niej cośkolwiek więcej ponad środek wcielania duchów, żadnych ciała dla odbycia oczyszczającej wędrówki. Świętość jest w tym dziele kobiety, ale w każdym innym zatrata jest i zguba. Kobieta jest kwiatem ziemi, z wnętrza jej wyrosłym, mężczyzna zaś meteorem, który, chociaż spadł na ziemię i zagaśł, do żuźla podobny, pochodzi z gwiazd. Szukajcie dopełnienia, ale nie wikłajcie losów świata — to jest słowo mądrości prawdziwej...”

Pani Zośka mówiła:

— Nie rozumiem tej różnicy, jaką się wiecześnie robi: mężczyzna, kobieta! Przecie ja tak samo jestem człowiekiem, a może nawet w wyższym stopniu niż pierwszy lepszy osioł, którego całą dumą jest, że przypadkowo tę, a nie inną płęć od natury otrzymał...

— Hm, proszę pani, z płcią idzie cały szereg różnic fizjologicznych, rozciągających się na cały jego organizm, na wszystkie jego tkanki, nawet na mózg...

— Och! Na to nie zgodzę się nigdy! To wasz złośliwy wymysł, czysto męski... Natrętni jesteście, nieznośni i obrzydliwi! Na świecie byłoby dopiero wtenczas dobrze, gdyby rządziła kobieta.

— Czyż nie rządzi w istocie? Pani Zośko, co, czy nie rządzi?

— To nie o takie rządy chodzi, jakie pan ma na myśli. W pewnej czci i uległości, jaką wy nam niby okazujecie, jest największa obelga. Patrzycie na czas ciągle z obrzydliwie... fizjologicznego stanowiska, jak na kochanki albo matki, gdy my przede wszystkim ludźmi jesteśmy.

Butrym czytał:

„I niech się *widzący* nie przywiązuje do ziemi, niech *słyszący* słucha głosu z gwiazd, a niech się obaj mają na baczności, bo ziemia przyciąga i wonią kwiatów odurza i mówi: Oto kwiat jak gwiazda lśniąca a bliski, w nim także jest dusza. Ale tu nie o duszę chodzi, lecz o ducha, który sam jest twórczy i nieśmiertelny. Bez duszy nie ma niczego, co żyje, a to wszystko przecie przepada i celom ziemi służy jedynie...”

Uczuł, że dwoje ciepłych ramion otacza mu szyję. Przygarnął ją miękko do ust i okrywał cichymi, słodkimi pocałunkami.

— Czy poszedł już? — spytał po chwili, pociągając żonę na swe kolana.

— Poszedł. Dlaczego uciekłeś? Tak nie lubię, gdy mnie samą z kim zostawisz... Zresztą to jest naprawdę niegrzecznie.

— Cicho, Zośka, cicho. Nie rób już wymówek. Zmęczony dziś byłem strasznie i rozstrojony. Miałem takie dziwne zdarzenie...

Chciał jej opowiedzieć spotkanie z Firdussim, ale nie umiał jakoś znaleźć słów dla zacementowania tego opowiadania. Ona nie dopytywała. Oparła głowę o jego skroń i całując go błado jednym kącikiem ust, patrzyła w zamyśleniu gdzieś przed siebie. Ujął jej dłonie i gładził delikatnymi, miękkimi dotknięciami...

— Ach, Boże! — wykrzyknęła naraz z nagłym dreszczem, usuwając swe ręce.

— Co ci jest, Zosik? Co?

— Jestem tak okropnie nieszczęśliwa!...

— Co się stało?

Patrzyła mu prosto w twarz chłodnym, badawczym, nieco jakby zdumionym wzrokiem.

— To jest straszne po prostu. Tyś mi się już tak okropnie znudził.

Usunął ją delikatnie z kolan i posadził na krześle. Sam zaczął chodzić po pokoju ze schyloną głową i założonymi w tył rękoma. Wodziła za nim wzrokiem.

— Czemu nie odpowiadasz? Czemu mnie bodaj nie pożałujesz?

Uśmiechnął się smutno.

— Żałować mógłbym chyba tylko siebie w tym wypadku.

— A otóż! Wieczysty egoizm. Cóż tobie? Przecież ja ci się podobno jeszcze nie znudziłam, więc jest ci ze mną dobrze. Ale ja... Lubię cię, lubię, owszem, ale tak mi się okropnie sprzykrzyłeś przez te siedem lat, a muszę z tobą żyć.

Równouprawnienie, Płeć,
Kobieta, Mężczyzna

Patrzył na nią przez chwilę, niepewny, czy to żart z jej strony, czy też prawda... Oparła łokieć na założonych kolanach, brodę na dłoni i patrzyła przed siebie. W oczach jej szeroko rozwartych dostrzegł duże, błyszczące w świetle lampy łzy.

Podszedł i przesunął ze smutną serdecznością dłoń po jej jasnych włosach.

— Zośka, więc czemuż ze mną pozostajesz?

— A dziecko?

— Jacuś? Wychowam go sam, jeżeli już tak musi być.

Odepchnęła go gwałtownie od siebie.

— Ach! Nie znoszę tej twojej udawanej dobroci! Czemu nie powiesz raczej od razu, że ci o mnie w ogóle nie chodzi? Przecież to są kpiny. Wiesz, że ja Jacka zostawić nie mogę.

Ruszył ramionami.

— Nie widzę tedy żadnej rady — rzekł oschle.

— Naturalnie! Cóż cię to obchodzi, że ja się męczę po prostu. Przecie tobie zależało tylko na tym, aby mieć syna. I masz go, masz! To nie zajmowało cię nigdy, co ja myślę, co czuję, czego chcę.

— Nie jesteś sprawiedliwa. Myślałem o tym i myślę zawsze więcej, niż sądzisz.

— O! Gdybyś był myślał!... Nie zastosowałeś żadnego kroku w życiu swym do mnie, nigdy mnie nie miałeś na względzie.

— Idę swoją drogą — rzekł poważnie — na to nie ma już rady.

— A moja droga, co? A moja? Wieczyste krążenie między salonem, kuchnią a dziecinnym pokojem. Może bym przecie także chciała żyć, robić coś na świecie. Tyś wszystkiego używał, wszystkiego próbował, stoi ci wszystko otworem, a ja?

— Zośka, czegoż ty chcesz nareszcie?

— Nie chcę niczego, czuję tylko, że mi się straszna niesprawiedliwość dzieje. Nawet w miłości... Miałeś w życiu dość kochanek i dziś, gdybym ja ci się usunęła, możesz mieć kochankę i nikt ci tego nawet za złe nie weźmie. A ja znam w całym życiu tylko ciebie jednego i ciebie tylko będę znać — aż do przesyty!

Zaśmiał się mimo woli.

— Zośka! Więc ty chciałabyś mnie zdradzać?

— A! Nie o to chodzi. Choćbym chciała, to cię zdradzać nie będę, bo mam wstręt do was wszystkich, mężczyzn, brzydzę się wami! Brzydzę się, słyszysz? Ale to mnie gnębi, że mnie nie wolno tego, a choćby mi było wolno, że się na to nie zdobędę, na co ty śmiało możesz sobie pozwalać.

— Moja droga, są jednak pewne różnice...

— Banalne, głupie zdanie, które już od dawna, umiem na pamięć. A jeśli już tak myślisz naprawdę, to mógłbyś tę mądrość życiową, zachować dla siebie, na domowy tylko użytek, a nie produkować się z nią zawsze i wszędzie, w mojej obecności. Obrażasz mnie tylko przez to i na obelgi narażasz.

— Jak to?

— Prosta rzecz. Bodaj taki Śniegocki. Chłopak, któremu zaledwie wąż się wysypał. Słyszysz, jak ty mówisz do mnie w jego obecności o tej rzekomej niższości kobiet i ośmiela się to potem sam w rozmowie ze mną powtarzać. Nie będę go w ogóle więcej przyjmować. Nieznośny jest.

— Zdawało mi się owszem, że go lubisz...

— Tak, ale to nie jest powód, aby mnie obrażał. A ty jesteś wszystkimu winien!

Ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła nerwowym płaczem.

Ujął ją za rękę i pociągnął na stojącą w rogu otomanę. Tutaj posadził ją w kącie i usiadłszy przy niej, zaczął mówić spokojnym, powolnym głosem:

— Ja rozumiem doskonale twoją tragedię, ale naprawdę, że leży ona w, tobie samej. Z ciebie zakpił sobie po prostu los czy Pan Bóg, stwarzając cię kobietą. Masz zupełnie męskie popędy do samodzielnego i twórczego życia, a nie możesz, się zdobyć na żadną w tym kierunku inicjatywę, bo poza tym jesteś w każdym calu kobietą...

— Daj mi pokój z tymi swymi rozumowaniami! — przerwała przez łzy. — Drażni mnie to.

— Nie chcę cię drażnić ani ci dokuczać, chcę ci owszem dać dowód, że cię rozumiem i odczuwam, a nawet współczuję...

Kobieta, Mężczyzna

— Nie proszę cię o tę łaskę, nic mi na niej nie zależy.

Butrym udał, że nie usłyszał tych słów, przez zdławione gardło wyrzuconych.

— Trzeba koniecznie — mówił — abyś się uspokoiła, rozerwała, przysłała do porządku z samą sobą. Tutaj to trudno. Ja sam czasem jestem zdenerwowany i nie tak dobry dla ciebie, jakbym być chciał i powinien. A przy tym sama moja obecność nie sprzyja twemu pokojowi. Masz ciągle wrażenie, że jest ktoś przy tobie, kto ci chce narzucać swą supremację... Zresztą, może ja nawet rzeczywiście robię to mimo woli. Najlepiej to będzie, żebyś na jakiś czas wyjechała. Czy do rodziny swojej, czy gdzieś za granicę... Chciałaś studiować trochę, popracować dla siebie, zobaczysz innych ludzi, inny świat i będziesz przede wszystkim przez jakiś czas sama...

Pani Zośka płakała cicho z głową opartą o jego ramię.

IV

Butrym pisał:

„Moja droga, od czasu jak wyjechałaś, pusto mi jest i tak źle, że aż się dziwię czasem. Zżyłem się z Tobą i choć nie zawsze dobra dla mnie jesteś, brak twój okropnie odczuwam. Dom mi zmartwiał cały, odkąd Ciebie nie ma. To kilka dni dopiero, a mnie się już czas tak dłuży. Gdyby nie Jacek, nie wracałbym po prostu do domu, tak w nim jestem samotny. I on też tęskni za Tobą. Codziennie rano budzi się jak wróbelek ze świtem i przybiega do mego pokoju boso i w koszulce, i pyta: „Czy mamusia przypadkiem w nocy nie przyjechała?”. Wieczorem muszę go sam usypiać i opowiadać mu bajki, w których zawsze i Ty występujesz, jako jedna z *dramatis personae*³⁶. Jeśli przypadkiem imię Twoje opuszczę, opowiadając mu różne wymyślone cuda o myszkach, konikach albo krasnoludkach, upomina się o Ciebie i uzupełnia: „a mamusia też tam była!”. W ten sposób towarzyszysz w jego myśli wszystkim ptakom, gwiazdkom mrugającym oczkami, zabłąkanym w lesie dzieciom i złotym rybkom, śpiewającym w kryształowym podwodnym pałacu...

To dziecko jest dla mnie takim szczęściem niesłychanym, że nie wiem, jak Ci mam za nie dziękować. Robię sobie też często wyrzuty, że nie zawsze myślę o tym, jak wiele w życiu mi dałaś i nie dość jestem cierpliwy i wyrozumiały wobec Twego, bardzo zresztą czasem naturalnego, zdenerwowania. Zośka! Ja Ci nawet nie umiem powiedzieć, jak ja strasznie pragnę, aby nam było naprawdę dobrze ze sobą... Nie mówmy już o tym — prawda? Nie potrzeba. Wrócisz za parę tygodni uspokojona, świeższa, wesola, zobaczysz, z jaką tęsknotą Cię powitam i jak się będę starał, aby Ci nie dać niczym powodu do rozdrażnienia, w niczym Ci nie robić przykrości. Pragnę, abyś w domu miała ten pogodny, słodki uśmiech, z którym zazwyczaj widuję Cię tylko, gdy z obcymi ludźmi rozmawiasz... I wiesz Ty, że ja jestem wtenczas tak niewypowiedzianie zazdrosny! Zdaje mi się, że gdybyś Ty kogo innego pokochała i poszła ode mnie, zniósłbym to łatwiej, aniżeli tę myśl, że jesteś jasna, jesteś słodka, dobra jesteś i kochana — a ja nie mam nic z tego! Zośka, może w tym jest i moja wina, ale Ty mi daruj. Starszy jestem znacznie od Ciebie, mam swoją, pochłaniającą mnie pracę i trudno mi się czasem nagiąć do niektórych rzeczy, ale bądź i Ty wyrozumiała.

Pamiętasz, gdyśmy się poznali? Nie myślałem wówczas jeszcze, że będziesz moją żoną... Miałas ze dwadzieścia lat, ale w duszy — mimo studiów, któreś odbywała — byłaś taką małą, małą i bardzo czystą dziewczynką. Patrzyłaś na mnie dużymi, jasnymi oczyma i raz pocałowałaś mnie pierwsza, prawie publicznie, z jakąś niewysłowioną prostotą i mówiłaś mi, że mnie kochasz. Zośka! Czyż to już tak bardzo dawno temu?

³⁶*dramatis personae* (łac.) — osoby dramatu. [przypis edytorski]

Wówczas już w pracy swej zawodowej dosyć daleko postąpiłem i miałem w świecie pewne znaczenie. Prosiłem Cię, abyś nie patrzyła na mnie jak na człowieka, który z gwiazd do Ciebie przychodzi, bałem się, że mnie zbyt idealizujesz, bo to się potem zawsze mści. Śmiałaś się wówczas. *Przebaczę Ci zawsze wszystko* — mówiłaś, — *bo jesteś jasny i mądry, i masz taką potężną moc i radość życia w sobie, i ja wiem, że mi z tobą będzie dobrze, wierzę, że zawsze będziesz lepiej ode mnie wiedział, czego mi potrzeba...* Miałbym ochotę głową bić o mur, gdy sobie to przypominę, i włosy targać na łbie z rozpacz, że tak nie jest! Nie jest! Nie jest! Snać ja nie byłem taki, jak Ty sobie wyobraziłaś albo też Ty teraz, patrząc zbyt z bliska na mnie, widzisz w karykaturalnym powiększeniu wszystkie moje wady i niedostatki, nie umięjąc już dojrzeć poza nimi tego, co we mnie może jest naprawdę jasne i dobre. A najlepsza jest we mnie miłość dla Ciebie, Zośka, w to wierz, proszę Cię...

Poza tym cóż Ci mam pisać? Życie tu moje idzie zwykłym trybem, pracuję dużo, poza wykładami przesiaduję jeszcze po kilka godzin dziennie w obserwatorium nad tymi cudownymi obliczeniami, w których powoli cały wszechświat mi się tak ujawnia i objaśnia. Szkoda, że Ciebie to tak mało zajmuje. Nieraz w domu mam ochotę mówić Ci o tym, Tobie jednej na świecie, gdyż wiesz, że poza tym nie lubię i nie umiem o swych pracach z nikim rozmawiać. Ale Tobie chciałbym czasem opowiadać o tym wszystkim i pokazać Ci tę otchłanną, przerażającą mądrość istnienia, i tę tajemnicę porządku, niezgłębioną zagadkę alfy i omegi.

Gdyś wyjeżdżała, mówiłem Ci o Firdussim, dziwnym człowieku, który tu do mnie przyszedł. Im dłużej z nim przebywam, tym mniej wiem, co o nim myśleć. Zdaje się, że to nie jest szarlatan, a nie mogę zrozumieć przedziwnej konstrukcji jego ducha, który w pewnych chwilach czyta w gwiazdach jak w otwartej księżce i sam jest zdumiony tym, co przeczytał. Zresztą opowiem Ci wszystko, gdy do mnie znowu przyjedziesz.

Ze znajomych spotykam się tylko częściej ze Śniegockim, którego coraz więcej lubię, i z Krasołućkim. Tęgo, wiem, że Ty nie znosisz, ale powiadam Ci, że to jest ciekawy człowiek, mimo najgorszych pozorów, bardzo w duszy głęboki, dobry i bardzo nieszczęśliwy.

Przyjeźdź jak najprędzej! A raczej — zostań tak długo, jak chcesz, ale przywieź nam tu obojgu trochę tego słońca, które Ci tam świeci nad morzem. Brak go tutaj strasznie, dni są ponure, zimne, mgliste, jesienne... Ściskam Cię z całego serca i całuję Twe oczy długo i gorąco. Jacuś wie, że piszę list do Ciebie, a i upomina się, abym go *szybko nauczył pisać*, to on się do mamusi dopisze...! Ponieważ to nie da się tak prędko załatwić, więc tymczasem całuję Cię także i od niego. Pisz dużo — co robisz, co myślisz, jak się czujesz.

Twój Mieczysław.

Pani Zośka odpisała:

Monte Carlo, dnia... listopada...

Mój drogi, że Ty też nie umiesz pisać inaczej, jak tylko z wyrzutami! Pomyśl, że ja przecie mam tego dosyć w domu i tu mnie oszczędź przynajmniej, abym mogła wytchnąć i przyjść nieco do równowagi. Wiesz dobrze, że za powrotem do domu czeka mnie znowu ten nieznośny kierat zajęć codziennych i niekończąca się nigdy litania Twoich do mnie pretensji. Niechże choć tutaj o tym nie myślę. Przyślij mi trochę pieniędzy, bo to, co wzięłam z domu, już się wyczerpało. Zresztą w tych dniach powinna była nadejść

moja renta. Skieruj ją tutaj od razu. Na Jacka uważaj. Niech nie biega do Twego pokoju boso i w koszuli, bo się przeziębi. Ucałuj go ode mnie bardzo, bardzo i przyslij mi jaką dobrą jego fotografię. Nie wiem jeszcze, kiedy wrócę. Pogoda jest bardzo ładna. Poznałam tu kilku miłych ludzi. Zwłaszcza jednego Hiszpana o czarnych, palących jak węgle oczach. Szkoda, że ja już jestem taka stara i wcale nie mam ochoty „puścić się”. A Ty się tam musisz dobrze z Krasołuickim łajdaczyc!

Całuję Cię. Zofia

Profesor Butrym zadumał się nad listem żony. W pierwszej chwili odruchowo chwycił kartkę listowego papieru i chciał natychmiast odpowiedzieć... Kłębily mu się w myśli słowa pełne goryczy i żalu.

— Zośka, Zośka — powtarzał do siebie półgłosem — więc to jest cała odpowiedź Twoja na mój list? Więc tyle w nim tylko wyczytałaś? I nic mi więcej nie miałaś do powiedzenia?

Wstał i ścisnąwszy skronie rękoma, począł chodzić po pokoju. Uczucie jakiejś głębokiej, a niedającej się określić krzywdy wzbierało w nim i w końcu poczęło kipieć zawziętą złością. Ściągnął brwi, aż ból poczuł w zmarszczonym czole, na zaciśniętych zębach wargi rozchylały mu się nerwowo jak u zwierza, który chce kąsać.

W tej chwili Jacek wszedł do pokoju. Spojrzał na ojca zdumiony.

— Tatusiu, co tatuś robi?

Butrym opamiętał się.

— Nic, synku, nic...

— Tak? A czemu tatuś się wykrzywił, chodzi po pokoju i trzyma się za głowę? Czy tatusia główka boli?

Nie odpowiadając dziecku, przygarnął je do siebie i usiadł z nim razem na kanapie. Rysy mu się wygładziły, patrzył na syna długo i smutno. Jacek zaczął się niecierpliwić:

— Czemu mi się tatuś tak przypatruje? — Przecie ja jestem umyty...

— Tak, tak, umyty jesteś, synku — rzekł prawie bez myśli, gładząc jego jasną głowę. Poczul w oczach całkiem głupie, śmieszne łzy.

— To niech mi tatuś... opowie bajkę! Albo nie! Niech tatuś powie, co mamusia teraz robi?

— Mamusia? Pisała do nas właśnie.

— I co do nas pisała?

— Kazała cię ucałować bardzo, bardzo i powiedzieć ci, żebyś był grzeczny.

— Ja przecie jestem grzeczny!

— Bardzo się z tego cieszę i mamusia się także ucieszy, gdy przyjedzie.

— A kiedy mamusia przyjedzie?

— Nie wiem. Może dopiero na Boże Narodzenie.

— Aha. Jak będzie *Nabożerodzenie!* To wtenczas, kiedy są świeczki na drzewkach.

— Tak, synku.

— I śnieg. A czy prędko będzie *Nabożerodzenie?*

— Za parę tygodni.

— To ile to jest? — Rozstawił palce i patrzył na nie, jakby chciał wyobrazić sobie za ich pomocą jakąś przystępną dla siebie liczbę.

— Czekać, paluszków jednej ręki nie wystarczy. Musisz jeszcze jeden z tamtej drugiej dodać.

— Sześć! — zawołał chłopiec z triumfem. — To tyle dni?

— Nie, tygodni tyle.

— A co to jest *tygodzień?*

— Od niedzieli do niedzieli.

Chłopak pokręcił głową z niedowierzaniem. Te zawile obliczenia przechodziły jego zdolność pojmowania.

— Wiesz, tatusiu — rzekł wreszcie — to wcale tak nie jest! Mamusia do nas już jedzie. Ja tatusiowi opowiem. Siadła sobie na łódkę i przyprzągnęła do niej dwa kotki.

— Ależ przecie kotki po morzu pływać nie umieją!

— To nic nie szkodzi. Tam są takie kotki, co umieją.

— I cóż dalej?

— I tak mamusia siedzi w łódce i sobie myśli: czy wnet będzie *Nabożerodzenie* i czy tatuś poszedł do obserwatorium? I czy ja się wieczorem myję i czy przy myciu nie wrzeszczę?

— A ty nie wrzeszczysz?

— Troszeczkę tylko! Naprawdę tylko bardzo troszeczkę! Bo Anulka zawsze tak robi, że mi mydło wchodzi do oczek!

— To czemuż oczek nie zamykasz?

— Przecież nie mogę! Przecież muszę się patrzeć, jak się z mydła bańki robią na miednicy!

Butrym śmiał się, zupełnie rozweselony.

— Ale teraz idź już do Anulki, mój malutki. Tatuś musi list do mamy napisać.

— Dobrze. To ja mogę już iść. Ale niech tatuś mamę bardzo ode mnie pocałuje.

— Dobrze, synku, dobrze.

— I powie, że ja mamę kocham.

— Dobrze, powiem i to.

— I tatusia, i Anulkę, i babcię także, ale babcia do nas nie przyjechała.

— Napiszę wszystko.

Po wyjściu syna siadł przed przygotowaną kartką papieru i zaczął pisać:

Moja najdroższa, nie martw się niczym i staraj się bawić jak najlepiej.

My sobie tu jakoś radzimy bez Ciebie, chociaż nam obom bardzo smutno, i mnie i Jackowi. Ale i o tym nie myśl. Jeśli tam jest słońce, to siedź w słońcu i patrz na morze...

Wejście Śniegockiego przerwało mu list. Powstał i odsunawszy nieco papier, przywitał się serdecznie z przybyłym.

— Czekałem na pana...

— Nie mogłem wcześniej przyjść.

— I cóż?

Śniegocki zrobił nieokreślony ruch głową.

— Badaliśmy go obaj z Krasońskim przez kilka dni. Ostatecznie zdaje się być człowiekiem zupełnie normalnym.

W fizycznym znaczeniu.

— Naturalnie. Cóż więcej można powiedzieć! Są tylko takie pewne drobne rzeczy: W pewnych chwilach skurcz tęczówki — aż do zaniku prawie — i zupełna niewrażliwość źrenicy na światło, pewna, występująca czasem jakby kataleptyczna automatyczność ruchów, z pełnym wykluczeniem w tych chwilach odruchów nerwowych... Poza tym, co najdziwniejsza, człowiek całkowicie na wpływy tak zwanej hipnozy odporny i niepoddający się sugestii w żadnej formie...

— Dziwna! A co on sam mówi o sobie?

— To jest właśnie coś irytującego! Pozwala się badać i patrzy na nas z takim pobłażliwym uśmiechem... Gdy się go o co spytać, odpowiada z gotowością, ale nie podobna oprzeć się wrażeniu, że pytania nasze uważa właściwie za zbyteczne i pozbawione zgoła sensu. Raz wprost nam powiedział: „Panowie, badając mnie, nie rozwiążecie zagadki ani dla siebie, ani dla mnie. Czy przez badanie człowieka zrozumieliście panowie kiedykolwiek, jak najprostsza myśl jego do skutku dochodzi”. Nie mogliśmy mu odmówić słuszności.

Butrym chodził już po pokoju dużymi krokami.

— Nie umiem sobie także zdać sprawy z jego poziomu umysłowego — rzekł. — Nie brak mu wykształcenia. Mówi dobrze po francusku i po angielsku, a nawet coś nieco po rosyjsku, ale w rzeczach, o których wie najlepiej albo, jak sam się wyraża, które

„widzi”, jest właściwie zupełnym ignorantem. Nie mówię już o praktycznych zagadnieniach astronomicznych, bo tu zawsze można by jeszcze przypuścić fantazję, bujającą na podłożu pochwytych wiadomości, ale w czysto matematycznych obliczeniach... Ma się na przykład jakiś niezmiernie zawiły wzór, którego doprowadzenie do końca wymaga całego szeregu dni pracy, uciążliwego logarytmowania, użycia dyferencjałów i całek, a tymczasem on w pewnym momencie „przepowiada” jego wynik i nie myli się ani na jotę! Sprawdzałem to parokrotnie.

A przecież w wiedzy swej matematycznej wyszedł mało co ponad cztery kardynalne działania! I zdaje mi się, że jest zupełnie szczerzy, kiedy prosi, aby mu objaśnić to, co on „widzi”, bo sam nie zawsze dobrze widzenie swoje rozumie.

— Tak... To jest dziwne. Ale czy nie lepiej by było wobec tego dać spokój wszelkim badaniom i przyjmować po prostu rzeczy tak, jak są?

— Czyż to możliwe? Niechże pan uważa, że wtedy stoimy wobec czegoś wprost po-twornego. Taki Firdussi „dyktuje” nam wiedzę. To dobrze, ale my jego „prawd” nie możemy skontrolować. Tworzy się jakiś nowy kodeks tajemnic... objawionych, w które zarówno można wierzyć, jak nie wierzyć. To do absurdu doprowadza.

Śniegocki się zamyślił.

— Może pan ma rację. Ale być może także, że taka „księga widzeń” Firdussiego może posłużyć czasem za podstawę do krytycznego badania naukowego. Bo jeśli wspomnia-łem o zarzuceniu badań, to miałem wyłącznie osobę jego na myśli, ale nie treść jego wypowiedzeń, czy objawień...

— Tak, ale czyż można oddzielić człowieka od tego, co on mówi?

— Nie sądzę.

— A widzi pan!

Śniegocki milczał przez chwilę, a potem zaczął znowu:

— Hm, a jeżeli są istotnie „ludzie z gwiazd”, jak Firdussi sam siebie nazywa? Jeśli to tylko naczynia, przez które jakiś niepojęty strumień łaski świata przepływa? Co pan w tym wypadku zyska, poznawszy choćby najdokładniej owo naczynie?

— I to pan mówi? Fizjolog?

— Właśnie. Wiem, że my w swoich badaniach życia naprawdę tak mało co ponad skorupę samą poznajemy. Znamy doskonale wszystkie procesy, które towarzyszą podzia-łowi komórki, fotografujemy pod ultramikroskopem tworzący się centrosom, rozpad jądra, układ występujących nitek chromatyny, system promienistych włókien w istocie plazmatycznej i tam dalej, słowem zbadaliśmy cały mechanizm i absolutnie zrozumieć nie możemy, co go do ruchu pobudza i dlaczego tak, a nie inaczej działa.

— Dobrze, ale tu przynajmniej ma pan do czynienia ze zjawiskiem normalnym, to jest powtarzającym się zawsze i wszędzie, więc ostatecznie nic pan nie ryzykujesz, zado-walając się samem stwierdzeniem faktu, że taki jest! Zaś ta afery z Firdussim ma cechy nadzwyczajnej wyjątkowości: to jest po prostu sprzeczne z tym wszystkim, co za pewnik przyjmujemy.

— Ha. Może właśnie dlatego, że zbyt pochopnie rzeczy niektóre przyjmujemy za pewnik.

Butrym zaśmiał się trochę nerwowo.

— Znać, że pan kilka dni spędził w towarzystwie Krasołuckiego. Ten stary sen-tymentalny satyr ma pewne uprzedzenia do wiedzy, którymi i mnie czasem zaraża.

Śniegocki patrzył nań uśmiechniętymi oczyma.

— Czyż do wiedzy? Czy może tylko do tego, co za nią powszechnie uchodzi? W takim razie trudno mu tak bezwzględnie odmówić słuszności... Uśmiechali się obaj chytrze i smutno, patrząc sobie wzajemnie w oczy.

— Widzi pan — rzekł Butrym — śmiejemy się obaj. Augur³⁷ z augurem... Ale właściwie to płakać by nam się chciało.

— Czyż warto? — odparł Śniegocki i pchnął okno w pracowni profesora, otwierając je szeroko. — Niechże pan patrzy, jaki świat piękny poza całą wiedzą naszą!

³⁷ *augur* — w starożytnym Rzymie kapłan, który odczytywał wolę bogów na podstawie lotu ptaków oraz zjawisk atmosferycznych. [przypis edytorski]

Ku schyłkowi dnia wypogodziło się na świecie. Z okien domu, postawionego na wzgórzu, na samym końcu zamiejskiej kolonii św. Salwatora³⁸, rozciągał się widok szeroki na Wisłę i wznoszące się za nią pagórki i dalsze góry aż hen gdzieś po srebrno-błękitny skrawek Tatr, widny w pogodny dzień na nieboskłonie. Mgła lekka, od zachodzącego słońca złotawa, leżała nad Wisłą, dalej mienił się świat późnymi kolorami jesieni; wzgórza dalekie śnieg już pierwszy bielił.

Fala rzeźwego, chłodną wilgocią przepojonego powietrza wpadła do zamkniętej pracowni. Na prawo pomiędzy bezlistnymi drzewami widać było stok kopca Kościuszki, zrudziałą od wczesnych przymrozków trawą pokryty.

Profesor podszedł ku oknu i wsparł się ramieniem o uszak. Patrzył z pochyloną na bok głową gdzieś daleko przed siebie, na niebo zachodzące już brzegami siną barwą wieczoru. Nad głowami paliły się jeszcze wysoko zawieszony chmury ogniem zachodnim, ale zza Wisły i od strony Krakowa szła już noc z jakimś dalekim, celowym biciem dzwonów, poprzez świat się wlokącym.

— O czym pan myśli? — zagadnął Śniegocki po chwili. Butrym drgnął.

— Ach, tak mi przyszło do głowy... co żona moja robi w tej chwili.

— Pani jest wciąż nad morzem?

— Tak. I chcę, aby tam jak najdłużej została. Dopóki słońca tam dosyć...

— A pan się nie wybiera?

— Nie, nie. Pan wie, że mam robotę, wykłady... Nie mogę. Ale czasem, gdy tak patrzę stąd na świat, to doprawdy rwie mnie tak straszliwie poza te góry, gdzieś w kraje, które znałem, po których jeździłem, zdaje się tak niedawno, kiedy byłem młody naprawdę...

— I teraz powinien by pan wyruszyć.

— Może. Trudno mi się wyrwać. Pan wie, czasem w sprawach naukowych jadę na dwa — trzy tygodnie do Paryża lub Londynu, ale to się nie liczy. Chciałbym tak, jak dawniej....

— Jedź pan, jedź. Byłem niedawno w Hiszpanii. No, ja umiem tanio podróżować, pan by już dzisiaj tak nie potrafił, ale to ostatecznie obojętne. Cudowny kraj! Jakby z jakiegoś nieprawdziwego zdarzenia. Zwłaszcza tam na południu, w okolicach Sewilli, Granady...

Butrym przymknął gwałtownie okno i przeszedł do biurka, aby zapalić światło elektryczne.

— Tak, tak, proszę pana. Tak się to mówi, a ja tymczasem muszę tu siedzieć i pracować. Jeszcze w dodatku przyszedł mi tutaj Firdussi... Potarł ręką czoło i nachylił się nad rozłożonymi na biurku papierami. Śniegocki patrzył nań przez chwilę w milczeniu, a potem pożegnał się szybko i wyszedł.

Butrym pisał:

Kończę list, przerwany przed chwilą wejściem Śniegockiego. Zośka, tak Cię chcę zapytać i tak się boję zarazem... Zośka, chcesz Ty, żebym ja do Ciebie przyjechał? A wiesz, czego się boję? Nie tego, że Ty możesz *nie* powiedzieć, lecz tego raczej, abys z uprzejmości dla mnie, nie chcąc mi przykrości robić, nie odpisała: *tak*, choć może wcale tego nie pragniesz... Jak to dawno nie byłem z Tobą razem. Tu jest tysiąc rzeczy, które stoją między nami. I ten dom nasz, i to dziecko, choć tak strasznie kochane, i stosunki towarzyskie, i praca moja zawodowa, wszystko słowem, co na pozór nas łączy, a w istocie przeszkadza temu, abyśmy naprawdę byli ze sobą. Może właśnie dlatego trudno nam się czasem porozumieć. Tęsknię za Tobą — nie od czasu, jak wyjechałaś, ale odkąd jesteś moja... Wiem, że nie lubisz tego słowa, że zawsze chcesz być tylko swoją, ale cóż ja na to poradzę, że tak czuję.

Przyduszam w sobie nieraz wiele rzeczy, ale dzisiaj przed wieczorem otwarto przypadkowo okno w moim pokoju i to mi wystarczyło, aby mnie napadła taka szalona tęsknota za światem dalekim i za Tobą. Napisz jeno, czy chcesz, czy chcesz, żebym przyjechał? Trzymaj mnie tu wiele rzeczy i roboty zaczęte, i przekłety Firdussi, ale to wszystko jedno. Urządzą się tak,

³⁸kolonia św. Salwatora — Salwator, obecnie dzielnica Krakowa. [przypis edytorski]

żeby choć na tydzień, choć na dwa tygodnie... Tam będziemy razem i sami, przypomnimy sobie te czasy, kiedyśmy po raz pierwszy wyjechali oboje za granicę i cieszyliśmy się, i śmiali jak małe dzieci. Byłaś wtedy taka dobra i moja, i bliska. Wieczorem opierałaś głowę o moje ramię i mówiłaś, że jesteś zmęczona, a ja Cię prowadziłem do domu i siadałem przy Twoim łóżku i trzymałem ręce Twoje, pókiś nie zasnęła. Zawsze tak musiałem ukołysać Cię do snu, a czasem nawet bajki opowiadać, jak teraz Jacusiowi... Zośka, czy chcesz, żebym przyjechał? Powiedz, czy chcesz...?

Po skończeniu długiego listu Butrym poszedł sam wrzucić go do skrzynki na dworcu kolejowym, aby być pewnym, że dziś jeszcze pójdzie. Zwykle jeździł tramwajem do miasta, ale dziś po długim siedzeniu w dusznym — jak mu się zdawało — pokoju, zapragnął ruchu i powietrza. Szedł więc piechotą w dół koło odwiecznego Zwierzynieckiego klasztoru, a potem dalej ulicą między przedmiejskimi domkami, pomiędzy które błyskało czasem zmacone drobną falą zwierciadło Wisły.

W oknach starych niskich domów i większych smutnych, na zamieściu stojących kamienic błyszcząły już światła, droga była już niemal pusta. Nudzący się pod latarnią policjant skłonił się uprzejmie znajomemu profesorowi...

Minąwszy brudną ulicę Zwierzyniecką, Butrym wziął się plantami na lewo, trochę z przyzwyczajenia, gdyż tędy wiodła zwykle jego droga do uniwersytetu, trochę zaś z umysłu, aby nie iść przez ludne ulice śródmieścia.

W obrzasku rzadkich latarni majaczyły przed nim drzewa bezlistne, od całodziennej mgły jeszcze wilgotne, szerniałe... Tu i ówdzie na trawniku, zeschniętymi liśćmi zasypnym widniał niekształtny chochoł słomiany, kryjący w sobie krzak róży, zabezpieczony już przed nadchodzącymi mrozami. Profesor patrzył na to wszystko i myślał o palmach zielonych, o drzewach pomarańczowych, młodym, niedojrzałym jeszcze owocem pokrytych, o różach, co kwitną teraz pod ruinami na Palatynie³⁹...

Przyszło mu na myśl, że jeżeli żona zechce, aby do niej przyjechał, to nie zostanie z nią w Monte Carlo. Siądą w Nicei na statek i popłyną błękitną drogą w słońcu złocistym na Korsykę, a może dalej, do Palermo, do Taorminy patrzeć na morze poprzez zwalone kolumny starego greckiego teatru... Uśmiechał się do tej myśli i szedł coraz żywiej, jak gdyby czekał tam już na niego pociąg, mający go zawieźć do tych krajów słonecznych.

Nie zauważył nawet, kiedy się znalazł na dworcu kolejowym. Wrzuciwszy list do skrzynki, jakimś wewnętrznym pędem party, poszedł na peron patrzeć, jak pociągi w świat odchodzą. Trafiał właśnie na jakiś ekspres, idący do Nicei, który się tutaj kilkanaście minut zatrzymał. Szedł wzdłuż lśniących, dużymi szybami opatrzonych wagonów i przyglądał się obcym, obojętnym podróżnikom. Gdzieś przez szybę zamajaczyła mu kształtna postać kobieca, zielonym kostiumem obciśnięta; naprzeciw młodej kobiety siedział mężczyzna, nieco ku niej nachylony i mówił coś żywo, w oczy jej zaglądając. Słuchała go z uśmiechem, rzeźbiącym dwa filuterne dołeczki na jej policzkach, z przymrużonymi troszkę oczyma...

Naraz poczuł dłoń na swym ramieniu. Obejrzał się. Stał za nim Turski w podróżnym ubraniu, z miękkim, kraciastym szalem na ręku.

— Jedzie pan, jak widzę?

Turski ścisnął mu dłoń serdecznie.

— Tak, trochę w świat... Za długo już siedzę na miejscu...

— A cóż będzie tymczasem z pańskim teatrem w Zakopanem? Nie na to pan chyba miliony w nim utopił, aby go teraz — z początkiem sezonu — na łasce losu zostawiać?

— O, nie ma obawy! Zaręba dał się ostatecznie namówić. Aż do mego przyjazdu on wszystko będzie miał w ręku. Lepszego kierownika sobie wymarzyć nie mogę. Lepszy jest w każdym razie ode mnie.

Butrym miał ochotę zapytać o księżną Helenę, dzisiaj aktorkę, będącą główną osią całego artystycznego przedsięwzięcia Turskiego, ale przypomniawszy sobie, jakie niegdyś tych dwoje ludzi stosunki łączyły, a nie wiedząc, jak się obecnie właściwie rzecz przedstawia, nie chciał się okazać niedelikatnym.

³⁹Palatyn — jedno z siedmiu wzgórz w Rzymie. [przypis edytorski]

Spytał więc tylko obojętnie:

— I dokąd pan jedzie?

— Nie wiem jeszcze. Na razie na Riwierę, do Monte Carlo. Słońca chcę trochę zobaczyć.

— Do Monte Carlo?

— Zdziwił się pan...?

— Nie, nie. Tylko... jest tam teraz moja żona. Jeżeli ją pan spotka...

— Odszukam panią niewątpliwie. Cieszę się bardzo. Pozwoli pan ucałować piękne ręce swojej pani?

— Ależ naturalnie!

Chciał jeszcze powiedzieć, że może i on lada dzień w tamtą stronę podąży, ale jakiś wstyd nagły zamknął mu usta.

Uścisnęli sobie dłonie, Turski wskoczył do wagonu, konduktor drzwi już zamykał. Za chwilę powoli, powolutku, prawie nieznacznie szereg wozów poruszył się po szynach. Ozwało się ciężkie, głębokie westchnienie lokomotywy — jedno, drugie, trzecie... Butrym patrzył, jak pociąg nabiera pędu, jak koła chrzęścić zaczynają na spojeniach szyn w coraz żywszym, coraz żywszym tempie. Jeszcze chwil parę, a już tylko widać było czerwoną latarnię jak wyłupione krwawe oko, na ostatnim wagonie, coraz dalszą, coraz więcej ćmiącą się w ciężkiej, dymem węglowym przesyconej mgle.

V

Pani Zośka siedziała na kamiennej ławeczce wśród ogrodów zawieszonych na skalistym stoku montecarlijskiego przylądka. Szerokie, mięsiste i kolczate liście agaw strzelały nokoło każdej skalnej szczeliny, wypełnionej urodzajną czerwonawą ziemią, jedna z nich szła w kwiat: olbrzymi, wieloramienny świecznik kwiatostanu jak małe drzewo rysował się subtelnymi liniami na błękitie morza i nieba.

Po ścianie skalnej, tuż nad głową siedzącej, pięły się całym lasem rozgałęzione, kwitnące krzaki pelargonii czerwonej, w dół opadające, cudem jakimś do nadmorskiego wiszaru przychepione schodki kamienne wiodły do małego ogródka, wyglądającego z góry jak kosz pełen kwiatów białych, błękitnych, żółtych i różowych. Dalej płoniły się zarośla rododendronu, strzelał gdzieś cyprys, twardo korzeniami w urwistą wbity skałę, wiały na niebie czarne gałęzie pinii, pióropusze palm karłowatych, szeroko rozłożone, palczaste liście nieszpulek.

Pani Zośka, spuściwszy wzrok, patrzyła na morze, tuż u stóp swych poprzez pnącą się poniżej zieleni krzewu widne.

U brzegu woda ciemnogrnatowa rozbijała się o podnóże skały wolno, jakby leniwie idącymi falami i ociekała lśniącą białą pianą. Dalej — po toni — w szerokie bruzdy poranej skakało migotliwe słońce, przewijając się między plamami szafiru, seledynu, srebra i przedziwnej, głębokiej zieleni; dalej znowu, gdzie drobne fale zbyt odległe oku znikają, powierzchnia wód była jakby wygładzona, lśniąca, o zmiennym połysku perłowej macicy, z lekką złotym pyłem przyprószonej. Włókł się po niej leniwie jakiś mały parostatek, ciężko naładowane galary holujący i zostawiał za sobą ciemniejszą smugę, sierpem na wodę rzuconą i rozchodzącą się wstecz coraz szerzej, jak ogon bajecznego ptaka. Na samym nieboskłonie błyszcząły drobniuchne żagle łodzi rybackich, zbliżały się ku sobie z wolna lub znów się rozchodziły, niby jakiś na tempo wieczności obliczony taniec w słonecznych oddalonych zawodzące.

A dalej, dalej; jeszcze dalej jakby się morze niezznacznie wznosiło ku górze i bez wyraźnej granicy przechodziło w kopułę nieba ogromną, zrazu srebrzystą, potem modrą, ciemnym błękitem u szczytu około zionącego blaskiem słońca wymalowaną.

Pani Zośka czuła ten jarki, słoneczny blask na spuszczonej powiekach. Miała wrażenie, że promienie przenikają jej lekką suknię, bieliznę i skórę i dostają się w głąb aż do kości, i krążą żyłami w zleniwiałym tętnie po całym ciele, rozlewając po nim słoneczną, błogą, słodką, omdlałość...

Książka osunęła jej się z kolan na ziemię, nie mogła się zdobyć na ruch ręki, aby ją podjąć: trwała w ciszy słonecznej, w gęstym, wonnym, upajającym powietrzu, zatraciwszy prawie poczucie miejsca i czasu...

Morze

Ocknęła się dopiero na szelest jakiś. Przechodził po ścieżce przed nią młody człowiek w białym flanelowym ubraniu, skłonił jej się i znikł na zakręcie ścieżki. Słyszała za parę chwil kroki jego skrzypiące po żwirze tuż nad swoją głową.

Automatycznie i niechętnie schyliła się, aby podnieść książkę. Wypadł z niej list jeszcze nieotwarty. Wzięła go w rękę. Coś jak blady uśmiech przemknął po jej wargach.

— Mietek...

Rozerwała z wolna i niedbale kopertę, rzucając strzępy papieru na ziemię. Nim list jednak wzniosła do oczu, zawahała się na moment.

— Ach, Boże... jeśli znowu pisze co niemiłego — rzekła prawie głośno, marszcząc doskonale łuki brwi. Ręka z listem opadła jej bezwładnie na kolana.

— Czy ja go kocham? — myślała, patrząc na dalekie morze. — Chyba tak. Przecież nie kochałam nikogo innego. Ale może ja w ogóle nikogo jeszcze nie kochałam?...

Spojrzenie jej oczu zmąciło się, rysy twarzy zastygły w twardym i bolesciwym wyrazie.

Poczęła przywoływać na pamięć wszystkich ludzi, których знаła, lubiła, z którymi niegdyś bawiła się dobrze. Od lat dziecińczych. Braci swoich koleżanek, młodych synów sąsiadów na wsi, kolegów z ławy uniwersyteckiej, ludzi spotykanych na zabawie, w salonach, podróży, w domu... Ta lub owa postać mignęła przed nią w barwach żywych, przypomniał jej się jakiś moment oszalamiającego w piersi uczucia, jakaś chwila słodkiej we wspomnieniach rozmowy we dwoje, konna przejażdżka, uścisk dłoni, uśmiech, spojrzenie... I nic. Nie było nikogo, komu by się pragnęła kiedykolwiek oddać na śmierć i życie, nikogo, kto by pozostał w jej pamięci trwale i żywy, nie była nigdy niczyją — nawet w myślach — i nie chciała niczyją być. Wszystkie postacie pamięcią wywołane przewijały się przed nią jak mary bezkrwiste i znikwały gdzieś w szarym, obojętnym pomroku duszy.

Drgnęła przerażona. Z tym korowodem cieniów siedł przed nią i mąż jej jak inni daleki, jak inni obojętny, choć to przecie był ojciec jej dziecka, jedyny człowiek, któremu się oddała, z którym żyła szereg lat, któremu ongi powiedziała pierwsza, że go kocha.

— No tak! — krzyknęła głośno — ale ja przecie nie chciałam, aby się ze mną żenił! Po co on to zrobił? Czemu mnie do tego nakłonił!?

Uczucie strasznej krzywdy zdławiło jej krtań. Bezradnie chwyciła się rękami za skronie. Teraz dopiero miała wrażenie, że stało się coś nieodwołalnego, czego nie powinno było być, że popełniła potworną omyłkę, nie przez to nawet, że wzięła tego człowieka, ale że w ogóle komukolwiek wziąć się pozwoliła, kładąc w ten sposób dobrowolnie jakąś nieprzekraczalną tamę swojemu życiu. Życiu... Jakiemu życiu?

— Gdybym ja chociaż żyła — szeptała do siebie kurczącymi się do płaczu wargami — gdybym ja wiedziała przynajmniej, jak życie, jak to moje życie, które mnie ominęło, wygląda i czego ja od niego chcę?

Nic i nic. Uczucie pustki, codzienności, szarzyzny, brak jakiegokolwiek drogi wytkniętej i rozumnej, nieświadomość celu, nieokreśloność pragnień, niemożność nawet wypróbowania swoich sił... i obłądna, potworna, żrąca tęsknota za czymś, co miało być? Być mogło czy było powinno?

Rozplakała się gwałtownie i spazmatycznie. A równocześnie całym wysiłkiem woli pragnęła płacz powstrzymać. Włożyła zagięte palce do ust i zaczęła je gryźć młodymi, białymi, zdrowymi zębami, aż ból w stawach poczuła.

— O co ja płaczę? — powtarzała sobie. — Ach Boże! O cóż ja płaczę właściwie...?

Po jakimś czasie uspokoiła się nieco. Wyjęła z torebki lusterko i zaczęła porządkować włosy na skroniach, po czym lekko przyprószyła pudrem zaczerwienione powieki i nos..

Wzięła list męża i zaczęła go czytać z wyrazem twardej rezygnacji w wilgotnych prawie, oczach.

Na kartce wydartej z notesu ołówkiem pisała na kolanie odpowiedź do męża:

„Mój biedny, drogi Mietku, napiszę Ci tak po prostu: lepiej do mnie nie przyjeżdżaj. Gdybym wiedziała, że chcesz przyjechać dla siebie, że się tu będziesz cieszył słońcem, morzem i kwiatami, nie wahałabym się ani chwili, owszem rada bym była widzieć Cię przy sobie wesołym i spokojnym. Ale ja wiem, że to tak nie będzie. Chcesz przyjechać do mnie. Przyjedziesz

z powziętym z góry życzeniem, żebyś mnie zastał taką a taką, jak sobie wyobrażasz, jaką i mnie chcesz mieć: wesołą, dobrą, spokojną... A ja nie wiem, czy taka będę, czy potrafię być. I wtedy — zamiast sielanki, o której tak poetycznie piszesz — zacznij się co innego: Ty już wiesz! Będziesz mi robił wyrzuty, będziesz mnie męczył, a ja bym tego już w tej chwili znieść nie zdołała. I sam się będziesz męczył także. Lepiej pozostać w Krakowie albo, gdy chcesz koniecznie wyjechać, to zawieź Jacusia do babki na wieś i jedź sam, ale nie tutaj, gdzie ja jestem.

Nie gniewaj się na mnie, ja doprawdy dobrze radzę, dla nas obojga. Za parę tygodni będę może spokojniejsza i wróciwszy do domu, spróbuję nie drażnić Cię niczym. Teraz jeszcze muszę być sama chociażby tylko dlatego, aby przyjść do porządku z własnymi myślami...”

W Café de Paris było pełno. Dochodziła jedenasta przed południem, godzina, o której w kasynie otwierają się salony gry, mnóstwo ludzi niecierpliwych czekało już przed szerokimi schodami wspaniałego, po parweniuszowsku ozdobami przeładowanego budynku, aby wejść rychło jeno drzwi otworzą i zająć co lepsze, wczoraj przez wygrywających zajęte, a więc dziś szczęśliwe miejsca przy stolach... Inni, więcej cierpliwi, nie na tyle jednak, aby w domu tę uroczystą godzinę otwarcia tam dla złotego potoku przebyć, siedzieli naprzeciw w obszernym pawilonie Kawiarni Paryskiej i na dworze, pod jesiennym, ciepłym i pogodnym niebem. Dostojni, raczej na dyplomatów europejskich wyglądający, garsoni w czarnych kurtkach i białych do stóp sięgających fartuchach roznosili z godnością po angielsku przyrządzoną czarną herbatę i vermuth.

Pani Zośka przyszedłszy, usiadła na dworze tuż przy balustradzie kawiarni. Mieszając bez myśli łyżeczką herbatę, patrzyła obojętnym, roztargnionym wzrokiem na jakiegoś niby Araba w podejrzanej czystości burnusie⁴⁰, który jej usiłował sprzedać lichy paryski szal, wmawiając w nią⁴¹, że jest to towar wprost z Algieru czy Tunisu pochodzący. Dał wreszcie za wygraną i odszedł, przypuściwszy śnać, że dama owa albo jest głucha, albo też po prostu po francusku nie rozumie, kiedy, oka z niego nie spuszczać, najmniejszym drgnieniem, twarzy nie daje poznać, aby słyszała i zrozumiała to, co się do niej mówi...

Nagle, jak gdyby dreszcz elektryczny przebiegł po siedzących wokół ludziach. Drzwi do kasyna otwarto. Fala czekająca przed schodami poczęła płynąć w górę, w kawiarni wstawano od stolików, płacąc szybko garsonom niewydającym dla pośpiechu reszty, w chwil kilka wyludniło się niemal zupełnie.

Dwie kokoty, wstawszy znać raniej niż zwykle, weszły do kawiarni i usiadły w pobliżu Butrymowej. Patrzyła na nie z zajęciem. Nie były młode. Jedna lat może czterdziestu, silna brunetka o męskim wyglądzie z małym czarnym wąsikiem nad niewymalowanymi ustami w ogorzalej twarzy, miała lekki pilśniowy kapelusz na włosach zaczesanych w bok na jedną skroń i kostium ciemny, krojem męski ubiór przypominający. Z papierosem w ustach rozglądała się wkoło i co chwilę ze śmiechem rzucała towarzyszyce jakieś zdanie. Ta, dobrze już siwiejąca i niestarájąca się zamaskować swego wieku, z wytwornymi o dawnej piękności świadczącymi rysami, pełnymi jeszcze dziś miękkiego kobiecego wdzięku, patrzyła na nią miłośnie ogromnymi oczyma i korzystała z każdej sposobności, aby na silnej ręce jej położyć pieszczotliwie dłoń swoją gładką, smukłą, ciężkimi pierścieniami na każdym palcu strojną.

Kilku młodych ludzi, przechodząc, pozdrawiało te damy, odpowiadały lekkim, pełnym godności skinieniem głowy.

Butrymowa patrzyła na nie z coraz żywszym zajęciem. Miała wrażenie, że widzi przed sobą wrota do jakiegoś nieznanego sobie, a zaciekawiającego ją świata. Wyobrażała sobie mimo woli dnie i noce szalone, w jarzącym świetle przy dźwięku kryształowych kieliszków szampańskich spędzane, radość bujną i huczną, niczym nieskrępowaną i wyzywającą świat swobodę. Przyszło jej na myśl, że te kobiety nikomu nie podlegają, lecz owszem biorą sobie same kogo chcą i opuszczają go nazajutrz czy za kilka dni, bez troski, bez żalu,

⁴⁰burnus — arabskie okrycie wierzchnie przypominające płaszcz bez rękawów, ale z kapturem. [przypis edytorski]

⁴¹wmawiając w nią — dziś raczej: wmawiając jej. [przypis edytorski]

bez obowiązków, niezwiązane ani względami towarzystwa, ani rodziną, ani czyjąś, ciężką czasem jak kamień, miłością, którą się powinno — och! straszne słowo! — powinno odwzajemniać...

— Przeciwnie, one nie kochają nikogo — myślała z budzącym się w piersi uczuciem, podobnym niemal do zazdrości.

Młodsza z kobiet — z męskim nad kuszącymi ustami wąsikiem — zauważyła również Butrymową i zwróciła na nią czarne, palące oczy.

Pani Zośka uczuła, że robi jej się mdło i słabo pod tym niepokojącym ją spojrzeniem. Uderzyło ją nagle gorąco w skronie, w piersi brakło jej oddechu, nogi kurczowo drząc zaczęły. Słodka omdłałość i równocześnie przestraszony niewytłumaczony, chciała się odruchowo zerwać i uciekać, nie czując do tego siły...

Ktoś jej się kłaniał.

Spojrzała i zerwała się z nienaturalnym ożywieniem.

— *Ach! C'est vous, monsieur!*⁴²

Don Rodriguez zginał się przed nią w niskim ukłonie.

— *Madame.*⁴³

— A, jak to dobrze, że pana spotykam — mówiła, usiłując nie patrzeć na owe damy. — Ranek jest tak piękny, a ja się nudzę sama!

Nie witała go nigdy tak przyjaźnie. Hiszpan patrzył na nią oszalałymi ze szczęścia oczyma. Zauważyła to i przejmujący, rozkoszny dreszcz napiął jej wszystkie mięśnie. Uczuła, że jest młoda i piękna i że może robić z ludźmi, co zechce. Patrzyła na wytworną, smukłą a silną postać swego towarzysza, na ogorzałą twarz i szyję, wyłaniającą się z szeroko rozłożonego kołnierza koszuli.

— *Que vous etes beau, mon ami, ce matin!*⁴⁴ — rzuciła mu jakby mimo woli z niewinnym na ustach uśmiechem.

— *Mais vous etes toujours la plus belle au monde, senora!*⁴⁵ — odrzucił półgłosem narzmiętymi, krwawymi wargami.

Udała, że nie słyszy odpowiedzi.

— Duszno tu siedzieć... Chciałabym na świat, na morze...

— Służę pani — rzekł z gotowością. — W przystani mamy do wyboru łódzie motorowe i żaglowe jachciki. Wiatr jest cudowny.

Zawahała się.

— Nie, nie chcę wody, pędu chcę na łądzie!

— Mój automobil czeka obok kasyna.

— Nie, to martwa maszyna. Koni chcę żywych! Doskonałych koni i wygodnego powozu!

Zwrócił się do kogoś ze służby.

— Proszę posłać — za kwadrans tutaj najlepsze konie i powóz, jakie są w całym... księstwie!

Ostatni wyraz wymówił z mimowolną lekką ironią, mając na myśli obszar „państwa”, w którym się znajdowali, mniejszy niewątpliwie od jego włości w Hiszpanii.

— Może pani tymczasem przejdzie się nieco pod palmami?

Z dłońmi w kieszeniach angielskiego kostiumu, z odrzuconą trochę w tył głową, pod dużym białym kapeluszem mocno z czoła zsuniętym, szła cokolwiek naprzód krokiem lekkim i tanecznym.

Nie mógł się powstrzymać od uwagi:

— Pani chodzi czasami, jak gdyby naprawdę stopami ziemi nie dotykała!

Odwróciła się ku niemu z powabnym uśmiechem.

— Czy tylko czasami?

— Jeśli mam być rzeczowym, to tak. I to jest właśnie takie nadzwyczajne, że nie jest pani zawsze jednakowa. Są dni, a może nawet godziny w dniach, kiedy pani przemienia się cała i zaczyna promienieć życiem, lekkością, swobodą...

⁴²*Ach! C'est vous, monsieur!* (fr.) — Ach! To pan, proszę pana! [przypis edytorski]

⁴³*Madame* (fr.) — Pani. [przypis edytorski]

⁴⁴*Que vous etes beau, mon ami, ce matin!* (fr.) — Przyjacielu, jak pięknie dziś wyglądasz! [przypis edytorski]

⁴⁵*Mais vous etes toujours la plus belle au monde, senora* (fr.) — Pani jest dziś najpiękniejsza na świecie. [przypis edytorski]

Konie były już gotowe. Dostrzegłszy z dala powóz, pobiegła żywo ku niemu, nie czekając na towarzysza. Ale i on zaczął biec za nią. Spostrzegła to i zaśmiała się.

— Kto prędzej! — zawołała.

Puścili się oboje pędem przez aleje palmowego ogrodu ku niesłychanemu zdumieniu i zgorszeniu przechodniów, szybko z drogi ustępujących.

Dopadli celu prawie równocześnie.

— Ja pierwsza — mówiła zdyszana, wskakując na stopień powozu.

— Znowu i wszędzie — odparł, usiłując jej podać rękę, za późno, gdyż siedziała już wewnątrz.

Usiadł obok niej.

— Więc dokąd pani każe jechać? Do Nicei, do Ventimille czy do La Turbie? W czwartą stronę świata, jak pani widzi, morze nam zagradza.

— A gdybym chciała przez morze?

Spojrzał na nią z nadzieją i wahaniem zarazem.

— Droga przez morze mogłaby nas wieźć na Korsykę, do Afryki lub... do Hiszpanii — rzekł znacząco.

Udała, że nie rozumie...

— Ponieważ konie są zwrócone w stronę Nicei...

— Więc tam pojedziemy! — wtrącił.

— Nie! Więc pojedziemy do Ventimille — zaśmiała się.

— Doskonale!

— A potem przez granicę do Bordighieri!

— Obawiam się — rzekł — zbyt wysokiego cła, przechodzącego nawet moje środki, gdy wiozę taki skarb...

— Tylko za własny skarb cło się opłaca! — odezwała się.

Konie szły noga za nogą. Kazała naumyślnie zwolnić biegu, aby patrzeć swobodnie na morze, tuż poniżej drogi o skały się rozpryskujące. W miejscach, gdzie brzeg był nieco płaski, najczęściej przy ujściu potoków, tworzyły się małe piaszczyste plaże, na które fala wślizgiwała się z szelestem, szeroko się rozlewając. W jednym takim miejscu miała ochotę kazać zatrzymać powóz i zrzuciwszy trzewiki, po gorącym piasku wbiec boso w tę zimną wodę i czuć na nogach jej pokorne, pieszczotliwe łaskotanie.

Powstrzymała ją od tego obecność towarzysza, który prawdopodobnie zbyt by był jej wybrykiem zdumiony. Ażeby się oprzeć pokusie, obróciła oczy na lewo. Szeroki wąwóz, raczej dolina potokiem przerżnięta, ciągnęła się kędyś w głąb gór, wypełniona całą oliwnymi gajami. W dali, popod arkady śmiałego wiaduktu kolejowego, błyszczalo pośród szarej zieleni białymi domami jakieś miasteczko wśród gajów i nagich nad nimi skał ukryte. Tuż obok drogi ciągnęły się zagony czerwonej ziemi pełnej grubego żwiru, ale nadzwyczaj urodzajnej, pokryte młodymi sadzonkami palm, goździkami albo całymi zarosłami niskich, rozkwitnionych czerwonych, białych i żółtych róż.

Owdzie znowu, za wąwozem, kiedy skały więcej zbliżyły się do morza, wyłaniała się nagle na nadwodnym cyplu stojąca willa, otoczona sadem drzew pomarańczowych, brzoskwini, migdałowych krzewów, fig, oliwek starych i rosochatych, smukłych cyprysów i pierzastych palm.

— Chciałabym tu mieszkać! — wykrzyknęła mimo woli.

Rodriguez pochylił się ku niej.

— Wszakże to tylko od pani woli zależy! — rzekł głosem niemal błagalnym.

Udała znów, że nie rozumie. Bawiła ją ta gra, zajmował ją młody, zakochany, wytworny i cudowny człowiek, przy niej siedzący. Ilekroć spojrzała nań, czuła, że gorący dreszcz przechodził jej nerwy. Czuła jednak mimo wszystko, że panuje nad sobą i nad nim. I z brawurą niesłychaną usiłowała go pogrążyć tak, aby on już nad sobą nie panował. Robiła to świadomie, nie zdając sobie jednak sprawy z tego, że gra może się stać niebezpieczną. Zresztą, podobał jej się. Co innego nawet jej przez myśl nie przeszło.

Nareszcie, gdy konie ruszyły znów wyciągniętego klusa, Rodriguez nachylił się ku pani Zośce.

— Niech pani ma litość nade mną!

Ruszyła ramionami, wznosząc równocześnie cokolwiek w górę subtelne brewki.

— Czy ja panu co złego zrobiłam?

Kobieta demoniczna

— Przecież pani widzi, że ja panią... Kocham!
 Dreszcz laskotliwy i słodki przebiegł znów całe jej ciało. Przymrużyła nieco powieki.
 — I co?
 — Zrobię wszystko, co pani zechce! Wszystko! Niech pani tylko powie jedno słowo...
 — Muszę powiedzieć po angielsku, bo po francusku mogłaby być dwuznaczność.
 — Więc —?
 — *I like you.*⁴⁶
 — *Seulement? Comme un petit chien.*⁴⁷
 — Nie. Jak piękną rzeźbę, którą się z przyjemnością ogląda w muzeum.
 Mówiła spokojnie, z lekko drwiącym niby uśmiechem, ale równocześnie szczęki zaciskały jej się kurczowo i dziwne gorąco biło jej z piersi do krtani.
 — I nic więcej? Nic? — pytał coraz natarczywiej, wciąż ku niej pochyłony. Oczy płonęły mu jak dwie żagwie...
 — A cóż pan więcej mógł chcieć?
 Niespodziewanym ruchem chwycił ją w ramiona, szukając żądnymi ustami jej ust.
 Nagle uczucie wstrętu targnęło całą jej istotą. Bunt jakiś, nie wiadomo skąd wstające obrzydzenie, prawie nienawiść.
 Pchnęła go silnym ramieniem od siebie.
 — *Cocher! Arretez!*⁴⁸
 Woźnica zatrzymał się momentalnie.
 Wyskoczyła lekko z powozu.
 Rodriguez usiłował ją przeproszać. Ręce złożone przycisnął do piersi.
 — Senora! Proszę mi darować! Będę jak dziecko posłuszny...
 Patrzyła nań przez chwilę jakimś obcym, twardym wzrokiem. Kąciki ust jej zadrgały, jakby do płaczu...
 Zaśmiała się nerwowo.
 — Och! Drobnostka.
 Ruchem ręki kazała zsiąść stangretowi. Ledwie się znalazł na ziemi, wskoczyła zręcznym, lekkim rzutem na kozioł i pochwyciła lejce.
 — Proszę wrócić koleją do domu! — krzyknęła zdumionemu woźnicy, rzucającemu złoty pieniądz na rękę — i nim się mógł spostrzec i zaprotestować, zawróciła konie na miejscu, puszczając je wyciągniętym klusem na powrót w stronę Monte Carlo.
 Wiatr ją uderzył w twarz i suszył jej jakieś głupie, całkiem niewytłumaczone łzy, co jej się do oczu cisnęły.
 Pochyliła głowę, lejce zebrała krótko w rękę, śmignęła biczem nad rwącymi się i bez tego końmi.
 Zapomniała, gdzie jest i co robi, czuła tylko pęd i widziała przed sobą dwa wyciągnięte grzbiety końskie i dwie fale grzyw na przygiętych karkach. Błysnęły jej w pamięci lata dziewczęce, szeroki ukraiński step i jazdy po nim szalone...
 Hiszpan siedział w powozie zupełnie bezradny i nie wiedział, co ma zrobić właściwie.

Mijając ostatnią stację kolejową przed Monte Carlo, pani Zośka zorientowała się jednak, że tak nie może wpaść do miasta — z młodym Hiszpanem w powozie.
 Zatrzymała tedy konie przed dworcem i wysiadła.
 — Dziękuję panu za przejażdżkę — rzekła, podając mu swobodnie rękę. — Siadę na pociąg.⁴⁹ Czy pan umie powozić?
 Konie robiły ciężko bokami, całe pianą pokryte.
 Hiszpan zawahał się.
 — Może jednak...
 — Nie, nie. Niech pan sam wraca.
 — Ale pani nie gniewa się na mnie?

⁴⁶*I like you* (ang.) — Lubię pana. [przypis edytorski]

⁴⁷*Seulement? Comme un petit chien?* (fr.) — Tylko? Tak jak pieska? [przypis edytorski]

⁴⁸*Cocher! Arretez!* (fr.) — Woźnica! Zatrzymaj powóz! [przypis edytorski]

⁴⁹*Siadę na pociąg* — dziś popr.: wsiadę do pociągu, pojedę pociągiem. [przypis edytorski]

— Och! Powiedziała już: drobnostka! Szkoda tylko, że pan to zrobił, tak mi dobrze było z panem.

Skinęła mu głową i wbiegła do budynku kolejowego, spostrzegłszy właśnie, że pociąg nadchodzi.

W Monte Carlo wpadła tylko na moment do hotelu, aby się przebrać i poszła zaraz do kasyna.

Gdy krążyła między stolami — nie grała bowiem wcale — spostrzegła niespodziewanie Turskiego, który również grze się tylko przypatrywał.

— Szukam panią⁵⁰ — rzekł, podchodząc ku niej z uśmiechem — już od wczoraj. Gdzie się pani podziewa?

— A pana jakie bogi tutaj sprowadzają?

— Mnie przysłał mąż pani — żartował — abym zobaczył, czy pani tu bardzo szaleje.

— Dzisiaj trochę szalałam, ale wie pan, że to jest nudne.

Rozmawiali ze sobą żywo i wesoło. Po pewnym czasie pani Zośka zagadnęła:

— Wie pan, że od pierwszego śniadania nic nie miałam w ustach i głodna jestem szalenie. Może pójdziemy gdzieś co zjeść, jeśli pan nie ma nic ważniejszego do roboty.

— Służę pani. Zbliża się właściwa pora obiadowa.

Na ulicach światła się już paliły. Okrążyli kwietny gazon przed kasynem i zawrócili się na lewo w stronę restauracji Carlstown. Miejsce to wybrała sama Butrymowa w jakiejś nieokreślonej nadziei, że spotka tam dwie, dziś rano przed Café do Paris widziane damy, które — nie wiadomo dlaczego — zachciało się jej nagle znów zobaczyć.

Ale restauracja, zapełniająca się zazwyczaj dopiero późną nocą, pusta była prawie zupełnie o tej porze. Załedwie tu i ówdzie siedziało przy obiedzie jakieś małe i bardzo przyzwoite towarzystwo, obsługiwane przeważnie przez większą ilość lokai niż samo członków liczyło.

Usiedli obok ogromnego okna, nie pozwalając zapuszczać firanek.

— Lubię czasem patrzeć na ulicę — mówiła pani Zośka — zwłaszcza że ludzie zwykle lepiej wyglądają z daleka i przez szybę, niż w bliższym zetknięciu.

— Czy się pani zdążyła już o tym przekonać? — wtrącił lekko.

Odpowiedziała mu całkiem poważnie.

— Przekonuję się ciągle i zawsze, a to najgorsza⁵¹, że czasem nie wiem, czy ja sama temu przypadkiem nie jestem winna.

Posmutniała widocznie i patrzyła przed siebie szeroko rozwartymi oczyma. Spojrzał na nią badawczo.

— Co pani jest, pani Zośko? Panią spotkało dzisiaj coś nieprzyjemnego...

— Głupstwo! — zawołała nagle ze sztucznym ożywieniem. — Nie mówmy o tym. Chcę się czego napić. Niech pan każe podać koniaku.

— Może wypijemy flaszkę szampana?

— Nie! Nie znoszę wina. Koniak tylko...

Wychyliła szybko przyniesiony kieliszek i podsunęła go Turskiemu, aby go znów napenił. Drugiego jednak nie piła. Trzymała szkło za szyjkę i przypatrywała się na pozór z wielkim zajęciem bursztynowemu płynowi.

Podano langusty tymczasem.

— Niechże pani je! — ozwał się⁵², usiłując przerwać jej nienaturalny nastrój.

Zaczęła jeść powoli.

Gdy Turski milczał, nie wiedząc, na jakie by właściwie tory sprowadzić rozmowę, ona sama po pewnym czasie jęła⁵³ mówić i wypytywać go o to, co się dzieje w Krakowie, w Zakopanem, o teatr jego, o znajomych. Zauważył jednak, że odpowiedzi słucha z roz-targnieniem, a nawet powoli zaczął nabierać przekonania, że ona w ogóle nie słyszy i nie rozumie tego, co on jej opowiada.

Wreszcie przy deserze przerwała mu jakieś opowiadanie nagłym pytaniem:

— Panie Romanie, niech mi pan powie...

— Słucham panią.

⁵⁰*Szukam panią* — dziś raczej: Szukam pani. [przypis edytorski]

⁵¹*a to najgorsza* — dziś poprawnie: a to najgorsze. [przypis edytorski]

⁵²*ozwał się* (daw.) — odezwał się. [przypis edytorski]

⁵³*jęła* (daw.) — zaczęła. [przypis edytorski]

— Niech mi pan powie, czy się panu zdawało kiedy... to jest, czy pan ma także to wrażenie, że życie jest właściwie tylko po to, aby psuć człowiekowi to wszystko, co on sobie wyobrazi...

— To zależy, jak to będziemy rozumieć!

— Zupełnie zwyczajnie i po prostu, tak jak mówię. Przecież każdy człowiek ma pewne pragnienia i w fantazji przedstawia sobie spełnienie tych pragnień, jako coś bardzo pięknego i jasnego. A potem przychodzi życie i dzieje się wszystko na odwrót. Pokazuje się, że to wszystko jest w rzeczywistości wstrętne, ohydne, obrzydliwe!

— Pani Zośko, na tak postawioną sprawę nie można krótko odpowiedzieć. Trzeba by naprzód rozważyć przyczyny.

— A tak, przyczyny! Właśnie o przyczyny chodzi.

— W każdym razie niesłusznie się życie obwinia. Przecież życie to nie żadna stojąca ponad nami moc, lecz, owszem, to wykładnik własnej mocy naszej.

— Ach, Boże! Czyż okoliczności zewnętrzne nie przeważają zazwyczaj wszystko to, co my sami możemy!

— Nie.

— Powiedział to pan z takim cudownym przekonaniem.

— Tak, pani. Mówię to na podstawie doświadczeń własnego życia.

— Pan musi być inny!

— Nie sądzę. Życie nam daje wszystko, co potrzeba. Są tylko dwa nieodzowne warunki: trzeba umieć chcieć i trzeba wiedzieć dokładnie, czego się chce.

— A jeśli się nie potrafi ani jednego, ani drugiego?

— Ha, w takim razie...

— A widzi pan, a widzi pan! O to właśnie chodzi. Jestem tak strasznie, ale to tak strasznie nieszczęśliwa, że doprawdy powinnam się była od dawna utopić albo powiesić... Wszystko, co mi się wyśni jako cudowna bajka, zamienia mi się potem w rękach na jakąś płaską, pospolitą, brudną rzecz. Miałabym już tylko jedno pragnienie, niestety także niemożliwe: zamknąć się w pokoju bez drzwi i okien i zażywać haszysz i snuć całe życie swoje z fantazji, bez obawy przebudzenia kiedykolwiek.

Turski patrzył w zamyśleniu przed siebie.

— Ale pan nie słucha wcale tego, co ja mówię. Może pan ma rację zresztą.

— Owszem, proszę pani, słucham i myślę.

— I cóż pan wymyślił?

— Że pani prawdziwego nieszczęścia jeszcze nie miała.

— Ach! Tak to wy wszyscy potraficie odpowiadać. Tak i mąż mój mówi. Banalny, zdawkowy frazes, który nic nie znaczy. Więc gdy komu pójdzie życie zupełnie inaczej, niż było powinno, to nie jest nieszczęście najgorsze, owszem, jakie może być?

— A jak powinno było iść?

— Nie wiem. W każdym razie nie tak, jak idzie.

— A otóż to. Nie wie pani... Może to wszystko pochodzi stąd właśnie, że pani nie wie, jak życie pani iść powinno?

— Więc naprawdę nie pozostaje mi nic innego, jak tylko utopić się.

— Niech pani jeszcze poczeka. Warto jeszcze poprobować...

— Za późno. O, panie! Gdyby pan wiedział, jaka ja już jestem stara!

— Nie znać tego.

Oparła się brodą na wspartych o stół rękach.

— Czasem mi się zdaje, że mam chyba tysiąc lat. Nie umiem się wcale cieszyć. A tak bym chciała, tak strasznie bym chciała! I żeby mnie to chociaż kto pożałował.

Uśmiechnął się.

— Pani Zośko, jeśli o to chodzi, to ja panią żałuję bardzo serdecznie. Ale właściwie to pani ma dużo szczęścia w życiu.

— Ciekawam, jakie?

— Ma pani dziecko, które pani kocha...

Wzruszyła ramionami.

— Tak, Jacusia kocham bardzo, to taki jasny cudowny dzieciak, ale gdyby go nie było, toby się obeszło.

— Gdyby umarł?

Marzenie

Zatrzęsła się naraz cała.

— Nie, nie! Tego nawet niech pan nie mówi! Wiem, że nie przeżyłabym tego. Ale mógł się być przecież wcale nie narodzić. Nie miałam przed jego przyjściem na świat nigdy tęsknoty do posiadania dziecka... Pod tym względem więcej kobietą jest mój mąż, bo o dziecku marzył zawsze.

— Więc dobrze. Ale czyż pani nie jest zadowolona ze swego małżeństwa? Ma pani przy sobie człowieka dobrego i mądrego, znanego dzisiaj już w całym świecie naukowym...

— Tak, ale mogłabym przecież tak samo znać i lubić go, nie będąc wcale jego żoną. Małżeństwo jest zawsze czymś... nieprzyzwoitym, a przy tym krępującym obie strony... Może by i dlatego lepiej było, gdyby się był nie żenił.

— A, tego niech pani nie mówi! Ja będę bronił małżeństwa. Przecież to jest najcudowniejszy i jedynie możliwy sposób złączenia się i życia dwojga ludzi. Kocha się naprawdę tylko kobietę... Widzi pani, to jest tak pogodny dzień po różnych burzach życia, pogodny, jasny, cichy, słoneczny dzień...

Patrzyła nań trochę zdumiona.

— Rzeczywiście jest pan wymowny... Czy aby — zaśmiała się naraz — nie myśli pan sam ożenić się?

Zaczerwienił się mimo woli i skłonił głowę.

— Tak, proszę pani.

Było to dla niej tak niespodziewane, że nie wierzyła prawie, iżby mówił poważnie.

— Pan? Pan się żeni!

— Czyż to jest tak bardzo dziwne?

— Nikt by pana o to nie był posądził. Z kimże?

— Jak się zwykle żenią kierownicy teatrów. Z jedną z moich artystek.

Rozbłysnęło jej nagle w głowie.

— Z księżną?

— Tak. Z księżną Heleną Hazarapelianową. Tej zimy odbędzie się ślub.

Pani Zośka zadumała się, zapomniawszy mu nawet złożyć życzeń.

VI

Przez kilka dni po otrzymaniu krótkiej karty od żony Butrym nie wychodził prawie ze swej uniwersyteckiej pracowni. Nawet syna zdał niemal zupełnie na opiekę jakiejś starszej krewnej, którą na czas nieobecności matki do domu sprowadził, widywał go zaledwie przez godzinę w południe, wieczorem bowiem, gdy wracał, Jacuś spał już zazwyczaj.

Ze znajomymi także niewiele się spotykał. Doktora Krasońckiego odwiedził dwa czy trzy razy na krótką chwilę, Śniegocki przypadł mu tak, że o istnieniu jego wiedział już tylko z ogłoszenia o wykładach, przybitego na czarnej tablicy w uniwersyteckim przed-sionku.

Żył sam i myślał. A myśli jego w dwie rozchodziły się strony, jakby dwie gałęzie jednego drzewa... I ta tylko była różnica, że w jednym kierunku myśli uporczywie zwracał wolą i nie dochodził w nim właściwie do żadnego rezultatu, podczas gdy w drugim same, gdy ich nie pilnował, uciekały i przynosiły mu niespodziewane wyniki, których wcale nie pragnął.

Chciał myśleć o pracy swojej i o nieprzewidzianym wdzierającym się w nią „człowieku z gwiazd”. Oszolomiony początkowo niepojętymi rewelacjami Persa, w miarę jak rzeczy postępowały, nie był rad z tego, co się stało. Przez lata całe wznosił gmach i — mimo chwil zwątpienia i pesymizmu, nachodzących go jak wszystkich zresztą pracowników wielkich myśli — wiedział, że choć wznosi się on powoli, postawiony jest na niewzruszonym fundamencie i zbudowany z cegieł, z których każda osobno zbadana jest, wypróbowana i oceniona. Fantazja, święta fantazja uczonych i proroków, słusznie nazywana natchnieniem, rodzicielka wiedzy i postępu, szła przed jego pracą i pokazywała mu możliwości, ku którym potem krok za krokiem zmierzał, oświetlała mu niespodziewanymi błyskami drogi ukryte i niedostrzegalne mosty nad przepaściami, ale nie mąciła nigdy miarowego kroku jego pochodzenia, nie podsuwała mu baniek mydlanych ani mgły, miast głazu, którego do budowy potrzebował.

I teraz nagle zmieniło się wszystko. I to jakby przez ironię czy ukrytą zawiść przyrody zdarzyło się jemu, który w Europie całej wśród uczonych miał opinię najbardziej w przypuszczeniach swych śmiałego, lecz w konstrukcji najwięcej i najnieubłaganej trzeźwego myśliciela!

Oto przyszedł człowiek nieznajomy, który mu naraz przewrócił wszystko do góry nogami. Człowiek, mówiący czasami rzeczy przedziwne i wielkie, czasami śmieszne, ale zawsze nieudowodnione, człowiek żądający dopiero od niego uzasadnienia swoich rojeń czy widzeń niepojętych...

Do czego to wszystko wiedzie? Jaki ma sens? Czy bodaj w czymkolwiek postęp ludzkiej wiedzy oznacza? Wszakże nie o wiarę tutaj chodzi, nie o objawienie, nie o zgadywanie bytu, choćby przypadkowo najtrafniejsze, ale o wiedzę!

Wyteżał umysł, aby ten węzeł rozwikłać i zdecydować się nareszcie co ma robić: czy iść na oślep za dziwnym przybyszem, czy też pozbyć się go po prostu jak natręta, co mu nieproszony przyszedł mącić jasną i górną pracę. Złość go zbierała coraz większa, ale w chwilach, kiedy już prawie postanowił powiedzieć Firdussiemu, że nic z nim więcej nie chce mieć do czynienia, przypomniało mu się naraz, że ten człowiek przecież za pierwszym od razu spotkaniem zdołał zajrzeć jasnowidzącym wzrokiem w jego pracę ścisłą i jeszcze dla świata tajemną i — fantasta, obłąkaniec czy szarlatan — wykrył w niej jednak odruchowo czysto mechaniczny a niedostrzegalny błąd, który miał w rezultacie wszystkie dociekania jego wniwecz obrócić! Ten fakt nie ulegał jednak wątpliwości i trzeba się było z nim liczyć.

Rozkładał ręce bezradnie i zaczynał z zawziętym uporem o całej sprawie myśleć na nowo od samego początku, aby w końcu znowu do żadnego mądrego nie dojść wyniku...

To była jedna linia jego myślenia, na której utrzymywał się całym wysiłkiem woli. W drugą za to stronę myśli jego niejako własnym ciężarem spadały...

Gdy wracał wieczorem do domu, odwiedzał zazwyczaj śpiącego już synka, i przypartywszy się jego jasnej, cichej, spokojnie na poduszce złożonej główce, siedł do swego pokoju niby z zamiarem pisania jakichś listów lub przeczytania książki, mającej go oderwać od całodziennego zajęcia. Ale na biurku leżał od szeregu dni ostatni list żony. Ołówkiem napisana mała kartka wydartą z notesu.

„...powiem Ci tak otwarcie, lepiej nie przyjeżdżaj do mnie wcale...”

Słowa te nieodmiennie wpadały mu w oko, ilekroć tylko usiadł przy biurku i wywoływały niedające się już powstrzymać skojarzenia. Nie był podejrzliwy i ani na chwilę nie przypuszczał, aby żona jego miała przed nim coś do ukrycia i dlatego obawiała się jego obecności. Nie, nie! Taka myśl nawet przez sen nie powstała mu w głowie. A jednak prawie żałował tego.

Zdawało mu się bowiem, że takie podejrzenie byłoby mniej nieznośne, niż to, co czuł. Wówczas byłoby coś, z czym by mógł walczyć, czemu by się mógł przeciwstawić, przed czym by wreszcie mógł bronić siebie i tego, co mu się szczęściem wydawało. Tymczasem zaś czuł tylko, że jest źle. Czuł, że żona po prostu odchodzi od niego, nie fizycznie, ale moralnie, że staje mu się z każdym dniem dalsza i to z nieznanym mu przyczyn, którym przeto on przeciwdziałać nie może.

Zepsuło się coś i obawiał się, że się to już naprawić nie da, choć pragnął tego tak strasznie, że czasem aż wstyd mu było swego pragnienia i swojej — jakby postronny widz nazwał — słabości.

A właściwie, czy się zepsuło? Czy nie było raczej źle od początku, jeno⁵⁴ on tego tak jasno nie widział, jak teraz?

Przebiegał w pamięci historię całego swego małżeństwa od pierwszych dni aż po czasy ostatnie.

Z początku...

Tak, z początku miał być wrażenie, że to on jest właściwie kochany przez tę dziewczynę, którą był wziął, żywą umysłem i pełną tęsknot nieokreślonych, zaufaną w sobie i rzucającą się w życie na oślep, a naprawdę tak strasznie życia nieznającą i taką bezradną. Miał dla niej wówczas coś z pobłażliwego, głębokiego uczucia brata starszego czy opiekuna... Chciał ją prowadzić, nauczać, stworzyć sobie w niej towarzyszkę i przyjaciela.

⁵⁴jeno — daw. tylko. [przypis edytorski]

Może to tutaj właśnie leżał błąd?

Wszakże przypomina sobie jak później — o! znacznie później — rzuciła mu raz w jakimś nagłym rozdrażnieniu: Tyś mnie właściwie nigdy nie kochał! Byłam młoda i piękna i warta miłości, a tyś dla mnie nigdy nie oszalał!

Ach, tak! Tak... więc trzeba było oszaleć jak Turski dla księżnej Heleny, jak tylu innych, tracących i siebie, tracących swą wartość i moc, aby strzępy życia bezużyteczne uwielbianej kobiecie złożyć u nóg. Aby triumf miała. Tylko po to, aby miała ten triumf w duszy: Taki był, a ja to potrafiłam z niego zrobić! Zupełnie jak dziecko dumne, że odporną i na pozór niezniszczalną zabawkę jednak zepsuć i rozłupać zdołało!

Spostrzegł, że myśli jego idą w fałszywym kierunku.

— Rozumuję za siebie — szepnął. — Powiniennem w tym wypadku z jej stanowiska rozumować, a raczej czuć!

Była naprawdę młoda i piękna, i warta kochania. Tęsknota za życiem trzepotała się w niej jak ptak, który chce z klatki na świat boży wylecieć. A on ptaka brał w dłoń i pragnął uspokoić, i mówił mu różne mądre rzeczy, i był dobry dla niego, gdy ptak chciał tylko lecieć!

Ha, ha, ha!

„Tyś mnie właściwie nigdy nie kochał...”

— Zośka! — Jęknęło mu coś w piersi — Zośka, Bóg świadkiem, że cię kochałem i kocham teraz z każdym dniem więcej.

„A tak! Teraz!...”

Zachnął się niecierpliwie.

— Więc o co, o co chodzi nareszcie? — mówił sam w sobie.

Przecież chciałem, żebyś myślała razem ze mną, razem ze mną czuła... Wytężyłem wszystkie siły...

Zdało mu się, że głos jej słyszy:

„Tak, ale ty nie myślałeś, nie czuleś wraz ze mną”.

Zaśmiał się nieco wymuszonym, wzgardliwym śmiechem.

A to doskonale! Nie myślał z nią, nie czuł. I cóż on mógł z nią myśleć, będąc w swych myślach tak nieskończenie od niej wyżej? Co z nią miał czuć, jeśli nie to, aby stworzyli razem rodzinę, aby szli przez życie ręką w rękę we wzajemnym zaufaniu, w głębokiej, cichej i pewnej miłości?...

A tymczasem gdzież było to zaufanie? Po kilku miesiącach już spostrzegł, że ona pokrywa się z wolna jakąś nieprzenikliwą dla niego łuską, że dusza w niej obrasta niby w perłę gładką i nieprzezroczystą i zapada przed nim coraz bardziej w głąb...

Zajęło go zrobione przypadkowo porównanie. Tak, w perłę, w której wewnątrz jest może tylko ziarnko piasku... Całą pięknością tego tworu jest jego pokrywa nieprzenikniona i lśniąca!

Tak mówił, tak wmawiał w siebie, ale w duszy czuł ból.

Powoli, powoli, nie wiadomo nawet, jak i kiedy zaczęły się lata walki zajadłej i nieublaganej, która z jego strony była walką o szczęście.

A z jej strony?

Ruszył ramionami.

— To już wszystko jedno. Wiem tylko, że w tej walce zaczynam przegrywać...

Myśl podsunęła mu słowo: przegrałem, ale nawet szeptem nie zdołał go wypowiedzieć.

Wzbierał w nim żal coraz okrutniejszy, coraz bardziej głęboki i mściwy. Przypomniawsobie dni i tygodnie, i miesiące, o których nie tylko mówić przed nikim głośno nie zdołał, ale nawet bał się w samotności myśleć jasno, tak mu było wstyd, że je musiał znieść i przetrzymać. Właściwie — na pozór — żona żadnej mu nie zrobiła krzywdy, a jednak całe zachowanie się jej wobec niego, który jej przecież był najbliższy, było jedną obelgą, jednym ciągłym i nieustannym ranieniem jego uczuć, jego duszy, istoty jego całej. Bez żadnego widocznego powodu przechodziła koło niego tak jak koło kawałka drzewa, niczym jej były wszystkie jego myśli, praca jego życia. Udawał początkowo, że tego nie widzi, później usiłował pokonać jej obojętność tym większą ze swej strony miłością i dobrocią, wreszcie — gdy to nie skutkowało — zaczynał wybuchać, były dni i godziny, że znęcał się nad nią słowami aż do okrucieństwa, poniewierał w zupełnie głupi sposób jej godność i miłość własną z jakąś nieświadomą, dzieciinną nadzieją, że gdy ona pocznie

krzyczeć z bólu, on w tym krzyku usłyszy jednak coś, co nie będzie ową zabijającą go obojętnością.

Wszystko jednak było zarówno zupełnie daremne. Gdy obojętność sam udawał, pani Zośka zdawała się tego wcale nie spostrzegać, raczej jakby zadowolona z takiego stanu rzeczy, serdeczność jego także przechodziła bez wrażenia, co najwyżej miał za nią czasem w zapłacie grzeczny uśmiech powierzchownej wdzięczności, jeżeli w ogóle raczyła zauważyć, że on jest dla niej serdeczniejszy niż zwykle. Daleko częściej nie widziała tego zupełnie i nie zmieniała w niczym swego postępowania, albo — co gorsza — okazywała wprost, że ją nudzi i nuży to „śmieszne jego nadszokiwanie...”

Uczucie krzywdy bolesne i dzikie wzbierało w sercu wtedy i kotłowało się, ale i wybuchy nie prowadziły do niczego. Pani Zośka słuchała ich początkowo obojętnie, ruszając jeno⁵⁵ wzgardliwie ramionami, potem zaczynała się uśmiechać swoim zwyczajem nerwowo irytująco, a gdy w końcu czasem wybuchnęła płaczem, to łzy jej nie były nigdy niczym innym, jak tylko wyrazem zdenerwowania i prawie fizycznego jeno umęczenia.

Och! Jakże często i jak strasznie pragnął usłyszeć z ust jej skargę, wyrzut: „Czemu ty taki jesteś dla mnie niedobry? Dlaczego się nade mną znęcasz?”. Byłby jej wtenczas do nóg padł, byłby ręce całował, ustami łzy osuszał z twarzy i przepraszał ją, i szalał z radości, że jej jednak na tym zależy, żeby on był inny dla niej!

Ale nic z tego wszystkiego, nic, nic. Po sprzeczkach odchodził do swego pokoju, nie mając żadnego pretekstu do pogodzenia się, do przyciśnięcia ust do jej ręki, czego tak strasznie, tak obłąkanie pragnął! I zły był na siebie, i męczył się i nadśluchiwał, czy kroków jej zbliżających się nie posłysz, i z równym natężeniem myśli, z jakim oddawał się obliczaniu gwiazdzystych dróg na niebie, usiłował wyszukać jakiś śmieszny, dziecinny pozór, aby wejść jeszcze do jej pokoju i ręce do niej wyciągnąć i powiedzieć to, co ciągle miał w sercu, gdy ustami mówił jej rzeczy przykre: Zośka, Zośka! Przecież to wszystko dzieciństwo! Czemuż my się tak dręczymy?

Odkrywał często nowe drogi gwiazd na niebie, ale takiego pozoru wynaleźć nie umiał, więc nie mogąc się zdobyć na serdeczne słowo bez pozorów, uciekał z domu albo kładł się spać i budził się nazajutrz z bolesną i ciężką pamięcią tego, co zaszło... A ona, gdy się rankiem spotkali, mówiła z nim tak jak zawsze uprzejmie, obojętnie, chłodno o sprawach codziennych, jak gdyby wszystko było w najzupełniejszym i naturalnym porządku.

A ludzie naokół, gdy ich spotykali razem, wesołych i uśmiechniętych, gdy patrzyli w słodkie, dobre oczy pani Zośki, gdy widzieli jej spokój i swobodę, i jasność, którą ze siebie wypromieniować umiała, zazdrościli mu powszechnie wyjątkowo szczęśliwego domowego pożycia!

Oto zrobił ostatni, heroiczny wysiłek i wysłał żonę na kilka tygodni samą w świat, między ludzi, w okolicę nadmorską, o tej porze najbardziej życiem tętniącą, w tej nadziei, że inną, więcej ożywioną powróci, gdy wśród tych wszystkich zabaw i wspaniałości zatęskni do domu i dziecka, może i do niego... Czekał od niej dobrego słowa, wyrazu cieplejszego, czegoś zresztą niespodziewanego, czego nie umiał nazwać sam.

I oto co miał od niej: dwa czy trzy listy krótkie, pobieżne i przykre i w końcu tę kartkę, leżącą teraz przed nim na biurku, w której niby łagodnie, a przecież brutalnie odrzuciła jego towarzystwo, z którym się — może zbyt pośpiesznie? — zaofiarował, zatęskniwszy za nią wprawdzie, niż ona za nim i więcej, niżli się sam spodziewał.

Ten łańcuch myśli jego, codziennie od nowa aż do tego punktu snuty, urywał się tutaj na jakimś pośepnym i niezmiernym ciężarze. Koniec. Dalej nie może być już nic. Nigdy nie będzie inaczej. Trzeba prowadzić nadal życie dotychczasowe, z pozornym swobodnym, szczęśliwym uśmiechem na twarzy i jeno nie okazać, nie okazać, na miły Bóg! że to tak strasznie boli!

Stawał przed tym wynikiem myślenia swojego jak przed żelazną ścianą i szukał jeno miejsca, gdzieby się na niej wygodniej oprzeć czołem, wiedząc, że nie pójdzie już dalej i stąd się nie odwróci, lecz zostać tak musi na zawsze, na zawsze!

Za ból jednak swój, za to, co — słusznie czy niesłusznie — jako krzywdę swą odczuwał i rozumiał, wzbierał w duszy tępą nienawiścią do tej ukochanej nad wszystko kobiety i tak

⁵⁵jeno — tylko. [przypis edytorski]

ślepią, że nie umiałby się już dopatrzeć, co było własną jego winą w tym wszystkim, co się stało, a co losu przypadkiem, a co wreszcie jej rzeczywistym zawinieniem...

Budziły się w nim wprawdzie w pewnych momentach niejasne przeczucia, że ona właściwie nie jest niczemu winna, bo w niczym nie chciała źle, i że jeśli w ogóle o winie może być mowa, to on sam raczej wszystko złe swoim nierównym postępowaniem sprowadził, i tym, że jej jako kobiety nigdy zrozumieć, nie zdołał, ale przytłumił owe przebłyski z niechęcią, podejrzewając w nich objaw zwykłej słabości mężczyzny wobec kobiety i płynącej z niej ochoty do obwiniania się i kajania w idiotycznej tak zwanej „wspaniałomyślności” wobec rzekomo słabszego stworzenia.

Zaciekł się więc i zaciął w sobie zgoła dziecinnie. Na list żony nie odpowiedział wcale i postanowił nie pisać więcej, a gdy nadejdzie pora jej powrotu, wyjechać dniem wprzód samotnie na kilka tygodni w świat, nie zawiadamiając jej o tym.

Tak postanowił i ukrywał w dłoniach twarz i palce gryzł, aby nie płakać i nie powtarzać: Zośka, Zośka, dobra bądź! Ja ciebie tak kocham...

Wróciwszy do domu nieco później niż zwykle, Butrym przeszedł na chwilę jak zawsze do dziecinnego pokoju, ze świecą tylko w rękę, aby zapaleniem światła elektrycznego nie rozbudzić śpiącego już syna.

Stanął nad łóżeczkiem i zadumał się.

Chłopak spał z przechyloną na bok głową, z jasnymi, krętymi i bujnymi włoskami, rozsypanymi w krąg na białej poduszce. Był w tej chwili przedziwnie do matki podobny. Profil jego, dziecięco jeszcze zaokrąglony, nabierał już z wolna subtelnej i delikatnej linii macierzystej, szczęki rozwijały się silnie w energiczny podbródek i włosy miał tak samo jasne i faliste, tak samo jak ona. Czoło jeno było odmienne: ojcowskie czoło szerokie w skroniach i równo ku górze sklepione...

Zacisnął piąstki obie, jedna wraz z pulchnym ramieniem, wysuniętym z rozpiętego rękawa koszulki, leżała obok głowy na poduszce, drugą przyparł do piersi jakimś energicznym i stanowczym ruchem. Butrym, schyliwszy się nieco, dostrzegł, że trzyma w niej małego ołowianego żołnierza, którego upodobał sobie nie wiadomo dlaczego najwięcej z całego pudełka i nawet w nocy się z nim nie chciał rozstawać.

Postawił świecę na stole i usiadł. Przypomniało mu się, z jaką tęsknotą niegdyś przyjszcia na świat tego dziecięcia oczekiwał i jak to może był jedyny okres, kiedy żona jego z bezbronnym i pełnym ufności oddaniem się głowę o jego ramię opierała.

Nie zawsze, nie zawsze! Były i takie dni, że zamykała się w sobie i siedziała całymi godzinami zapatrzona w dal, przerażona niemal tą tajemnicą życia, która się w niej rozwijała bez udziału jej woli i świadomości.

— To takie straszne! — mówiła raz — czuję, że, to nie ja wydaję dziecko na świat, ale natura wybrała mnie po prostu za środek, aby pełnić swoje dzieło i nową istotność stworzyć bez względu na to, czy to dobre jest dla mnie, czy nie...

Objął ją wówczas ramieniem. Usunęła się od niego.

— Odejdź, odejdź! Ludzie się kochają czy szaleją za sobą, czy też po prostu tylko ze sobą żyją, nie myśląc o niczym, a przyroda tymczasem tak podstępnie zakrada się i korzysta ze sposobności, aby tworzyć, tworzyć, tworzyć!

— Czyż to nie jest właśnie cudowne? — rzekł.

Ruszyła ramionami.

— Nie. Przede wszystkim upokarza mnie to i poniża jako człowieka, jako kobietę. Przecież ja o tym dziecku wcale nie myślałam, ani nie chciałam go, a wydać je na świat muszę. A po wtóre, do czego zmierza to tworzenie ciągle i ustawiczne nowych bytów nie wiadomo na jaki los? Jaką poniewierkę? Jaką krzywdę życia?

Nie kochała dziecka, które miało przyjść na świat, miłość jej macierzyńska zbudziła się dopiero z pierwszym jego krzykiem i wzrastała w miarę, jak się rozwijało i rosło, aby dojść wreszcie do zupełnego zaparcia się siebie samej dla niemowlęcia.

Ale i to było u niej dziwne i skomplikowane. Myślą ciągle przy dziecku, nie zaniedbała go nigdy dla żadnej zabawy ani rozrywki, nie pozwoliła się nikomu przy nim wyręczyć, po nocach, na pierwsze poruszenie się malca w kołysce, nim piastunka zdążyła oczy otworzyć, ona była już przy nim na nogach, wyrzekała się snu, towarzystwa, pracy swojej,

Macierzyństwo

Matka

wszystkiego, ale robiła to wszystko bez wewnętrznego zadowolenia, bez rzeczywistego szczęścia macierzyńskiego.

Butrym patrzył na to i dziwił się, bo sam nie czułby się zdolnym do takiego zupełnego poświęcenia się dziecku, choć zdawało mu się, że je więcej kocha niż ona. Dziwił się tak, jak się poprzednio dziwił, nim się chłopiec narodził, że ona nienarodzonego nie kocha i nie pragnie. I wówczas nawet robił jej z tego nieraz gorzkie a śmieszne wyrzuty, wówczas, gdy ona — słaba i ociężała — najwięcej owszem dobroci jego i delikatności potrzebowała.

Przypomniało mu się to teraz znowu, gdy patrzył na śpiącego syna.

— Kto wie, czy nie tam właśnie leży największa część mojej winy? — szeptał do siebie.
— Gdybym wtenczas był inny...

Ach, Boże! Śmieszne rozpamiętywanie rzeczy minionej i niepowrotnej. Stało się. Zresztą ona też nie jest bez winy. Czemu zawsze i wszystko mówić głośno, gdy się może wiedzieć, że to kogoś drugiego rani? Że mu się to musi wydać potwornym?

A jednak ta kobieta przecież dała mu największe szczęście życia, wbrew własnym chęciom, z własną nawet może ofiarą: tego oto malca jasnego, który śpi w tej chwili tak cicho z ołowianym żołnierzem w zaciśniętej piastce...

— A gdyby... a gdyby?...

Jakaś niewyraźna nadzieja zaczęła się budzić w sercu Butryma. Przecież w tym nie ma żadnego niepodobieństwa! Gdyby tak jeszcze kiedy przedziwna opatrność zrządziła... Och, Boże! Żeby zobaczyć jeszcze na jeden moment tu jej wzrok, szukający w nim oparcia, poczuć na ramieniu jej dłoń bezbronną, słabą!... Wówczas nie umiał cenić swego szczęścia, tak głupio się zachowywał, psuł wszystko brakiem wyrozumiałości i tym wrodzonym sobie popędliwym usposobieniem. Dziś byłoby inaczej, dzisiaj naprawdę nosiłby ją na rękach, klęczałby u jej nóg, zniósłby wszelką niesprawiedliwość, wszelki kaprys, wszystko! Byłby tak dobry, tak dobry dla... niej, że musiałaby wreszcie odczuć i zrozumieć... i powoli życie ich ułożyłoby się inaczej, tak jak od początku ułożyć się było powinno.

Wsparł ręce złożone na poręczy dziecinnego łóżeczka i czoło do niej przycisnął.

Marzył o możliwości posiadania drugiego dziecka jako o ostatnim ratunku w tej topieli, w którą zapadł już bez rady i nadziei ocalenia. Śniły mu się jakieś słodkie wieczory, wespół z żoną spędzane w zacisznym pokoju, rozmowy długie, prowadzone półgłosem, przechadzki we dwoje, uśmiechy, pokrywające wszystko, co było złe, i dnie oczekiwania, i dnie radości... A potem, potem dwoje dzieciaków, bawiących się razem w tym pokoju, gdzie teraz Jacek pod opieką służącej długie godziny przepędza i ich dwoje, pogodzonych wewnątrz, zjednoczonych, patrzących z cichym uśmiechem na ustach na dziecięce zabawy.

Jacús się zbudził.

— To tatuś jeszcze nie śpi? Przecież jest noc.

— Idę zaraz spać, synku. Chciałem ci tylko dobranoc powiedzieć.

— A o co tatuś płacze?

— Ależ... to ci się tylko zdaje. O cóż bym ja płakał?

— Może dlatego, że mamusi nie ma?

— Tak, może dlatego... Ale właściwie to wpadło mi tylko coś do oka. Śpij już, śpij...

— Zaraz będę spał. A gdzie jest ten niedźwiedź?

— Jaki niedźwiedź?

— No, ten co tu był. Wie tatuś, ten co tu napisane jest o nim w mojej książeczce: Złego wilka ty się strzeż, lecz pan niedźwiedź dobry zwierz! To był bardzo poczciwy niedźwiedź, ja się z nim właśnie bawiłem, kiedy usłyszałem, że tatuś płacze.

— To ci się śniło, synku. Zamknij oczka, a dobry niedźwiedź znowu przyjdzie.

— I aniołek też?

— Także.

— I będzie się bawił ze mną i z niedźwiedziem?

— Tak jest, śpij tylko.

— Chłopiec przymykał już oczy, gdy naraz zerwał się i siadł w łóżeczku.

— A może to mamusia przyjechała w nocy i tatuś dlatego nie śpi?

— Nie, mamusia jeszcze nie przyjechała, ale przyjedzie wkrótce, gdy będziesz spał grzecznie.

— Kiedy ja nie wiem, co to jest: wkrótce. Czy to jest więcej jak tydzień, czy tyle, co palców u mojej ręki?

— Ja sam, dziecko, nie wiem, co to jest wkrótce... Czasem to może być nigdy...

— A nigdy czy to jeszcze dłużej, niż tydzień?

— Nie pytaj już. Śpij.

— Dobrze, ale niech mi tatuś opowie bajkę o wronie.

— Była sobie raz jedna wrona i leciała nad szerokim, szerokim śnieżnym polem. Leciała dzień i noc, i znowu dzień, i nie wiedziała, jak jeszcze daleko do końca. I spotkała lisa, który biegł również przez to pole i zapytała go: Mój lisie, czy ty nie wiesz, jak to daleko do końca? A lis przystanął i zdziwił się: Do końca? Ja nie wiem, czy jest koniec. Ja biegnę, biegnę, biegnę, biegnę... Więc wrona leciała znowu dzień i noc, i jeszcze dzień...

— A czy ona widziała w nocy?

— Troszeczkę. Tyle co i we dnie. I spotkała znowu wilka, co biegł przez to pole, w inną stronę, od dawna już. Więc wrona woła: Wilku, mój wilku, zatrzymaj się i powiedz, jak to daleko do końca? A wilk stanął i zdziwił się: Jak daleko? Ja nie wiem, czy jest jaki koniec. Ja biegnę, biegnę, biegnę... Więc wrona leciała znowu, leciała...

Było już około północy, gdy Butrym w swoim pokoju wyciągnął kartkę listowego papieru i zaczął pisać:

„Moja Ty droga, Ty jedyna! Chciałbym jakim sposobem zmusić Cię, abyś w tej chwili była myślą przy mnie, tak ja jestem przy Tobie. Po co my się tak strasznie męczymy wzajemnie, kiedy właściwie nie powinniśmy mieć sobie nic do zarzucenia? Troszkę dobrej woli z jednej i z drugiej strony, a byłoby tak jasno i tak szczęśliwie! Czy to tak trudno zdobyć się na odrobinę dobrej woli? Czasem mam po prostu wrażenie, że jesteśmy dwójkiem całkiem głupich dzieci, które z błahego powodu nie chcą się bawić razem, choć mają do tego ochotę, i boczą się na siebie, i rozżalają się coraz więcej, aż wreszcie naprawdę mogą się zacząć nie znosić... Zośka! Nie powiem ci nawet o czym dzisiaj myślałem, siedząc przy łóżeczku Jacka. Wiem, że gniewałabyś się na mnie, gdybym powiedział, a jednak zdaje mi się, że to, com myślał, byłoby jedynym dla nas ratunkiem... Dla nas obojga, Zośka, bo i Ty nie jesteś szczęśliwa w tych stosunkach, które się nie wiadomo kiedy i z czego wytworzyły. Ale nie mówmy już o niczym. Daj mi ręce swoje i jeśli Ci to nieprzyjemnie, że ja je całuję, tak bardzo, tak bardzo całuję, to nie daj przynajmniej poznać po sobie. Gdy się człowiek przyzwyczai uśmiechać, to wreszcie robi się naprawdę wesoły. A wiesz, do czegośmy się przyzwyczaili? Oto do tego, aby okazywać, że nam nie jest dobrze ze sobą, a to nieprawda, po tysiącokrotnie nieprawda! Jeśli nie jest dobrze, to mogłoby jednak być tak strasznie dobrze, gdybyśmy tylko chcieli. Gniewam się teraz na Ciebie i wmawiam w siebie czasami, że Cię nienawidzę po prostu dlatego, że Cię tak strasznie, strasznie kocham! Nie wiem już sam, co mam robić, aby dobrze było. I nie wiem wreszcie, po co ja to wszystko piszę, bo przecież tego listu i tak nie wyślę do Ciebie”.

Wstał, przedarł papier i rzucił do kosza.

W kawiarni spotkał naturalnie doktora Krasołuckiego.

— Myślałem już, moje złoto, żeś umarł, nie zawiadomiwszy mnie nawet o dniu swojej śmierci — rzekł grubas na przywitanie. — Gdzieżeś to tkwił przez tyle dni, że cię nawet ujrzeć nigdzie nie było można?

— Pracowałem.

— Ciągłe ten twój Firdussi?

— Poniękad tak... i on mi trochę czasu zabiera — odparł, siadając — ale wiesz, że coraz więcej zniechęcam się do niego.

— Łże? To kopnij poniżej grzbietu...

— Nie wiem, czy łąe. Zdaje mi się, że nie. Drażni mnie to jednak, aby być w ten sposób na usługach nieznanego sobie siły.

Doktor Krasolucki spoważniał.

— Moje złoto, ciągle i nieustannie jesteście wszyscy na usługach nieznanego sił. Chodzi tylko o to, aby je wyzyskać... Przypatrz się tej szklance, powiadasz, że to jest szampan? Niewątpliwie, o ile mogę wierzyć memu doświadczeniu w tym kierunku wyrobionemu smakowi. Ale ty także zajmujesz się chemią i mógłbyś mi mniej więcej dokładnie określić skład tego płynu, wymierzyć zawartość alkoholu i tak dalej. Powiedz mi jednak, moje złoto, dlaczego ten alkohol, dostawszysię z krwią do mózgu, sprawia, że ja się robię wesoły?

— Na to ty sam, jako lekarz, mógłbyś odpowiedzieć.

— Tere-ferę! Głupstwo, moje złoto. Powiedziałbym ci tylko bajkę o tym, jak pewne centra nerwowe zostają czasowo porażone, inne zaś podniecone, ale co z tego wynika? Dlaczego ja jestem wesoły? Do kroćstu piorunów, dlaczego jestem wesoły?

Wychylił omawianą szklankę do dna i postawił ją z hałasem na stole. Potem zwrócił się znów do Butryma:

— A wiesz, że naszą Tourbillonkę szlaczek trafił?

— Co? Jak? Gdzie?

— A tutaj, parę dni temu. Przychodzę sobie o dosyć wczesnej godzinie, było około czwartej... z rana, aż tu zbiegowisko, hałas, telefonują na stację ratunkową. Wiesz, że takich awantur nie lubię...

— Tak, i natychmiast biegniesz z pomocą pierwszy, a ostatni schodzisz z placu.

— Ale klnę, jak cię kocham, moje złoto, że w duszy klnę! Otóż i wtedy... w gabinecie — patrzę: leży nieprzytomna, tak, jak tańczyła. Ktoś tam ją zlewa wodą... Nie miałem lanceta⁵⁶, szczyrzykiem puściłem krew; robiliśmy sztuczne oddychanie z jakimś smarkaczem z uniwersytetu, który się nawinał. Długo to trwało...

— Ale żyje?

— A, niby żyje. Ale właściwie to w pysk powinna by mi dać za to, że ją uratowałem. Będzie do końca życia sparaliżowana.

— To potworne. I nie wiesz, jaki powód? Zmęczenie?

— Ii, nie to. Opowiadali... Jakaś romantyczna historia. Spotkała podobno podczas tańca swojego pierwszego kochanka, czy coś w tym rodzaju i tak to babę tknęło. Napij się wina.

— A nie wiesz, co się dzieje z tą drugą — jakże jej to? — Mary?

— A, to cię! Nie ma jej już. Pojechała podobno występować gdzieś w Buenos Aires. Szczęśliwej drogi!

Fłaszka była już próżna. Doktor wyciągnął zegarek i spojrzał na godzinę.

— Chodź ze mną do Tourbillonki. Leczę ją.

— Oszalałeś? Przecież to druga w nocy!

— Nic nie szkodzi. Z przyzwyczajenia tyloletniego nie sypia po nocach, odrabiając to we dnie. Ucieszy się, gdy cię zobaczy. Takie biedne stworzenie...

I nagle zaczął kłać głośno:

— A żeby to wszyscy diabli wzięli! Dosyć człowiek ma swoich kłopotów, a jeszcze tylko ciągle nędzę i nędzę widzieć koło siebie! Żeby ci chorzy w ogóle z piekła nie wyrzeli!

Powiedziawszy to, zabrał do kieszeni z koszyka, stojącego na stole, wszystkie owoce, jakie się w nim znajdowały.

— Lubi bardzo owoce — rzekł, odpowiadając wstydliwie na zdziwiony wzrok Butryma. — Codziennie jej przynoszę...

Madame Tourbillon uśmiechnęła się blade do wchodzących i wyciągnęła na powitanie spod kołdry jędrne, utoczone ramię.

— A, i pan jest, panie profesorze! Takam panu wdzięczna...

— Jakże się pani miewa! — spytał Butrym, ściskając jej dłoń, zakłopotany jeszcze tą nocną wizytą.

— Dziękuję. Do pasa — nieźle, ale nogi już na nic. Za dużo pono w życiu pracowały.

⁵⁶lancet — niewielki nóż chirurgiczny. [przypis edytorski]

— Będzie z czasem zapewne lepiej...
 Krasołucki zachrząkał.
 — Nie ma celu robić pani próżnych nadziei — rzekł. — Nogi przepadły. Ale poza tym wszystko jest dobrze.
 — Tak, tańczyć już nie będę mogła.
 — Żal pani bardzo? — spytał Butrym, trochę niezręcznie.
 — Wie pan, że nie. To także ciężka praca...
 Wezmę się do czego innego. Byłam niegdyś, za młodych lat, hafciarką...
 Podniosła nagle obie ręce do ust i załkała krótko.
 Doktor Krasołucki przyskoczył do niej.
 — Cicho, cicho! Nie wspominać o niczym i leżeć spokojnie! Jak pani będzie awantury robiła, to się wyniosę natychmiast i więcej nie przyjdę. O, przyniosłem tu pani gruszkę i parę bananów, winogron trochę.
 Tourbillonka już się uśmiechała.
 — Pan nie wie — zwróciła się do Butryma — jaki ten doktor jest dobry! Tak o mnie pamięta, jak o dziecku. Tyle, że krzyczy na mnie strasznie...
 — No, naturalnie! Gdy pani, moje złoto, jakimiś głupimi wspomnieniami się rozmazuje...
 — Doktorze, do tego muszę się teraz przyzwyczaić, że będę wspominać. Dawniej oszałamiałam się przez cały dzień, przez noc raczej, jak wariatka, aby nie myśleć... Tyle lat! Musiałam tańczyć i pić, pić i tańczyć. Choćby nie było nikogo, kto by patrzył i płacił, byłabym to robiła... Teraz będę mieć dużo, dużo czasu na myślenie...
 — W takim razie ja za nic nie ręcę.
 — Nie, doktorze. Przyzwyczaję się. Im wcześniej, tym lepiej. Wie pan, panie profesorze, ja miałam dziecko...
 — Znowu pani zaczyna!
 — Niech mi pan pozwoli. Mnie lżej, gdy mówię... Była taka śliczna córeczka... Naturalnie nie byłam zamężna. Zresztą on mi nic nie przyrzekał, więc też nie miałam mu tego za złe, że sama została, ale...
 Krasołucki powstał.
 — Nie będzie pani o niczym opowiadać, nic rozpamiętywać, czy mnie pani zrozumiała? Czym tu się martwić! Dla dziecka lepiej, że nie żyje.
 — Och, panie doktorze!
 — Cicho już. Proszę zasnąć trochę, my odejdziemy. Niech pani w siebie nie wmawia, że pani tylko we dnie spać potrafi. Noc jest właściwie do spania.
 Uśmiechnęła się mimo woli.
 — Pierwszy raz takie zdanie od pana doktora słyszę. Zazwyczaj mawiał pan inaczej.
 — Ach, zazwyczaj, zazwyczaj! Bo wtenczas nie mówiłem z panią jako lekarz.
 Popatrzyła na niego błagalnie.
 — Doktorze...
 — No co?
 — Nie śmiem prosić...
 — Znowu? No dobrze, dobrze, ale tylko na krótką chwilę...
 I oto dziwna rzecz stała się przed oczyma Butryma, Doktor Krasołucki, sapiąc i stękając oraz klnąc na „babskie zachcianki”, przeszedł w kąt lichego hotelowego pokoiku, gdzie stało stare, rozklekotane pianino. Siadł na brudnym krześle we własnej szlacheckiej osobie i zaczął grać. Grał rapsodie Liszta⁵⁷, potem jakiś zupełnie zwariowany, szalejący i płaczący taniec węgierski i znowu coś Brahmsa⁵⁸...

Chora kawiarniana tanecznicza słuchała z rozchyłonymi nieco ustami, leżąc na wznak i przymykała z wolna powieki. Około warg błąkał się cichy, wdzięczny półuśmiech.

Na ulicy doktor splunął siarczyście i ryknąwszy swoim zwyczajem: *fiakier!*, choć w okolicy żadnego fiakra nie było, zwrócił się do Butryma.

⁵⁷Liszt, *Ferenc* (1811–1886) — węgierski pianista i kompozytor epoki romantyzmu. [przypis edytorski]

⁵⁸Brahms, *Johannes* (1833–1897) — pianista, kompozytor i dyrygent niemiecki epoki romantyzmu. [przypis edytorski]

— Widzisz, moje złoto, jak to człowiek na psy schodzi! Grywam po nocach jakimś tam zdechłym Węgierkom czy Cygankom, aby spać mogły! Szczęście, że mój ojciec daleko stąd pochowany, bo jakby usłyszał, toby się obrócił w grobie do góry tą częścią ciała, której za życia mnie, jako synowi, z przyzwoitości nie pokazywał. No cóż, pójdziemy się gdzie napić czego?

— Już chyba nie.

— Czyż? Jedną malutką czarną kawę tylko. Z koniakiem? Niech będzie, więc bez koniaku. Ale *peppermint*⁵⁹, naturalnie *frappe*⁶⁰...

Mówił to więcej ze zwyczaju niż z istotnej ochoty. Butrym zauważył w blasku ulicznej latarni, że twarz ma dziwnie postarzałą w tej chwili i smutną. Włókł się powoli, kierując się jednak jakby mimowiednie w stronę swojego mieszkania. Na rogu ulicy przystanął, aby odsapnąć.

— Wiesz, to jest naprawdę biedna kobieta — rzucił zniechęcony. — Przerwałeś jej historię...

— A bo beczy potem i dostaje ataku. Skaranie boskie z babami! Miała chyba dość dwadzieścia lat czasu, aby zapomnieć.

— Co to było takiego?

— Ot, głupstwo zwyczajne. Nie ma o czym mówić. Codziennie się takie rzeczy zdarzają. Ale powiem ci coś ciekawego. Czy słyszałeś już, że Turski się żeni?

— Turski? Z kim?!

Krasołucki nie odpowiedział. Przejeżdżająca spóźniona dorożka zajęła całą jego uwagę — zaczął dawać znaki z daleka i wołać na dorożkarza, aby podjechał. Woźnica jednak, śpiący już może i zmierzający ku domowi albo też gdzie indziej zamówiony, nie odwrócił się nawet na rozpaczliwe wołanie lekarza, drobnym truchcikiem zniknął wkrótce ze swym wehikułem na rogu najbliższej przecznicy.

— To los! — westchnął Krasołucki boleśnie. — Nawet zajechać do domu nie można. Czasy psują się okropnie! Przecież człowiek porządny powinien by mieć swoją lektykę i czterech drabów, którzy by z nią czekali przed drzwiami każdej knajpy, do której raczył wstąpić. Ale co to mówić!

Machnął ręką z rezygnacją.

— Nie wolałbyś mieć samochód? — zaśmiał się Butrym.

— A wiesz, moje serce, że nie! To za wiele hałasu robi i za prędko jedzie. Nie lubię.

Odetchnął głęboko, a potem zapytał naraz:

— Czyś ty uważał, że do swojej kobiety powraca się zawsze?

Butrym przystanął, zdziwiony niespodziewanym pytaniem.

— Skąd ci to przyszło na myśl?

— Ot tak, snuje się człowiekowi po nocy to i owo w głowie. Nie lubię nocy, kiedy nie śpię, a jestem przypadkowo zupełnie trzeźwy. Zbyt wiele rzeczy wtedy się przypomina.

— Coś jak tej biednej Tourbillon? — próbował Butrym żartować.

— A tak, moje złoto. Zupełnie jak Tourbillonce. Widocznie zacznę się już wkrótce starzeć. Całkiem głupia rzecz. Przecież mam dopiero mało co ponad pięćdziesiątkę.

Szli jakiś czas w milczeniu. Dopiero w pobliżu domu doktor zagadnął znowu, wracając do tematu, który snąć nie dawał mu dziś spokoju:

— Bo proszę cię, tyle się w życiu ma stosunków i miłostek, a ostatecznie pokazuje się zawsze, że była właściwie tylko jedna kobieta i gdyby zechciała, zostałby człowiek był przy niej, jak pies... Ty jesteś szczęśliwy, tyś rzeczywiście na tę kobietę trafił w swojej żonie...

— A tak, a tak — przyświadczył profesor szybko, jakby w obawie, by rozmowa na zbyt osobiste nie zesłała tory.

— Ale to wszystko jedno — mówił Krasołucki dalej. — Zawszeć to jest obrzydliwe i pogardy godne niedołęstwo z naszej strony. Och, Boże! Jakże ja się brzydzę wszelką wiernością, nawet swoją własną!

— Nie zauważyłem tej wady u ciebie!

Krasołucki jednak mówił poważnie.

Wierność

⁵⁹*peppermint* a. *peppermint* — kawa z miętą pieprzową. [przypis edytorski]

⁶⁰*frappe* — wł. *frappe*, kawa z lodem. [przypis edytorski]

— Najszaleńszy hulaka, najbardziej na cnotę niewieścią zajadły donżuan, jest jednak zawsze gdzieś komuś, jakiejś jednej, wierny w głębi duszy i to jeśli go już wprost nie gubi — to mu psuje życie do cna. I ja sam... Moje złoto, już tyle lat! Nawet ładna nie była ani nazbyt mądra. Miała dwoje dzieci, obrzydliwych bachorów, które byłbym chętnie potopił... A przecież, gdyby była zechciała, byłbym wziął i ją, i te wstrętne bachory... A że to byliśmy już wtedy żonaci, każde naturalnie na swoją stronę, więc planowałem wyjazd, z nią do Ameryki lub Australii... Bóg strzegł! — Ale żeby ją tak dzisiaj jeszcze spotkał i żeby tylko palcem skinęła, powiadam ci, na czterech łapkach bym wrócił!

Byli już przed domem.

— A co najzabawniejsze — dorzucił jeszcze — to to, że ja stary osioł zapomnieć nie mogę, a ona z pewnością ani roku nie pamiętała... Bo takie pamiętliwe Tourbillonki to tylko wyjątek. Najwyższy czas założyć towarzystwo dla emancypacji mężczyzn, jak powiada twój przyjaciel Śniegocki.

Pożegnali się uściskiem dłoni. Lekarz znikł w sieni domu.

Butrym myślał. Gdyby choć jedno jedyne dobre słowo po tym liście do mnie napisała!... Nie potrafiłbym się gniewać, nie zdołałbym o niczym złym pamiętać. Boże! Niechże choć jedno słowo napisze! Ja już nie mogę... nie wiem już, co pisać ani jak. Gdy zacznę list, rozdrażnienie wzrasta w miarę pisania i bierze w końcu górę... Jedno, jedno słowo, Zośka!... Napisz, bo Bóg mi świadkiem, że już nie znośę i nie wytrzymam. Boję się spotkać tak z tobą, bo wiem, że od wyrzutów zacznę i od żalów, a nie chcę tego, nie chcę, nie chcę! Ucieknę naprawdę, gdy będziesz miała przyjechać...

Wstrząsnął się cały i zawrócił w stronę obserwatorium. Klucz miał zawsze w kieszeni, wszedł do pustego gmachu i drzwi zamknął za sobą. Gdy się znalazł sam w dużej, ciemnej sali, zastanowił się dopiero, po co tu przyszedł po nocy, kiedy tu właściwie w tej chwili nie ma nic do roboty? Automatycznie zapalił światło elektryczne i oglądał bez myśli przyrządy, rejestrujące stan atmosfery. Potem ruszył w górę wąskimi wschodami do kopuły, w której był ustawiony wielki refraktor⁶¹. Usiadł przed nim i zaczął patrzeć na niebo.

Zbliżał się ranek. Wenus płonęła jasnym światłem jutrzeńki. Zwrócił na nią wylot przyrządu. Wąski, ostry, błyszczący sierp na czarnym niebie...

— O, gwiazdo, gwiazdo — szeptał do siebie — przedziwna gwiazdo! Postać masz gładką, miłą, zaokrągloną, dopóki jesteś daleka, po drugiej stronie słońca i wśród gwiazd innych mało widoczna! Ale gdy się zbliżasz i blasku ćmiącego inne gwiazdy nabierasz, zamieniasz się w sierp taki ostry, nielitościwy i złowrogi!

Odsunął oczy od szkła i zakrył je dłońmi.

VII

Deszcz, padający wczesnym rankiem, ustał był wprawdzie, ale dzień był mglisty i wietrzny. Sirocco⁶², który wiał przez kilka dni nieustannie, napędził poza Porto di Iyido i Porto di Malamocco tyle morskich fal w laguny, że w Bacino di San Marco woda ostatniego dnia podniosła się już nad poziom Piazzetty i za każdą nową falą rozlewała się szerokim półkręgiem: coraz dalej po marmurowym wybrzeżu, wchodziła i między kolumny, sięgała stopni portyku biblioteki Sansovina i szła płyciuchnym zalewem dalej, aż ku nowej kampanili i posępnemu portalowi kościoła. Tu i ówdzie przez zalew ten przekładano wsparte na 3 ceglach deski, tworząc w ten sposób suche dojście i do gondoli, chwiejących się niespokojnie wśród bezlistnego lasu krzywych pali, wbitych w dno laguny. Nikt nie szedł po tych mostach, z wyjątkiem kilku chłopców obdartych i bosych, skaczących jak pchły i dookoła i wypatrujących z krzykiem, czy w płytkiej wodzie na marmurowym podłożu nie zabląkała się jaka ryba przypadkiem.

Plac świętego Marka był pusty i mokry, podobny do ogromnego, mętnego zwierciadła, które odbijało w sobie niewyraźne zarysy płynących po niebie strzępiastych chmur. Gołębie osowiałe pokryły się w oknach kampanili i obsiadły gzymsy Prokuracji, nikt im dzisiaj nie rzucał zwykłego pożywienia, jakiś jeden uporczywy przekupień na próżno wykrzykiwał płacząco, wabiąc gości, których nie było, aby kupowali po soldzie papierowe tubki z kukurydzą... W starych i nowych Prokuracjach przed sklepami z błyszczącą

⁶¹refraktor — teleskop soczewkowy. [przypis edytorski]

⁶²sirocco — gorący, suchy wiatr pojawiający się w krajach basenu Morza Śródziemnego. [przypis edytorski]

tandeta i przed sklepami z bezcennymi dziełami sztuki złotniczej i szklarskiej, stali znużenia właściciele i pomocnicy, daremnie usiłując wypatrzeć jakiego chętnego na kupno przechodnia.

Przed tumem⁶³ świętego Marka ustawiono, jak szubienicę, rusztowanie z trzech belek złożone i umocowane szeroko linami okrętowymi, wyjmowano z brązowych cokołów maszty chorągwiane dla naprawy czy świeżego malowania.

Pani Zośka siedziała pod filarami przed kawiarnią Quadriego i patrzyła zadumana przed siebie. Mimo niepogody powietrze było ciepłe, zgoła nie grudniowe, wilgotny wiatr od morza rozwiewał jej włosy, wymykając się spod podróżnego kapelusza.

Turski towarzyszył jej w powrotnej drodze aż do Werony, tam się z nim rozstała; pojechał przez Tyrol do Monachium, gdzie miał jeszcze jakieś teatralne interesy do załatwienia. Dalszą więc podróż odbywała sama i miała początkowo zamiar nie zatrzymywać się nigdzie. Dzień przed wyjazdem wysłała z Monte Carlo telegram do domu, że wraca, była niespokojna trochę o Jacka wobec braku wszelkich wiadomości od męża. O tym, że i ona doń nie pisała, nie myślała wcale, gniewając się tylko w duszy na brak uwagi i względności z jego strony, że ją tak długo zostawia bez listu.

Kiedy jednak pociąg dojeżdżał do Mestre, uczuła się strasznie zmęczoną. Och! Gdyby się wyspać wygodnie jedną noc w łóżku, a nie w tym ohydny wozie sypialnym, gdzie się ma ciągle przygnębiające wrażenie ciasnoty, duszności i niepokoju! Ostatecznie może się spóźnić o jeden dzień. Gdyby dziecko było niezdrowe, to przecież w tym wypadku mąż byłby jej o tym doniósł niezawodnie...

Uśmiechnęła się z goryczą.

— Napisałby mi z pewnością raczej więcej, niżby było w istocie, nie oszczędzałby mnie, o, nie! aby mi owszem pokazać, jak złą matką jestem, opuszczając syna „dla zabawy” na parę tygodni.

Okolo południa wysiadła w Wenecji. Kazała się wieźć gondolierowi do jakiegokolwiek hotelu — zawiózł ją do starej oberży Capello Nero. Dano jej czysty pokój na pierwszym piętrze, obszerny, wygodny i ponury, z przedwiecznymi ciężkimi meblami, wśród których dziwnie raziły zawieszzone u sufitu liche i pospolite lampy elektryczne i żelazny pod ścianą kaloryfer.

Kazała sobie przynieść na górę coś do zjedzenia, sądziła, że położy się zaraz do łóżka i będzie spać, spać aż do dnia następnego. Nie miała jednak apetytu i po krótkim odpoczynku sen także uleciał jej z powiek... Ubrała się i wyszła na plac, beznadziejnie smutny i pusty...

Siedząc przed kawiarnią myślała:

— Mogłoby się stać teraz coś niespodziewanego. Tak, jak przed laty rozsypała się w gruz bez żadnego widocznego powodu stara wieża świętego Marka, mogłoby teraz na przykład morze zacząć się wznosić ciągle i bez ustanku... szłoby coraz wyżej i wyżej. Naprzód plac zamieniłby się w dziwną, marmurowymi kolumnadami otoczoną sadzawkę, potem woda wypełniłaby wnętrze kościoła, chłonęłaby z wolna pałac dożów, a potem potem zginęłoby wszystko — jeno może ten szczyt kampanii że złożonym archaniołem u wierzchu dawałby znać gdzie było niegdyś miasto precudne i jedyne miasto, i dziś już naprawdę od dawna umarłe choć przez większą część roku pozornie tak ruchliwym tętnem żyjące.

Dwóch młodych Włochów przechodziło koło niej; zatrzymali się o kilka kroków dalej i spoglądali ku niej dyskretnie...

— *E bella...*⁶⁴

— *Bionda e bella...*⁶⁵

Mówili coś więcej — słów już nie dosłyszała.

Nie odwracała oczu, uśmiechnęła się jeno leciuchno i oparłszy głowę o filar, patrzyła w stronę dwóch kolumn na lagunę, co opadała z wolna i cichła...

Wiatr przestał wiać, niebo wypogadzało się. Woda z placu przed pałacem Dożów spływała rażno z powrotem do morza, ludzie jacyś przyszli i zabierali niepotrzebne już mostki z desek. Przed kościołem świętego Marka pod arkadami Prokuracji i na Placu

⁶³tum — katedra. [przypis edytorski]

⁶⁴*E bella* (wł.) — Jest piękna. [przypis edytorski]

⁶⁵*Bionda e bella* (wł.) — Piękna blondynka. [przypis edytorski]

około kampanili pojawili się grupkami turyści nie wiadomo gdzie dotąd pochowani, gołębie poczęły zlatywać z wysokich gzymsów i krążyć całym stadem, nie kwapiąc się jeszcze usiąść na mokrych płytach bruku...

I naraz wyrzało słońce. Gdzieś spomiędzy strzępiastych chmur na kawałku olśniewająco błękitnego nieba ponad nowymi Prokuracjami spoza wieży św. Marka wyrzało złote i uśmiechnięte [słońce – przyp. WL] i przeglądało się w resztkach spływającej po kamieniach wody. Szara i smutna dotąd fasada kościoła zaśniła naraz wszystkimi barwami. Kolumnienki około wrót ożyły, odepchnęły się od muru rzuconym poza siebie cieniem i zadrgały, każda swoim kolorem, swoją duszą osobną. Mroczne absydy ponad drzwiami napelnił naraz deszcz złota, różu i błękitu: mozaiki słońcem zbudzone jęły znów śpiewać swą nieśmiertelną pieśń barwy i blasku.

Laguna, dotąd ołowiana, spłynęła naraz cała głębokim granatem, rozlanym szeroko, aż po San Giorgio Maggiore i dalej, między wysepki jeszcze zielone, gdzieś ku zagubionemu w oddali Malamocco.

Gołębie, susząc skrzydła w słońcu, krążyły ciągle chmurą ogromną, ruchliwą, wirującą nisko wśród gmachów i mieniącą się w oczach jak deszcz irysowych płatków, rzuconych na wiatr z wysoka...

— *E bella e bionda...*

Kto to powiedział? Trzeba, żeby jej to ktoś powtórzył jeszcze raz, głośno, teraz, kiedy zaświeciło słońce, i żeby ukląkł przed nią z daleka, cicho, składając na piersiach ręce z rękojęścią szpady. Trzeba, żeby jej rzucił pod nogi dumne strusie pióro z aksamitnym beretem, a gdy się ona uśmiechnie, aby wstał i ujął ze czcią końce jej palców i wiódł ją po rzuconym pod nogi suknie purpurowym do złocistej, drogim futrem wysłanej gondoli...

— *E bella e bionda...*

Przymknęła oczy. Przez maleńkie szparki między powiekami lśnił jej tylko w źrenice blask słońca złoty na długich, ciemnych rzęsach zawieszony...

Kupcy z dalekiego Wschodu zwieźli tu na okrętach perły najdroższe i co najkrwawsze korale, złotnicy w ciemnych, po wąskich uliczkach poukrywanych kuźniach uprzedli ze złota siatki pajęczę i zasiali je ciężkimi brylantami, ogorzali od żaru hutnicy w Murano kruche szkło powyginali grubymi palcami w precudne, bajeczne kwiatów kielichy, obarwili je kolorem słońca i nieba, i morskiej wody ruchliwej, robotnice z ogromnymi węzłami czarnych włosów na małej głowie utkały koronki delikatniejsze od owych zimowych wzorów, którymi mróz na północy okna przystraja, wystawiono pałace z marmuru, ściany mozaikami wyłożono, niskie, miękkie sofy obito skórą, na których wśród złotych liści kwitną tęczowe kwiaty...

— *Bella e bionda!* — To wszystko dla ciebie! Ażebyś jeno uśmiechnęła się czasem, abyś końce palców białych ustom spragnionym podała, byś pozwoliła patrzeć na siebie!

Otworzyła oczy.

Dzieciak jakiś stał nieopodal i sypał obiema rękami złote ziarna kukurydzy gołębiom, co cisnęły mu się około nóg całą chmarą, różowymi dzióbkami z rąk wyrwały pożywienie, siadały na ramionach, głowę skrzydłami w przelocie muskały.

Przez Plac szły smukłe weneckie dziewczęta. Z upiętymi na głowach czarnymi włosami, ze złotymi kolcami w uszach, w czarnych chustkach z długą, z tyłu aż do ziemi spadającą frędzlą jedwabną. Szczebotały między sobą i śmiały się czerwonymi ustami, rzucając wkoło spod ciemnych brwi spojrzenia żywe i płonące. Jedna z nich przystanąła. Butrymowa widziała jej profil o cudnie rzeźbionym orlim nosie z ruchliwymi nozdrzami i ustach wydatnych a subtelnym, teraz nieco rozchylonym szczęśliwym uśmiechem...

Szedł ktoś ku niej z przeciwnej strony Placu, od kampanii i uśmiechał się również: Młody, smagły chłopak, przyzwoicie i ze smakiem odziany. Widziała, jak się spotkali, jak się zwarli dłońmi ze sobą.

— *Caro mio*⁶⁶...

Poszli przez Plac gdzieś w stronę San Moise, z głowami nachylonymi ku sobie, niczego już śnać nie widząc, nic nie słysząc.

Rozejrzała się wkoło. Zdało jej się naraz, że całe miasto pełne jest szczęśliwych i Kochających się par. Oto cudzoziemcy jacyś młodzi, sobą tylko zajęci, niezważający zgoła na

⁶⁶*Caro mio* (wł.) — Moja droga. [przypis edytorski]

natręctwo narzucającego się im wciąż przewodnika. Tam znów przy kawiarnianym stoliku aktorka jakaś czy śpiewaczka z futrem na ramionach bogatym. Siedzi naprzeciw niej człowiek bladej i modli się do niej oczyma. I znów przesunął się przed nią włoski zgrabny oficer przy boku wytwornej, smukłej, do jakiegoś zaczarowanego kwiatu podobnej kobiety...

— Gdzie jest ten, co mnie kocha?

Targnęła nią naraz straszna, niewysłowiona, acz bolesna tęsknota.

— Dlaczegoż ja jestem sama?

Tęsknota

Butrym, uciekając w zgoła dziecinny sposób przed spotkaniem z żoną, za którą właściwie tęsknił straszliwie, wyjechał z domu natychmiast, kiedy tylko otrzymał jej telegram donoszący o powrocie.

Wziął drogę na południe i miał zamiar nie oprzeć się aż na Sycylii i spędziwszy Święta Bożego Narodzenia w Taorminie lub w Syrakuzach powrócić dopiero z końcem uniwersyteckich ferii do domu. Nim jednak dojechał do Wiednia, zaczął się już krytycznie na czyn swój zapatrywać. W Wiedniu przyszło mu na myśl, że zabawną ucieczką swoją utrudnia tylko położenie, gdyż prawdopodobnie żona jego, stęskniona po dłuższej nieobecności za domem i skłonna przeto do wyrównania wszystkich dawnych, bez dostatecznej przyczyny właściwie powstałych nieporozumień, będzie się czuła dotknięta, że go w domu nie zastaje i znów swoim zwyczajem zamknie się w sobie na długie może miesiące.

Mimo to nie przerywał podróży. Usiłował, owszem, wmówić w siebie, że dobrze robi, jeśli jej da odczuć brak swojej obecności i że to już będzie zyskiem w ich stosunku, gdy ona zobaczy, że bezkarnie w ten sposób lekceważyć go nie może. Za żadną cenę nie powinien teraz okazać słabości.

W wagonie gdzieś około włoskiej granicy pomyślał, że ona jednak może wcale nie odczuć braku jego obecności i nie przyznać nawet w duszy, aby miał jednak jakkolwiek rację uciekać tak przed jej przybyciem. Okaze się tylko w oczach jej po prostu raz jeszcze śmiesznym głupcem, który prześlicznie drogi gwiazd oblicza, ale ze zwykłymi zdarzeniami życiowymi rady dać sobie nie umie, komplikując je niepotrzebnie. Pasja go ogarnęła.

Jeśli tak — myślał — tym lepiej! Tym bardziej nie powinien być w domu, gdy ona przyjedzie. Jeśli moja nieobecność nie sprawi jej przykrości, tak samo nie ucieszyłby ją mój widok. Więc po co, po co się jeszcze raz powitać i okazywać mimo woli — bo wiem, że nie potrafię zapanować nad sobą — jak strasznie za nią tęskniłem, i widzieć, że ją to właściwie nic nie obchodzi...

Usiłował nie myśleć o tym więcej i wykonać to, co raz postanowił, to znaczy jechać dalej.

Dojechawszy do Wenecji, zatrzymał się z zamiarem zabawienia tu dwóch dni przynajmniej. Zbyt lubił to miasto, aby je mógł ominąć bez zobaczenia kopuł św. Marka i ciekawych marmurowych mostów, wiszących w słońcu nad szmaragdową wodą wąskich kanałów, a przede wszystkim bez napatrzenia się jeszcze raz na niewysłowienie wspaniałą brązową postać Colleonego, tam przed kościołem św. Jana i Pawła.

Południową godziną, kiedy po smutnym i dżdżystym dniu poczęła się robić pogoda, zaszedł na plac św. Marka. Chodził i przyglądał się bez myśli sklepowym wystawom. W jakimś magazynie złotniczym w galerii Nowej Budowli zajęły go zawieszona w oknie filigranowe naszyjniki cudnej roboty, perłami ciężkimi usiane. Przyszło mu na myśl, że taka złota sieć, pełna łez wyłowionych z morza, cudnie by jednak wyglądała na odkrytych ramionach jego żony...

Odszedł od sklepu i powrócił doń za chwilę. Pokusa nie dawała mu spokoju. Widział szyję jej białą, cudnie rzeźbioną, smukłą, wylaniającą się z uwięzi tej pajęczyny ze złota i chłodne perły falujące i błyszczące za każdym oddechem jej drobnego, dziewczęcego niemal łona. Widział przede wszystkim uśmiech jej radosny, na widok klejnotu, świecącego w jej dłoniach... Uczuł, że uśmiech ten tanio byłby zapłacony, gdyby jej za niego rzucił pod nogi te wszystkie drogocenne rzeczy, za szybą wystawową błyszczące, ba! gdyby jej całą Wenecję ze wszystkimi skarbami pod nogi rzucił!

Gwałtowne pragnienie uderzyło mu do głowy, jak dur ze starego wina. Nachylił się i pocałował patrzeć na małą karteczkę, na której cena naszyjnika była wypisana. Z górą

dziewięć tysięcy franków! Nie miał takiej sumy przy sobie i w ogóle niełatwo by mu było zdobyć się na nią. Mimo to zaczął szybko przeliczać w myśli pieniądze, jakie posiadał, i kombinować, czyby nie mógł telegraficznie zażądać brakującej reszty z banku w Krakowie, z którym miał stosunki.

Po pewnym czasie roześmiał się sam ze siebie. Przecież, oby to było szaleństwo! Żona słusznie, zamiast się ucieszyć i podziękować mu, raczej wymówki by mu robiła, że wyrzuca w ten sposób grosz, którego właściwie bynajmniej nie mają do zbytku. Uczuł całą śmieszną nędzę swoją i zagryzł z bólu wargi aż do krwi.

Tymczasem wyszedł ktoś ze sklepu i mówił coś do niego. Spozstrzegł, że to sprzedający, zauważywszy jego zaciekawienie, zaprasza go do wnętrza. Wszedł machinalnie, nie wiedząc właściwie, po co. Stał i patrzył na różne klejnoty, jakie mu pokazywano. Zorientował się nareszcie, że tak bez końca przecież stać nie może i jakiś fałszywy iście polski wstyd skłonił go do kupienia czegokolwiek. Wziął bez wyboru jakiś sznur koralu, za kilkadziesiąt franków, który mu się zresztą wcale nie podobał i wyszedł ze sklepu.

— Po co ja to kupiłem? — myślał, otwierając dłoń, zaciśniętą około nabytku, którego sobie nawet opakować nie pozwolił, aby tylko uciec jak najprędzej.

Patrzył na duże a brzydkie korale i porównywał je w myśli z perłami, które oglądał przed chwilą. Zaśmiał się znowu boleśnie. Przecież tego jej nie da! Tego marnego lichego podarunku, jaki się wiernej kucharce po kilkuletniej służbie przywozi. Smutek ogromny wypełnił mu piersi.

Przechodziła koło niego jakaś czarna, smukła dziewczyna wenecka — spojrzała chciwie na korale, które w dłoni trzymał. Schwycił jej wzrok w przelocie. Odruchowo rzucił jej sznur na ręce i nie czekając nawet podziękowania zdumionej i niemal przerażonej niepojętą hojnością nieznajomego, pobiegł w stronę starych Prokuracji.

Naraz zobaczył żonę siedzącą pod filarem... Nie dowierzał początkowo własnym oczom. Tak dalece nie spodziewał się jej tutaj spotkać, że sądził, że to tylko złudzenie. Było mu ono jednak tak miłe i wbrew temu wszystkiemu, co przez całą drogę wmawiał w siebie, tak głęboką napęliło go radością, że bojąc się po prostu, aby nie przyszło, nie zbliżał się. Usiadł opodal na jakiejś skórzanej kanapce kawiarnianej pod murem z tyłu za jasnowłosą kobietą i patrzył...

Po chwili był już pewien, że to jego Zośka tam siedzi. Nikt inny na świecie nie mógł mieć tego ruchu głową ani takich sypekich, niesfornych włosów złocistych. Nie potrzebował nawet widzieć jej twarzy, którą stale była odeń odwrócona.

Mimo to nie podchodził jeszcze. Ogarnęła go jakaś smutna obawa, że ona może nie być rada z tego spotkania, że gdy spojrzy jej na twarz, wyczyta tam tylko zdumienie, może nawet przykre... Dobrze mu było siedzieć tak zdała i patrzeć, bał się psuć tej chwili.

Jakaś nieładna i gruba kwieciarka⁶⁷ wsuwała w butonierkę goździk, wyjęty z kosza, który miała na ręku. Popatrzył na kwiaty. Z wolna zabrał oburącz wszystkie, jakie były w koszu...

— *Fa dieci lire, signore*⁶⁸...

Podał jej pieniądz papierowy i z pełnym naręczem kwiatów postąpił naraz ku stolikowi, gdzie siedziała pani Zośka.

Obejrzała się właśnie, dostrzegła go. Nagły błysk radości przebiegł jej po twarzy.

— Och Mietek, jakiś ty dobry!

Zmieszał się jak student.

— Zupełnie przypadkiem się tutaj znalazłem.

Stała już przy nim.

— Wszystko jedno, wszystko jedno! Dobrze, że jesteś! Tak chciałam, żebyś tu był w tej chwili. O, kwiaty! To dla mnie, prawda?

— Niespodzianym ruchem przygarnęła jego głowę ramieniem i pocałowała.

— Zośka, Zośka moja — szepnął, podnosząc jej ręce do ust.

— Chodź, siadaj. Tu blisko. Ładny jesteś i tak dzisiaj młodo wyglądasz... Tęskniłam za tobą. Tam w Monte Carlo może nie, ale dziś, tutaj...

Schwyciła go naraz za rękę i przymykając nieco oczy, szepnęła przez zaciśnięte zęby:

⁶⁷kwieciarka — dziś raczej: *kwiaciarka*. [przypis edytorski]

⁶⁸*Fa dieci lire, signore* (wł.) — Po dziesięć lirów, proszę pana. [przypis edytorski]

— Kochasz?
— Tak.
— Powiedz wyraźnie.
— Kocham, Kocham...
— Mów mi to. Chcę słyszeć. Chcę, żeby mi się zdawało.
Urwała nagle w środku zdania.
— Co? Co ci się ma zdawać?
— Nic już, nic... Dobrze naprawdę, żeś przyjechał. Tak mi było smutno i taka się czułam opuszczona, samotna.

Oparta na jego ramieniu patrzyła spod opuszczonych powiek na złoty kościół, na pałac marmurowy, na morze. Ciche westchnienie wzniosło jej pierś.

Gondolier mówił:

Ja państwo przewiozę⁶⁹. Popłyniemy daleko, daleko, gdzie państwo tylko zechcą. Ja pana poznaję. Pan dziś po południu podarował korale mojej dziewczynie. Pokazywała mi pana.. Byłbym zazdrosny. Ale gdy teraz widzę, że pan jest *con sua signorina tanto amata*⁷⁰...

Uśmiechnęła się do niego:

— Widzisz, biorą mnie za twoją kochankę...

— Jesteś mi kochanką jedyną! — odparł, podając jej dłoń, aby wsiadła do łódki.

Morze opadło zupełnie i uspokoiło się. Laguna lśniła w blasku pełnego księżyca, znaczone latarniami, wskazującymi pomiędzy mielizny drogę do dużych okrętów. Jeden wielki statek stał w pobliżu Dogany gotowy do odjazdu, słychać było nawoływania załogi, na pokładzie błyszczały ruchliwe światła...

Przewinęli się na cichej gondoli około statku i płynęli gdzieś poza San Giorgio Maggiore.

— Dokąd ci ludzie jadą na tym okręcie — mówiła Butrymowa, wsparta w gondoli o ramię męża. — Wiesz, gdyby to tak można sięść na jaki okręt i popłynąć, nie wiedząc nawet dokąd? Może by tam gdzieś na końcu świata znalazł się nareszcie kraj, gdzie ludzie mogą być ze sobą, bez tego wszystkiego, co nas tutaj w codziennym życiu otacza.

Wstrząsnęła się i zakryła oczy rękoma.

— Nie! Nie chcę o tym myśleć. Dzisiaj jest dzień z bajki, ze ślicznej, złotej bajki, co ma wachlarz z tęczowych pawich piór. Wszystko musi być jak w bajce. Tyś się zjawił tak niespodziewanie i ja tak jakoś dzisiaj cię Kocham...

— Zośka, czy w bajce tylko?

— Nie pytaj! Ja widocznie nie umiem żyć inaczej, jak tylko w bajce. Może to nawet całe nieszczęście, że ty tego nie rozumiesz. Nie powinnam była wcale wychodzić za mąż. Spodobałeś mi się, więc trzeba mi było spędzić z tobą rok czy pół roku, a potem iść sobie.

Ogarnął ją ramionami.

— Dziecko!

— Wiem, co chcesz powiedzieć. Oburzony jesteś moją „niemoralnością”, A przecież gdybym była mężczyzną i coś podobnego powiedziała...

— Tak, gdybyś była mężczyzną...

— Nie brałbyś mi tego wcale za złe. A dziś z powodu śmiesznych uprzedzeń, które kobiecie narzucono...

Zamknął jej usta dłonią.

— Zośka, nie mów już. Powiedziałaś, że dzisiaj ma być dzień z bajki. Niechże więc tak będzie. Zapomnij o wszystkim, nad czym się rozumuje i wyczuwaj tylko cicho, cichutko, jak się ta łódź na lagunie kołysze...

— Chłodno mi — szepnęła z lekkim dreszczem.

Przygarnął ją silniej do siebie i okrył połą szerokim płaszczem.

— Dobrze tak? Teraz dobrze?

— Dobrze.

Przytulona do niego, patrzyła przed siebie szeroko rozwartymi, zastygłymi oczyma.

Kobieta, Mężczyzna,
Mizoginia

⁶⁹Ja państwo przewiozę — dziś raczej: Ja państwa przewiozę. [przypis edytorski]

⁷⁰con sua signorina tanto amata (wł.) — ze swoją damą ukochaną. [przypis edytorski]

Wypłynęli już daleko poza San Giorgio Maggiore i zdążyli okólną drogą w stronę Lido. Księżyc skrzył się na uciszonej zupełnie lagunie, cała linia miasta, długa i wyciągnięta, świeciła przed nimi latarniami, płonącymi na Riva dei Schiavoni. Było to wszystko naprawdę jak w bajce. Jakiś gród świetlisty, zaczarowany, wstający z ciemnego morza, po którym jeno drobnymi światełkami drogi ku niemu się znaczą... Nad koronkowymi arkadami marmurowa ściana pałacu dożów płonęła różowym odbłaskiem, wieża świętego Marka, od lamp niewidocznych, na Placu ukrytych, jasna, stała jak wodotrysk białego ognia lub olbrzymia, świecąca sopla lodu na niebie, gwiazdami usianym. Dalej, znacznie dalej, na prawo na końcu jasnej linii wybrzeża kłębiły się w rzadko latarnią przetkanym mroku bujne drzewa Ogrodów Publicznych.

Butrym nachylił się nad żoną. Spozrzegł, że w rozwartych oczach ma łzy.

— Zosik, co tobie?

— Nic... biedna jestem, naprawdę tak bardzo biedna.

Gwałtownym ruchem przytuliła się silniej do niego.

— Mietku! Zrób ty co, żeby ja ciebie kochała. Więcej już w tej chwili, więcej! Daleko więcej. Byłabym może szczęśliwa.

Posmutniał głęboko.

— I cóż ja mogę zrobić? Jestem już naprawdę bezsilnym w tym względzie. Życie bym gotów dać, gdybym wiedział, że to co pomoże. I ja bym wtedy był szczęśliwy.

— Kochaj mnie przynajmniej ty.

— Kocham cię, złota, jedyna moja.

— Bardzo! Bardzo! Chcę tak bardzo, że już więcej nie można.

Nachylił się ku niej i mówił głosem łamiącym się w krtani od jakichś tłumionych łez:

— Kocham cię więcej, aniżeli możesz myśleć... Aż wstyd mi się przyznać do tego!

Kocham cię! Chcę!

Przymknęła oczy.

Późno wstali od obiadu; było już około dziewiątej. Pani Zośce, która zazwyczaj nic nie pijała, błyszcząły oczy po paru szklankach krwawego wina z Valpolicello.

— Co będziemy teraz robić? — spytał Butrym.

— Co chcesz. Bawić się chcę.

— Do teatru?

— Nie. To nudne. Nie dość po włosku rozumiem. Zresztą chciałabym dzisiaj być bardzo wesola, zrobić coś takiego, czego się zwykle nie robi. Czy tu niema jakich nocnych lokalów z tańcami? Przecież ty musisz wiedzieć.

Profesor wziął gazetę w rękę.

— Owszem — rzekł, patrząc w ogłoszenia — jest tango, ale to dopiero zaczyna się około północy. Teraz, gdybyś chciała, moglibyśmy chyba iść do Variete, odbywa się *Lotta libera pel campionato del mondo*⁷¹...

— Co to znaczy?

— *Catch as catch can*, „Chwytaj jak się da”, zapasy amerykańskie o mistrzostwo światowe.

— Czy to ciekawe?

— Walka brutalna i nielitościwa, z całym aparatem wykręcania rąk i nóg, duszenia krtani i tym podobnych chwytów. Ale widzę kilka ciekawych nazwisk. Zresztą możemy przecież wyjść każdej chwili, gdy zechcesz.

— Chodźmy, chodźmy! Abyśmy się nie spóźnili. Nigdy tego nie widziałam.

— Mamy czas. Zapasy wypełniają dopiero drugą część widowiska. Pierwsze to zwyczajne produkcje szansonistek i tanecznic.

Gdy weszli, zastawiona stolikami sala była już niemal pełna. Zajęli wolne boczne miejsca i kazali sobie podać flaszkę białego wina z Capri. Na scenie w głębi śpiewała jakaś podle wymalowana „męczennica sztuki”, na którą nikt nie zwracał uwagi. Publiczność, zajęta mającymi się wkrótce odbyć zapasami, nie troszcząc się o śpiewaczkę, rozmawiała półgłosem i oceniała szanse występujących dziś zapaśników.

Butrymowi przypomniawszy się Mary i żal mu się zrobiło biednej, wymalowanej i starzejącej się już szansonistki, robiącej na próżno miny, w założeniu tkliwe a w rezultacie

⁷¹*Lotta libera pel campionato del mondo* (wł.) — walka o mistrzostwo świata, za darmo. [przypis edytorski]

zupełnie komiczne. Gdy skończyła śpiewać, dał jej krótki oklask. Ci, co to zauważyli, zaczęli sykać i śmiać się, patrząc nań lekceważąco.

Po kilku podobnych, na szczęście krótkotrwałych występach, którym jednak pani Zośka z dziecinnyim zajęciem się przyglądała, pojawiła się tancerka, znana widowni i lubiana, bo przywitano ją burzą oklasków.

Była wysoka, smukła, w długiej powłóczystej sukni, przez której przezroczystą materię rysowały się wspaniałą rzeźbą cielistymi trykotami obciążone nogi. Ręce i ramiona miała nagie, wycięcie z tyłu pasa niemal sięgało.

Twarzą, cokolwiek zaledwie podmalowaną, uśmiechnęła się przyjaźnie do publiczności i w takt muzyki zaczęła taniec jakiś poważny. Po skończeniu zniknęła na parę chwil za kulisami i pojawiła się znowu, tym razem w innym już stroju. Suknię odrzuciła, trykot tylko miała na sobie obcisły, wspaniałe a subtelne kształty jej uwydatniający i szeroki, muślinowy szal w ręku. Rozpoczął się taniec coraz szaleńszy i coraz więcej wyuzdany. Gibkie członki tanecznicy przechylały się w płasach i wiły przed oczyma zachwyconej publiczności, jej drobne, piękne usta uśmiechały się ciągle niewinnie i ponętnie...

Butrym spojrział na żonę. Chłonęła tanecznicę szeroko rozwartymi oczyma, na twarz wystąpiły jej gorączkowe wypieki. Uśmiechnął się.

— Podoba ci się?

— Ach, cudna jest! Cudna!

Nareszcie taniec się skończył. Tancerka znużona z głębokim ukłonem i z wdzięcznym na twarzy uśmiechem cofała się za zsuwającą się zasłonę. Ale publiczność po prostu oszalała. Zaczęto klaskać, wołać, tupać i stukać laskami, nie dając jej odejść.

— Jeszcze! Jeszcze! *Fuori! Da capo! Bis!*⁷² – krzyczano zewsząd..

Tancerka ukazała się na moment przed zasłoną, jeszcze jeden ukłon, jeden uśmiech ku sali rzuciła i chciała odejść, muzyka antraktowa już jakąś uwerturę dla przerwania owacji grać zaczynała. Ale to się nie udało. Podniósł się wrzask i krzyk ogłuszający, na muzykantów zaczęto rzucać kapeluszami, bito laskami w stoły i krzesłami o podłogę.

— *Che danzi ancora! che danzi! Fuori!*⁷³

Ktoś krzyknął w głębi:

— *Che venga nuda!*⁷⁴

I naraz cała sala poczęła ryczeć:

— *Nuda! Nuda! Nuda! Che danzi nuda!*⁷⁵

— Czego oni chcą? — spytała pani Zośka.

— Aby tańczyła nago.

Oczy jej się rozjarzyły.

— I będzie?

— Nie wiem.

Tymczasem na znak, że wszechwładna publiczność odniosła zwycięstwo, zasłona przed scenką rozsuwała się powoli. Umilkli naraz wszyscy. Światła na sali przyciemniały się kolejno, zapanował półmrok, w którym jarzyła się tylko na scenie jasna plama, reflektorem z góry rzucona. Muzyka rozpoczęła z cicha taniec jakiś fantastyczny.

— Patrz! — zawołała pani Zośka, chwytając męża za rękę.

Tancerka wbiegła znów na scenę. Z wyjątkiem opasania koło biodr i okrągłych tarcz, naszywanych fałszywymi brylantami na piersiach, nie miała nic na sobie. Skóra jej cudownie miękka i młoda o ciepłym kolorycie lśniła jak najprzedniejszy aksamit. Bose nogi o długich, zaróżowionych na końcu palcach i różowych, suchych piętach drgały w drobnych, wytwornych płasach. Tors przeginał się i prężył, spod spuszczonej rzęs przeblyskiwały palące oczy, a usta uśmiechały się ciągle niewinnie i słodko...

Skończyło się.

Ktoś rzucił wiązkę kwiatów, ktoś łańcuszek złoty od zegarka, nie klaskano już prawie, szept tylko szedł po sali zachwycony i głęboki:

— *Bella, bella! E bella!*

W antrakcie pani Zośka zwróciła się do Butryma z płonącymi jeszcze wciąż oczyma.

⁷²*Fuori! Da capo! Bis!* (wł.) — Wychodź! Od początku, jeszcze raz! [przypis edytorski]

⁷³*Che danzi ancora! che danzi! Fuori!* (wł.) — Zatańcz jeszcze raz! Jeszcze raz! Wychodź! [przypis edytorski]

⁷⁴*Che venga nuda!* (wł.) — Niech tańczy nago! [przypis edytorski]

⁷⁵*Nuda! Nuda! Nuda! Che danzi nuda!* (wł.) — Naga! Naga! Naga! Niech tańczy naga! [przypis edytorski]

— Och, jakie one szczęśliwe!

— Kto? — zapytał z rzeczywistym zdumieniem.

— One, te wszystkie, które śpiewają, tańczą, dają się podziwiać, budzą zachwyt!

Przyszło mu na myśl, że mógłby jej w tej chwili opowiedzieć historię o „szczęściu” tych istot, znaną sobie dobrze i z niedawna, ale zamilkł przezornie. Ruszył tylko ramionami i po chwili rzekł dość obojętnie:

— Czy nie myślisz jednak, że to jest przykre, pokazywać się tak nago lub prawie nago przed publicznością?

— Dlaczego? — zapytała zupełnie szczerze.

— Jak to: dlaczego? Przecież...

— Przecież co? Widzisz, że nie wiesz co odpowiedzieć. Ja myślę owszem, że to jest bardzo, bardzo przyjemne.

— Teraz ja ciebie nie rozumiem.

— Naturalnie, bo ty w tej chwili pamiętasz wciąż o tym, że to mówię ja, twoja żona. Ale pomyśl: przecież ja jestem piękna. No powiedz, co? Jestem piękna?

Skinął głową.

— Wiesz o tym.

— Tak, wiem. I oprócz mnie nikt o tym nie wie. Chyba ty jeden, bo nikt mnie więcej na świecie taką, jaką jestem, nie widział. Ale i ty dawniej nie widziałeś mnie, boś mnie nie kochał, teraz nie widzisz mnie, boś się do mnie przyzwyczaił, któż patrzy na żonę!

— Zośka!...

— I czy to nie grzech? Czy nie grzech! Jeszcze rok, dwa czy cztery i zwiędnę, przekwitnę, i tak się dzieje z setkami, a przynajmniej z dziesiątkami kobiet, o których nikt nie wie, że były piękne i zasługiwały w młodości na to, żeby rzeźbiarze posągi z nich kuli... Ta jest szczęśliwa, bo ta przynajmniej nie na próżno jest piękna.

— Nie wiem, co na to odpowiedzieć...

— Wierzę!

Uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem, a potem naraz wznosił głowę i popatrzył jej w oczy jasnym, głębokim wzrokiem.

— Słuchaj, czy to koniecznie potrzebny cudzy podziw? Czy ja na przykład chcę... żeby mnie podziwiano, że, w swoim zawodzie..., jestem mądry, mądrzejszy niż wielu to pojąć jest zdolnych?

Pojrzała na niego uważnie.

— A jednak podziwiają cię ludzie, masz sławę...

Daleki uśmiech błąkał mu się po ustach.

— Sławę... A przecież nikt całej myśli mojej nie zna, tak, jak nie znają piękności twojej ci, co patrzą na ciebie.

Powieki opadły jej z wolna do połowy źrenic, nieruchomie w niego wpatrzonych.

— Tak, piękny jesteś i ty, i młody zawsze, i mój... mój...

Zarumienił się nagle i spuścił oczy.

— Och! Zośka! A przecież tak strasznie głupi jestem w życiu, tak okropnie nie umiem sobie dać rady z tym, co mi jest najdroższe...

— Ze mną?

— Tak. Z tobą.

Przysunęła się doń nieznacznie i dotknęła ramieniem jego ramienia.

— Kochałeś kogo tak, jak mnie?

— Nie, nigdy nikogo.

— Ale w ogóle kochałeś się także, nim mnie poznałeś? No, powiedz! Przecież ja wiem.

— Po co pytasz? — mruknął z niesmakiem.

Jakiś nierozumny, złośliwy półśmiech przewinął się po jej wąskich wargach.

— Opowiedz, jak to było? W tej — jakże jej tam? — W tej malarce z Paryża, która później wyszła za męż. Wiem, że miałaś z nią romans.

Zmarszczył brwi gwałtownie.

— Dziwnie nieestosowną porę wybierasz na żądanie ode mnie zwierzeń doprawdy niesmacznych!

— A widzisz. Ja to przecież wiem i muszę to znieść. A gdybym tak ja była z kim miała romans, nim ciebie poznałam...

Na nowo rozpoczynające się przedstawienie uwolniło Butryma od odpowiedzi.

Na scenie przedstawiano zapaśników. W odróżnieniu od siłaczy, biorących zazwyczaj udział w regularnych zapasach, gdzie przeważnie siła sama, znaczna waga i nienaturalny rozrost mięśni górnej połowy ciała mają znaczenie, byli to przeważnie ludzie smukli, średniej wagi i niezmiernie harmonijnie zbudowani, o żelaznych, ale bynajmniej nie przesadnie rozwiniętych mięśniach. Butrym, sam gimnastyk doskonały i sportowiec, ćwiczył się także niegdyś jako amator w lekkiej atletyce, z zajęciem też teraz przypatrywał się stojącym w rzędzie, nagim zapaśnikom. Skorzystał ze sposobności, aby przerwać przykrą rozmowę i zaczął dawać żonie niektóre objaśnienia, zawodów tego rodzaju się tyczące.

Na pierwszy ogień wystąpił niewielki Japończyk, o mięśniach gładkich, jakby warstwą podskórnego tłuszczu powleczonych. Za przeciwnika miał Francuza o jasnej czuprynie i dużych, niebieskich oczach, z chłopcym niemal wyrazem twarzy. Zbliżyli się do siebie z wolna, pochyleni, z łokciami przyciśniętymi do żeber, z wyciągniętymi przed siebie dłońmi. Patrzyli sobie w oczy...

W chwili, gdy wedle regulaminu ręce sobie podawali, Japończyk nagłym rzutem podbił nogę Francuzowi. Ten jednak cofnął ją dość wcześnie, aby ująć ciosu przeciwnika i chwycił go błyskawicznie ramieniem za kark. Japończyk odbił się od ziemi, przewinął się kozłem ponad ramię Francuza i chwycił go z tyłu za nogi powyżej kostek. Runęli obaj i zaczęło się potworne zmaganie dwóch potężnych, prężących się i sprężystych ciał. Naraz, kiedy tuż przy rampie sceny Japończyk usiłował przerzucić przeciwnika przez głowę na wznak, ten, rzuciwszy się rybim ruchem gwałtownie w bok, runął w dół na orkiestrę, pociągając współzawodnika za sobą.

Przerwano naturalnie tak ciekawie rozpoczętą walkę, Japończyk zwichnął sobie nogę, Francuz miał skaleczoną rękę powyżej łokcia.

Po krótkiej przerwie wystąpiła druga para zapaśników: młody, szczupły Włoch i górujący nad nim olbrzymią siłą i wagą opasły, dobrze już siwiejący Niemiec. Walka przeciągała się długo. Włoch, nie mogąc na siłę mięśni sprostać Niemcowi, wyysiakiwał wobec niego swoją iście bajeczną zręczność. Kilkakrotnie bliski porażki, jakimś nieprawdopodobnym, zwinnym ruchem piskorza wydostawał się spod przeciwnika i stał znów na nogach, do dalszej walki gotowy. Wreszcie — po kilkunastu minutach — zdawało się, że wyczerpany ulegnie już olbrzymowi. Rzucony w tył, padł na wznak, ale barkami ziemi jeszcze nie dotknął. Wsparł się o nią tylko głową, łokciami w tył wygiętymi i szeroko rozstawionymi stopami. Niemiec wwałił się na niego całym ciężarem cielska i powoli, systematycznie, ujawszy go za przeguby dłoni, potworną siłą począł ręce jego od ziemi odrywać. Mięśnie Włocha napięły się i poczerwieniały z wysiłku, ale nie zdołały się oprzeć. Ręce jego w kleszczach niemieckich łap wznosiły się z wolna aż ku piersiom. Leżał już teraz, jak łuk ku górze wygięty, wspierając się o ziemię tylko potylicą głowy i piętami. W tej chwili Niemiec dźwignął się nieco i ciężarem swoich stu dwudziestu kilogramów uderzył jak taranem w brzuch przeciwnika. Włoch ugiął się, jak doskonały resor powozowy, ale ziemi plecami nie dotknął. Pod powtórnym ciosem rozplaszczyl się nieco więcej, żyły na nogi wystąpiły mu sinymi pęgam — znać było, że trzeciego uderzenia już nie wytrzyma. W chwili jednak, kiedy olbrzym uniósł się znowu, by po raz ostatni uderzyć i do ziemi go przygniść, jakimś niewiarygodnym, rozpaczliwym rzutem wysunął się spod niego i zerwał się na nogi. Niemiec z całym rozmachem gruchnął brzuchem o ziemię i w tym momencie za stopy przez własną głowę przerzucony, upadł na obie łopatki.

Burza oklasków powitała niespodziewane zwycięstwo. Pani Zośka, rozgorączkowana, nie była w tych owacjach ostatnią: biła z zapalem w drobne dłonie, oczy jej świeciły radością. Zwróciła się do męża:

— Czy kobiety biorą udział w takich zawodach?

— O ile wiem, do tego czasu nie. Walka nazbyt brutalna i przeto dla organizmu kobiecego niebezpieczna.

— To by było cudowne, gdyby tak kobieta zręcznością zwyciężyła takiego męskiego potwora jak ten Niemiec.

— Bądź spokojna. Kobiety zwyciężają zawsze. Nie potrzeba na to cyrku ani sceny... Tu byłoby może trudniej. Patrz tylko!

Rzeczywiście rozpoczynające się trzecie spotkanie mogło służyć za przykład nielitościwej brutalności walki *catch as catch can*. Przeciw pięknie zbudowanemu Bułgarowi wystąpił Belg o flamandzkim nazwisku, rośli, silny i smukły, o kwadratowej głowie, zwierzęco rozwiniętych szczękach i małym, krótkim nosie. Siły i zręczność zapaśników były mniej więcej równe, ale podczas gdy Bułgar walczył z pewną rycerską wytwornością, Belg nie przebierał w środkach i używał wszystkich, w tej strasznej walce niezakazanych chwytów, posuwając się nawet niekiedy poza dozwoloną granicę, co kilkakrotnie dało powód do interwencji sędziego i żywych protestów publiczności. A więc skręcał ręce i nogi przeciwnikowi, wyłamywał mu palce, dusił za gardło, zatykał dłonią nos i usta albo powalonego w straszliwy sposób piłował kościstą brodą po żebrach. Bułgar znosił to wszystko z nadludzką wytrzymałością, broniąc się przy tym uporczywie i skutecznie. W pewnej chwili, gdy upadł na twarz, Belg wywinął mu zręcznym ruchem lewe ramię na plecy i począł je wykręcać całą mocą, trzymając równocześnie stopę na jego przygiętym karku, a kolanem drugiej nogi gniołąc mu żebra. Wargi poczęły się Bułgarowi rozwierać i drgać z bólu, oczy zaszyły mu krwią, zda się, że słychać było trzask kości i ścięgien w wyłamywanym ramieniu. Ale zacisnął zęby i nie chciał się uznać za pokonanego, czym byłby walkę przerwał. Pot coraz obfitszy spływał mu z czoła.

Publiczność zaczęła się niepokoić, a wreszcie krzyżeć i grozić brutalnemu Belgowi. Kilka kobiet wyszło z sali, jedna dostała histerycznego śmiechu.

— *Via! via!* — krzyczano — przerwać walkę! Precz!

Sędzia powstał i obejrzał dokładnie zmagających się w straszliwej nieruchomości zapaśników. Rozłożył ręce bezradnie na znak, że to wszystko, co Belg robi, nie jest przepisami tej walki wykluczone. Bułgar wreszcie niesłychanym wysiłkiem zdołał się unieść i, obalając sobą w tył przeciwnika, uwolnić się z jego żelaznego uścisku. Radosne brawa i wołania rozległy się dokoła. Były jednak przedwczesne. Zagrożony zapaśnik nagle zatkanął mu usta szeroką dłonią i dwoma wysuniętymi jej palcami nacisnął oczy. Gdy sędzia dostrzegł ten niedozwolony ruch, poskoczył błyskawicznie i całkiem ordynarnie trzepnął Belga w głowę. Zerwał się olbrzym i zamierzył się ściśniętą pięścią na sędziego. Ten jednak, we fraku swym zaledwie pod pachę nagiemu wielkoludowi sięgający, patrzył nań spokojnie z drwiącym uśmiechem...

Belg się opamiętał i spuścił rękę. Wiedział, że uderzeniem byłby sobie zamknął raz na zawsze możliwość występowania nadal gdziekolwiek w zapasach.

Walka rozpoczęła się na nowo, a gdy wreszcie po jakimś czasie Bułgar uległ, rozległy się, miast oklasków, krzyki i gwizdania pod adresem zwycięzcy. Ten pokazał publiczności język i wyszedł. Pokonanemu Bułgarowi urządzono owację.

— Chodźmy już — rzekła Butrymowa do męża, błada i drżąca. — To jest zbyt okropne, nie mogę patrzeć.

— Nie. Nie wychodź pod wrażeniem tej walki, bo cię będzie gnębić jej wspomnienie. Poczekaj jeszcze, teraz walczy przeciw amerykańskiemu negrowi⁷⁶ Anglik Cherpillod, dotychczasowy szampion⁷⁷ świata w tych zapasach. Zobaczysz walkę szlachetną i piękną, która cię nieco uspokoi. Cherpillod, zaufany w swym mistrzostwie, wyznaczył nagrodę tysiąca franków dla każdego, kto mu się potrafi dłużej, niż dziesięć minut opierać, a w tym Murzynie ma potężnego przeciwnika.

Zapaśnicy stali już na estradzie. Anglik wysoki, pięknie zbudowany, kościsty, z wężłami precudnie rozwiniętych, a przecież nie spotworniałych mięśni, uśmiechał się przyjaźnie i jasno spod małego wąsa w przystojnej i inteligentnej twarzy. Stojący naprzeciw niego Murzyn jak z brązu odlany, patrzył na szampiona z mimowolną czcią na śmiesznej, trochę wystraszonej gębie.

Butrymową rozbawił od razu niezwykły kontrast tej pary.

— Przecież Murzyn kości mu połamie! Jest niewątpliwie dwa razy mocniejszy.

— Zobaczysz — odparł profesor.

⁷⁶negr (z łac. *niger*: czarny) — człowiek czarnoskóry; obecnie określenie to ma wydźwięk pogardliwy. [przypis edytorski]

⁷⁷szampion — in. czempion. [przypis edytorski]

I zobaczyła. Po kilkunastu sekundach przewaga Anglika była już niewątpliwie widoczna. Umiejętność jego i sztuka zapaśnicza po prostu zastanawiały. Po dwóch minutach znać było, że walczy już tylko z bezwładnym ciężarem ogromnego cielska murzyńskiego. A przecież ten negr, wytrzeszczający teraz oczy z niemym przerażeniem, był jednym z najlepszych, szeroko znanych i straszliwych zapaśników. Publiczność zaczynała się bawić.

— *Forza, Caffè-latte, forza! Nonn avete paura!*⁷⁸ — krzyczano wesoło, biorąc asumpt⁷⁹ z kawowej skóry murzyna.

Caffè-latte bronił się, jak mógł, i bronił się rzeczywiście nader dzielnie. Wreszcie Anglik chwycił go za nogi pod kolanami i uniósłszy go w górę, jakby watą był wypchany, zakręcił straszliwego młyńca. Murzyn rozstawił szeroko ręce, na darmo usiłując znaleźć dla nich punkt oparcia. Gruchnął na ziemię, przygnieciony do niej błyskawicznie na obie łopatki kolanem Anglika.

— Pięć minut i cztery sekundy — obwieścił sędzia.

— *Bravo campione!*⁸⁰ — wołano — *poverino Caffè-latte*⁸¹!

Teraz Butrym ujął żonę pod ramię.

— Pójdź. Są jeszcze dwie walki, ale nie będziemy na nie patrzeć. Lepiej wyjść teraz z uśmiechem na myśl o komicznej minie tego biednego „Kawy z mlekiem”.

— Nie rozumiem, jak ten Anglik mógł go zwyciężyć — mówiła pani Zośka, wychodząc.

— Pokonał go więcej mózgiem niż mięśniami, chociaż i te ma nadzwyczajne! Sztuka jego jest po prostu zdumiewająca, a przy tym nader szlachetna.

— Czyż myślisz, że i tego ohydneho Belga zdołałby powalić?

— Nie wiem. Przypuszczam. Chociaż w walce z tym brutalem prawdopodobnie i sam by wszelkich dozwolonych sposobów używał.

Butrym urwał, a potem dodał jakby do siebie:

— Szlachetność zbytnia w walce z nieprzebiegającym w środkach przeciwnikiem gubi zazwyczaj bez ratunku.

Uśmiechnęła się nieznacznie i trochę lekceważąco.

W zacisznym pokoju starej oberży Cappello Nero przeciągając się na łóżku, mówiła Butrymowa do siedzącego obok męża:

— Nie będziemy dzisiaj spali przez całą noc.. Będziemy rozmawiali do samego rana. Chyba żebym ja już była bardzo, bardzo zmęczona... Wtedy zakolyszysz mnie do snu, pocałujesz mnie cichutko w oczy i będziesz tu siedział przy mnie, póki nie usnę.

Uśmiechnął się cicho.

— Dobrze, dzieciно. Dopóki nie usniesz.

— Tak. A teraz mów co do mnie... Tak mnie całowałeś, że mnie usta bołą. Opowiadaj mi teraz, jaką ładną, bardzo ładną bajkę.

— Znam tylko jedną — najładniejszą.

— Więc mów. Zaczyna się pewno tak: Była sobie raz taka biedna kobieta, której nikt naprawdę nie kochał...

— Nie. Inny początek. Było sobie raz dwoje bardzo biednych ludzi, którzy się kochali i mogli być ze sobą niesłychanie szczęśliwi, gdyby...

— Gdyby co?

— Gdyby nie byli oboje tak śmiesznie dziecinni. Grali ze sobą ciągle jakąś krwawą komedię nieporozumienia, jakby się wstydząc swojej miłości i nie chcąc szczęścia, które tak blisko, tak bardzo blisko się znajdowało. Nie chcieli po prostu uwierzyć, w to, że życie jest piękne i że przy dobrej woli wszystko w życiu może być ogromnie proste. Za dużo mówili o tym, co myślą i czują, zbyt często objawiali przelotny zły humor, miast nad nim

⁷⁸ *Forza, Caffè-latte, forza! Nonn avete paura!* (wł.) — Naprzód, Caffè-latte, naprzód! Nie bój się! [przypis edytorski]

⁷⁹ *asumpt* — powód do czegoś, tu: biorąc sobie za powód kolor skóry zapaśnika. [przypis edytorski]

⁸⁰ *Bravo campione!* (wł.) — Brawa dla zwycięzcy! [przypis edytorski]

⁸¹ *poverino Caffè latte* (wł.) — biedny *Caffè-latte*. [przypis edytorski]

panować, zanadto wagi przywiązywali do słów i do drobnostek, zamiast widzieć w sobie wzajemnie tylko to, co w nich było dobrego i jasnego...

— To wcale nie jest ładna bajka. To jest bardzo smutne, co mówisz.

— Ależ to dopiero początek, zaczynają, aby się skończyć wesoło. Otóż ci ludzie nie-mądrzy mieli i młodość, i zdrowie, i dużo radości życia w sobie, i w nie najgorszych znajdowali się stosunkach materialnych, a nade wszystko mieli ślicznego i bardzo ukochanego synka, lecz zamiast cieszyć się tym wszystkim, dręczyli się tylko przedziwnie i ustawicznie.

— Kto winien?

— Nikt nie był winien, Zośka. To było zupełnie głupie nieporozumienie i nic więcej. Musiało się też z czasem wyrównać. Nadszedł taki dzień, że dobra niewidzialna wróżką sprowadziła ich niby przypadkiem razem do cudownego, zaczarowanego miasta. Byli tam zupełnie sami wśród obcych sobie ludzi i przekonali się naraz, jak są sobie bliscy i drodzy, i jak im dobrze może być ze sobą. Zdawało mi się, że łuska im nagle spadła z oczu. Zaczęli się śmiać ze wszystkich dawnych nieporozumień. Zośka, tak serdecznie zaczęli się śmiać! I nie mówiąc nic o tym, postanowili sobie nadal nie utrudniać życia, lecz cieszyć się zawsze tym wszystkim, co ono im daje...

— Nie, nie! To wcale nie jest taka bajka, jaką się dzieciom do snu opowiada. Ja chcę takiej bajki w której przyjeżdża rycerz nieznany, na ślicznym, czarnym koniu... Młody rycerz, piękny i zakochany, i wyzwała królową, która dotąd była kopciuszkiem...

Rysy twarzy skrzywiły mu się boleśnie, ale zapanował nad sobą. Odparł ze śmiechem:

— Zośka, jakże ja ci taką bajkę opowiem? Nie umiem takiej bajki. A gdybym się nawet obawiał, że taka bajka może być, że się może zdarzyć kiedyś, tobym o niej mówił, lecz z zaciśniętymi zębami czekałbym jej nadejścia jak gromu...

Wysunęła rękę spod kołdry i dotknęła nią jego twarzy.

— Mietku, ty naprawdę tak myślisz?

— Wiem o tym — rzekł, cicho palce jej całując.

Naraz zaśmiała się głośno.

— Ha, ha, ha! Jakąż ty masz zabawnie tragiczną minę! Och, Boże!

Zmarszczył brwi mimo woli.

— Nie śmieję się.

— Jakże się nie mam śmiać, kiedy doprawdy! A wiesz, a propos rycerza z bajki... Poznałam tam w Monte Carlo młodego Hiszpana, o którym, zdaje się, pisałam ci nawet...

— Cóż z tego?

— Nic. Właśnie nic. A młody był i śliczny! Taki śliczny, że aż dreszcz mnie niespokojny przechodził, ilekroć na niego spojrzałam...

— Po co mi ty to mówisz?!

— A cóż w tym złego? Przecież nad tym człowiek nie panuje. Czyż ty nie patrzyłeś, czy nie patrzysz nigdy na żadną kobietę z takim uczuciem, nawet teraz jeszcze, gdy jesteś moim mężem?

— Przypuśćmy. Są jednak różnice.

— No, proszę. Jakież?

— Przede wszystkim ja jestem mężczyzną...

— O! Tej różnicy, wiesz, że ja nie uznaję zgoła. Jestem tak samo człowiekiem i mam prawa te same.

— Nie, nie masz tych praw. Tu fizjologia rozstrzyga. Ale na razie mniejsza o to. Jest jednak jeszcze i ta różnica, że ja... nie mówię o tym, zwłaszcza w tak niewłaściwej chwili, jak ty teraz.

— Nie widzę w tym nic niewłaściwego. Okazuję tym tylko zaufanie do ciebie, że o tym mówię. A zresztą w tym, że mówię, masz najlepszy dowód, że nie było nic złego.

— Nic złego nie było!

— Naturalnie. Przyznam ci się wprawdzie, że prawie, prawie miałam ochotę puścić się z nim, po prostu dla spróbowania, jakby to wyglądało...

— Zośka!

— Nic się nie stało, nie bój się! Gdy mnie objął ramieniem i chciał pocałować, nagle ogarnął mnie taki niepojęty wstręt...

Butrym wstał i chodził dużymi krokami po pokoju.

Mężczyzna, Kobieta,
Mizoginia

— O cóż się ty dąszasz, Mietku? Chodź, siadaj tutaj z powrotem. Opowiem ci...
 — Dość mi już opowiedziałaś.
 Ruszyła niechętnie ramionami.
 — To jest naprawdę zbyt głupie, że ja zawsze zapominam, iż z tobą jak z przyjacielem mówić nie można.
 — Jak z przyjacielem! Wiesz, że cię kocham.
 — Tak, tak. I dlatego patrzysz wciąż na mnie, jak na zamkniętą w haremie. Brr... jakież to obrzydliwe! Że też wy wszyscy tacy podli, tacy podli jesteście!
 — Zośka, Zośka! Bój się Boga! Więc to ja teraz winien jestem?
 — A któż?
 Nie odpowiedział. Poszedł jeno do stolika opodał i usiadł, twarz ukrywając w obu dłoniach. Zaległo przez pewien czas milczenie.
 Nagle pani Zośka wyskoczyła boso z łóżka i usiadła mężowi na kolanach. Odsunęła mu ręce z przed twarzy.
 — Płaczesz? — zawołała, spojrzawszy mu w oczy. — Och, ty! Stary dzieciuchu!
 Objęła go nagimi rękoma za szyję i zaczęła gorąco całować po twarzy, po oczach, po ustach...
 Przez chwilę usiłował się bronić, a potem z nagłym wybuchem pochylił głowę na jej pierś.
 — Zośka, Zośka!

VIII

Biały, puszysty, cudowny śnieg pokrywał Tatry głębokie pod górąmi doliny. W bliższych Zakopanego okolicach, na Goryczkowej⁸², na Kondrackiej⁸³ roilo się od narciarzy, a na Kalatówkach⁸⁴ po prostu raut się odbywał. Przed schroniskiem Towarzystwa⁸⁵ sterczał las powbijanych w śnieg jesionowych desek, przez okna, choć zamknięte, bił nieustanny szum jakby młodego roju pszczół. Co chwilę ktoś po krótkim posiłku wychodził i przypiąwszy narty, ruszał ku górze, ku przełęczy Na Patykach⁸⁶, ku Suchemu Żłebowi⁸⁷ albo dalej na Goryczkową czy też w dół z powrotem do Kuźnic⁸⁸.

Dzień był cudny, mroźny i słoneczny zarazem, śnieg się iskrzył, suchy, krystaliczny, gwizdający pod nartami ostro. Butrym i Śniegocki, obaj na *skijach*⁸⁹, w białe wełniane swetry odziani, stali na wale, dzielącym górne Kalatówki od dolnych i patrzyli w stronę Suchego Żłebu. W górze ponad *drugimi skałkami* widać było trzy postacie, zjeżdżające w lekkich, wytwornych zakrętach całym pędem w dół. W dali wyglądały jak trzy muszki, snujące się węzłem po białej płaszczynie i rosnące ciągle w miarę zbliżania się ku patrzącym.

Śniegocki, który miał krótki wzrok, podniósł lornetkę do oczu.

— A jednak pani Zośka ciągle jest na przedzie! — rzekł po chwili.

Butrym uśmiechnął się z mimowolnym zadowoleniem.

— Tak, dotąd ciągle...

— Gotowa wygrać zakład! — mówił Śniegocki dalej, patrząc wciąż przez szkła. — O, nie, teraz adwokat Dzióbek ją dogania... Szalona kobieta! Patrz pan, zwróciła się wprost na strzał w dół. On także. Nie chce dać za wygraną. Ma dłuższe narty, dogonił ją, mija... Pędzi jak wiatr. Jeśli się teraz nie wywali...

— Już! — zawołał profesor ze śmiechem, gdyż właśnie w tym momencie w miejscu, gdzie się adwokat znajdował, ukazała się biała chmura śnieżnego pyłu, a po chwili sterczące dwie długie nogi, z jeszcze, dłuższymi na nich nartami.

⁸²*Goryczkowa* — trasa narciarska dla zaawansowanych, znajdująca się pod wierzchołkiem Kasprowego Wierchu. [przypis edytorski]

⁸³*Kondracka* — Dolina Sucha Kondracka, odgałęzienie Doliny Kondratowej. [przypis edytorski]

⁸⁴*Kalatówki* — popularna wśród narciarzy polana w Tatrach Zachodnich. Istniał na niej pierwszy polski ośrodek narciarski. [przypis edytorski]

⁸⁵*Schronisko Towarzystwa* — schronisko Polskiego Towarzystwa Narciarzy, które stało na Kalatówkach od 1911 do 1943 roku (w ostatnich latach funkcjonowało jako magazyn). [przypis edytorski]

⁸⁶*Przełęcz Na Patykach* — in. Przełęcz Białego, przełęcz w polskich Tatrach Zachodnich. [przypis edytorski]

⁸⁷*Suchy Żleb* — jeden ze żłebów opadających do Doliny Kondratowej z Giewontu. [przypis edytorski]

⁸⁸*Kuźnice* — dzielnica Zakopanego. [przypis edytorski]

⁸⁹*skije* — narty. [przypis edytorski]

— Bóg kobietom sprzyja! Teraz pani Zośka zwyciężyła naprawdę, gdyż Bergerowa daleko w tyle za nimi została.

Jakoż rzeczywiście w niewiele sekund Butrymowa wpadła pierwsza w szalonym pędzie na płaszczyznę górnych Kalatówek i zatoczywszy szeroki łuk, zatrzymała się twarzą wstecz ku Suchemu Żlebowi zwróconą.

— Spiesz się pan! — zawołała na mecenasa Dzióbka, rękę w górę podnosząc — czekam tu już na pana!

W granatowych, szerokich, około kolan obcisłych krótkich spodniach, w szarym swetrze z białym brzegiem i kołnierzem i w białej czapce wełnianej, spod której wyrykały się niesforne, złote, ruchem rozburzone włosy, z zarumienioną mrozem twarzą i z jaśniejącymi oczyma, stała tak w słońcu cała, smukła, zdrowa, sprężysta i wytworna.

Adwokat dojeżdżał do niej z rozwianym na wiatr szalem, cały ośnieżony i wkładał lewą ręką w oko monokl, na szczęście na sznurku uwiązany. Uśmiechał się wygolonymi ustami uprzejmie, ale kwaśno.

— Byłbym z pewnością pierwszy, gdybym się nie był przewrócił...

— A właśnie, właśnie! A gdzie to czapka?

— Została tam gdzieś w górze. Nie miałem czasu podnosić!

Butrym i Śniegocki byli już przy rozmawiających.

— Dzielnieś się spisała — mówił profesor — chociaż gdyby nie wypadek mecenasa...

— O to właśnie idzie, aby się ustrzec, upadków! — odparła wesoło. — Szkoda, że i ty nie wzięłeś udziału w tych zaimprovizowanych wyścigach.

— Niech pani nie żałuje — rzekł adwokat, kołysząc na sznurku wyrzucony znów z oka monokl — profesor jeździ z nas wszystkich najlepiej i wtedy nie byłoby zwycięstwo przy pani.

— Byłaby to zabawna i niebywała rzecz, widzieć męża zwyciężającego żonę! — śmiał się Śniegocki.

— No, pan by już żadnego zwycięstwa nie odniósł! — mówiła pani Zośka z udanym dąsem.

— A założmy się! Tylko rodzaj zawodów ja sam oznaczę.

Mówiąc to, wyjął z jakiejś ukrytej kieszeni pomarańczę i rzucił ją po pochyłej śnieżnej płaszczyźnie.

— Proszę! Kto pomarańczę podniesie w biegu, nie przewróciwszy się!

Zaczęły się gonitwy i śmiechy, którym Butrym przypatrywał się z dala, nie biorąc udziału w zabawie. Przyłączyła się za to do niej trzecia z zawodników, pani Wanda Bergerowa, która właśnie nadjechała z góry, żartując ze swego towarzystwa, że niepotrzebnie się tak śpieszyło, gdyż ostatecznie znowu wszyscy na jednym znajdują się miejscu.

Po jakimś czasie, gdy już wszyscy byli zmęczeni, a pomarańcza zupełnie rozgnieciona nartami, Butrymowa zbliżyła się do męża.

— Dziwny jesteś — rzekła półgłosem — wszyscy się bawią i dokazują, a ty jeden swoją powagą zupełnie psujesz nastrój. Czy nie mógłbyś na chwilę zapomnieć, że jesteś profesorem uniwersytetu?

— Ha, cóż robić! Starzeję się widocznie naprawdę, jak mi to tak często przypominasz — odparł z nieco melancholijnym uśmiechem.

Towarzystwo się rozdzieliło. Mecenas spotkał w schronisku jakieś znajome panie, przy których pozostał, profesor ruszył samotnie dalej w stronę hali Goryczkowej, a Butrymowa ze Śniegockim i Bergerową ku domowi.

Bergerowa, młoda, przystojna i nader ruchliwa wdówka, mówiła przez drogę do pani Zośki:

— Ty masz męża po prostu nadzwyczajnego! Przecież to sława europejska, a taki naturalny i miły! A jak doskonale w tym stroju narciarskim wygląda!

Butrymowa uśmiechnęła się z zadowoleniem i obejrzała się przelotnie poza siebie, gdzie widać było wdali profesora, wjeżdżającego właśnie na leśną drogę. Na białym tle śniegu rzeczywiście smukła postać jego wyglądała młodzieńczo i zgrabnie. Pod samym lasem na moment zatrzymał się i odwrócił. Schwycił wzrok żony, przesłał jej przyjazny ruch ręką i wjechał w las po zaczynającej się tu właśnie pochyłości.

— Kocha cię — szepnęła Bergerowa.

Pani Zośka zacerwieniła się gwałtownie.

— Och! Tyle już lat żyjemy ze sobą...

— Nie udawaj, że ci na nim nie zależy, bo ci go za karę zacznę bałamucić!

— Ależ proszę cię, proszę, moja droga! Będę bardzo rada patrzeć, jak się to będzie odbywać!

— Ej, nie wywołuj wilka z lasu, bo jeśli nie ja, to może inna...

— Na inną nie spędzajmy — wmieszał się Śniegocki żartobliwie — niech już pani sama ten dobry zamiar wykona, a ja tymczasem zacznę „robić oko” do pani profesorowej.

— Pan?

— A naturalnie! Cóż mi brakuje? — jestem przystojny, młody...

— Łysy — dodała Butrymowa.

— Och! Ugodziła mnie pani w piętę achillesową, którą wbrew wszelkim zasadom fizjologii noszę na głowie! Zresztą profesorowi już także czupryna dobrze „prześwietla”.

— Ogłasza się konkurs na młodzieńca z bujnym poszyciem! — krzyczała Bergerowa.

— Śmiejąc się, żartując, schodzili w dół ku Kuźnicom. Ponieważ droga była stroma, więc odpięte z nóg narty trzeba było nieść na plecach: Pani Zośka wkrótce oddała swoje Śniegockiemu.

— Niech pan dźwiga!

— I moje! I moje! — zawołała Bergerowa, pakując na biednego docenta trzecią parę nart.

— A gdzie równouprawnienie? — krzyczał z komicznym przerażeniem — ja dźwigać mam wszystko, a panie idą sobie swobodnie. Wszak panie obie ciągle głosicie równość płci...

— Mój panie — rzekła Butrymowa — równość płci, to znaczy, że my mamy mieć te same prawa, co wy, oraz przywileje, które miałyśmy dotychczas. Wtenczas tylko, jako słabsze fizycznie, będziemy z wami zrównane.

— Doskonale! Pysznie! — przyświadczała Bergerowa, klaszcząc z zapalem w małe, pulchne rączki.

— A no, chyba że tak — i z ciężkim westchnieniem ruszył naprzód, objuczony całą wiązką drzewa.

Butrym stał na przełęczy i patrzył ku południowi. Jak okiem zasięgnąć, faliste morze białych, skłaniającym się już słońcem pozłoconych szczytów. Ponad śnieżnym pasmem, dzielącym Dolinę Cichą⁹⁰ od Koprowej⁹¹, sterczał wysoko graniczny słupek Tatr, Krywań⁹², sędziwy i pochylony, i skrząc czołem od słońca, rzucał poza siebie dalekie, granatowe cienie, pod których osłoną w żłebach głębokich mroźna noc się już czaiła. Po straszliwej, poszarpanej grani Hrubego⁹³ słońce też jeszcze wierzchem chodziło, zamieniając ją z wolna na potworną, olbrzymią, stalową piłę, o zębach ku niebu sterczących, jakąś świetlistą posoką skrwawionych. Na dnie Doliny Cichej ścinał się już w mrozie i tężał cień coraz gęstszy, z lasów oszczędzających, ze spaszty, ze żłebów głęboko rytych, coraz obficie wyciekający.

Butrym, stojąc w słońcu, odkrył głowę i pełną piersią wciągał rzeźwe, spokojnie zimowe powietrze gór. Zagubił w tej chwili poczucie swoich lat i swojego stanowiska w świecie, który w dole za sobą zostawił. Lekko mu było i szeroko, miał w mięśniach czucie pędu, któremu każdej chwili może się poddać, mknąc z zawrotną szybkością po tym olbrzymim, białym stoku, ponad zawianymi śniegiem przepaściami jak duch, zaledwie ślad poza sobą na marznącym już śniegu pozostawiając. Cieszył się tym uczuciem i upajał, i z wyrafinowaniem odwlekał chwilę, gdy tu pod przełęczą łuk zatoczywszy ruszy w dół wiatru, rozcinanego piersią, świst koło uszu posłyszysz...

⁹⁰*Dolina Cicha* — dolina w Tatrach po stronie słowackiej, będąca granicą między Tatrami Wysokimi a Zachodnimi. [przypis edytorski]

⁹¹*Dolina Koprowa* — dolina w słowackiej części Tatr Wysokich. [przypis edytorski]

⁹²*Krywań* (2494 m n.p.m.) — szczyt w słowackich Tatrach Wysokich. [przypis edytorski]

⁹³*Hruby Wierch* (2428 m n.p.m.) — szczyt po słowackiej stronie Tatr Wysokich, znajdującej się w bocznej Grani Hrubego. [przypis edytorski]

Aż wreszcie, gdy stał tak nieruchomie, przed wieczorem przejmujące zimno przypomniło mu, że czas wracać jednak. Miał właśnie ruszyć, kiedy, raz jeszcze wokół na pożegnanie się rozglądając, dostrzegł dwie postacie w śmiałych łukach od Kasprowego Wierchu zjeżdżające. Narciarze snąc z dalszej, może wielodniowej wracali wycieczki, gdyż wory mieli ciężkie na sobie i w rękę, miast lekkich kijów, czekany na długich osadzone toporzyskach. Jadący naprzód młody, smukły chłopak dźwigał oprócz tego zwój lin, przewieszony przez ramię, towarzysz jego, silny, przypadzisty i krępy, wyglądał z dala, jak gdyby pod worem w jakiś obcisły, czerwony sweter był ubrany, dopiero gdy się nieco zbliżyli, zauważył Butrym, że jest nagi do pasa i czerwieni się własną skórą, spaloną od słońca, wiatrem i mrozem wysmaganą.

I oni dostrzegli profesora, i podjechali na przełęcz ku niemu. Butrym poznał w jadącym na przedzie niejakiego Borzyckiego, ucznia swego niegdyś z uniwersytetu. Za nim zdązał przyjaciel jego i towarzysz stały górskich wycieczek, Makuch, który — gdy tylko się zatrzymali — ze zruconego na śnieg wora wydostał koszulę i grubą wełnianą bluzę i rażno się pocałował przed mrozem odziewać. Dotychczas nie czuł go w żywym ruchu.

Profesor tymczasem witał się z Borzyckim.

— Tak pana niespodziewanie spotykam! Słyszałem, że pan w przeszłym roku wyjechał za granicę i tam już miał studia zakończyć...

Borzycki zmieszał się i skraśniał jak panienka.

— Ach, rzeczywiście, miałem takie plany, ale ostatecznie po rocznym za granicą pobycie wróciłem znów tutaj...

Butrym, zdziwiony niewytłumaczonym zmieszaniem się chłopaka, mimo woli przyjrzał mu się bystro... Makuch tymczasem, kończąc się ubierać, mruczał coś gniewnie pod nosem. Butryma doleciały, tylko oderwane, o dobrym humorze mruczącego nieświadczące słowa: zawsze baba... to głupie bydlę i inne tym podobne.

Zwrócił rozmowę na inny przedmiot.

— Jeśli to panom nie przeszkadza — rzekł — możemy razem wracać do Kuźnic.

— Ależ owszem! — odparł rażno Borzycki. — Tak się prawdziwie ucieszyłem, gdy profesora zobaczyłem i poznałem na przełęczy. Powiedziałem zaraz koledze Makuchowi, abyśmy zbroczyli... i chciałem sam zaproponować wspólny powrót.

— Tak — wtrącił Makuch — ale teraz czas wracać naprawdę. Mróz pod wieczór bierze.

Ruszyli z miejsca w dół. Teraz Makuch jechał na przedzie, profesor w środku, a Borzycki ostatni. Wiatr zaświszczał Butrymowi w uszach, przestrzeń śnieżnego stoku, dzieląca ich od dna Kotła Goryczkowego, topniała przed nim z przerażającą szybkością. Serce uderzyło mu rażnie rozkoszą życia i pędu i uczył się naraz rówieśnikiem tych dwóch studentów, z którymi mknął tak na wyścig. Makuch wiódł od przełęczy wężem, potem naraz zwrócił się na lewo popod stok Kopy Goryczkowej, jeszcze raz tuż nad Kotłem zakręcił ostrym łukiem na prawo i wpadł na błyszczący jak tarcza płaśń zlodowaciałej szreni. Narty zgrzytnęły mu po gołoledzi, nie znacząc śladu za sobą, zniosły go w poprzek kilka metrów w dół, ale utrzymał się na tęgich nogach i wpadł równym pędem na ścielący się znów dalej dobry, mialki śnieg.

Butrym mógł bez trudu, skręciwszy nieco powyżej, ominąć przeszkodę, na którą student wjechał snąc umyślnie, ale wstyd mu się tego zrobiło. Zebrał się w sobie i wzięwszy nieco narty na kant, prześliznął się przez szrenię, lżej jeszcze niż poprzednik. Makuch, który zatrzymał się w dole i patrzył, zdjął czapkę szacunkiem.

— Ależ profesor jeździ! Myślałem, że pan ominie albo — na psa urok — wysypie się! Ale teraz widzę, że profesor jest naprawdę wielki człowiek!

Powiedział te słowa z tak głębokim przekonaniem i zachwytem, że Butrym roześmiał się głośno.

— Bardzo mnie cieszy pańska pochwała — rzekł — ale pozwólcie panowie, że teraz ja pojedę naprzód i będę mniej... bohaterskie drogi wybierał.

W kuźnickiej restauracji, gdzie wstąpili na szklankę herbaty, spotkał Butrym niespodziewanie księżną Helenę. Zauważył, że Borzyckiemu zapłonęły oczy na jej widok,

Makuch zaś, zoczywszy⁹⁴ ją, splunął zgoła niegrzecznie i przypomniał sobie naraz, że ma bardzo pilny interes w Zakopanem, który mu tutaj zatrzymywać się nie pozwala. Przypiął więc narty i uczepiwszy się jakichś powracających sanek, ruszył za nimi w dół.

Księżna Helena, od dwóch czy trzech lat wdowa po starym i bogatym księciu, niegdyś dama wytwornego towarzystwa, obecnie sławna aktorka, występowała w czasie sezonu w prywatnym teatrze, który podobno dla niej wybudował, nie szczczędząc milionów, w Zakopanem Roman Turski, wielbiciel jej sprzed dawnych lat, niezmiernie w Azji zubożony. Wyglądała przepysznie mimo zbliżającej się, jeśli nie minionej już, czterdziestki. Wysoka, smukła, czarnowłosa i prawdziwie piękna, zdawała się stać poza wszelką rachubą czasu, wiecznie świeża i ponętna strząsała jeno lata jak zwiędłe kwiaty ze skroni.

Z żywą radością przywitała się z Butrymem, czemu on zdziwił się trochę, gdyż znajomość ich w ostatnich czasach znacznemu jakoś uległa oziębieniu. Borzyckiemu podała lewą rękę i Butrym zauważył, że uściśnęła mu palce, gdy ją całował.

— Czy panowie razem byli na wycieczce? — zapytała z uroczym uśmiechem, jakby ze zdziwienia szeroko oczy otwierając. — Profesor ze swym uczniem?

— Nic by nie było w tym dziwnego — odparł Butrym, ale w istocie spotkaliśmy się całkiem niespodziewanie na Goryczkowej Przełęczy.

— Czy pan wie, że pan Borzycki namawia mnie koniecznie, abym się uczyła jazdy na nartach? Próbowałam już przed rokiem czy dwoma ze znajomym moim, panem Golińskim, ale nie szło. Strasznie się boję upadku! A pańska żona podobno jeździ bardzo dobrze?

— Tak, nieźle.

— Dawno pani nie widziałem... Ach, panie Stefku...! Niech się profesor nie dziwi, że ja tak pana Borzyckiego nazywam, ale to takie chłopiątko jeszcze.

— Nie dziwię się niczemu i co najwyżej zazdroszczę — rzekł ze zdawkowym pochlebstwem.

Spojrzała nań długo, przeciągle, a potem odwróciwszy się, zamieniła z Borzyckim kilka zdań, których Butrym nie mógł dosłyszeć. Widział tylko, jak podała chłopcu rękę, którą tenże z niskim pokłonem gorąco ucałował. Potem dodała głośno:

— Będzie pan dziś u mnie wieczorem, panie Stefanie?

— Jeśli pani pozwoli...

Borzycki pożegnał się z profesorem i wyszedł. Księżna patrzyła za nim w zadumie.

Ocknęła się po chwili.

— To taki śliczny i taki czysty w duszy chłopiec...

— Tak — przyświadczył Butrym — bardzo dzielny i piękny człowiek. Zdziwiłem się, gdy go tu zobaczył, gdyż miał studia kończyć za granicą...

— Powrócił... dla mnie — rzekła, nie patrząc na profesora.

— Jak to? — Zapytał Butrym zgoła dziecinnie, wyznaniem tym zaskoczony.

— Kocha się we mnie — szepnęła. — Ach, Boże! To takie beznadziejne... Lubię go bardzo, ale przecież nie mogę... Dzieciak taki.

Butrym nie wiedział, co odpowiedzieć. Na ustach miał prośbę: Niech mu pani da spokój... ale to przecież byłoby bezcelowe. Serce ścisnęło mu się przykrym uczuciem, przypomniał sobie długą litanię ludzi zmarnowanych dzięki tej kobiecie... Nawet Turski, który pozornie ocalał, na nowo coraz więcej w moc jej popada.

Ona tymczasem rzuciła z nagłą:

— Czy pan wie, że wychodzę za męża?

— Znowu? — Wyrwało mu się mimo woli, gdyż sobie przypomniał niedawne jej rzeczeństwo z jakimś panem Rohitynem⁹⁵, który dotąd chodzi za nią jak cień i wszystkim nieproszony o swojej wielkiej miłości do niej opowiada.

Ruszyła ramionami z lekkim zniecierpliwieniem.

Ach, tamto było głupstwo. Zresztą to tak dawne dzieje... Wówczas pan mnie właśnie przekonywał, że nie powinnam tego robić, i posłuchałam pana na swe szczęście.

⁹⁴*zoczywszy* — dziś raczej: *zobaczywszy*. [przypis edytorski]

⁹⁵*Rohityn* — w oryginale: *Rokityn*. Postać pojawiła się w pierwszej części dylogii, *Powrocie* i występowała wówczas pod nazwiskiem *Rohityn*, stąd ujednolicenie do tej formy w drugiej części. [przypis edytorski]

Butrym pamiętał, że było wprost przeciwnie, mianowicie bronił nawet ograniczonego, ale dość pocziwego Rohityna, którego wszyscy obmawiali i radził jej, aby wyszła za niego rzeczywiście, nie sprostował tego jednak, co mówiła.

Ona tymczasem ciągnęła dalej:

— Teraz, to zupełnie co innego... Żeni się ze mną... Turski. Drgnął, posłyszawszy to nazwisko.

— Turski? A cóż...

Urwał szczęśliwie. Chciał odruchowo zapytać, co będzie z aktorem Płażyńskim, o którym wiedział jako o ostatnim jej niemal oficjalnym przyjacielu... Zamiast tego, skłonił się tylko grzecznie.

— Winszuję.

Przypomniał sobie teraz, że wspominał mu pewnej nocy doktor Krasołucki o zamierzonym małżeństwie Turskiego, zapomniawszy jeno dodać, z kim się żeni, ale on przecież tego powinien się być domyśleć!... Po raz drugi tego wieczora serce ścisnęło mu się dziwnie przykrym uczuciem, choć usiłował w myśli przekonać siebie samego, że to ostatecznie jest przewidziane i może najlepsze rozwiązanie...

Księżna mówiła:

— Dziękuję panu. Widocznie przeznaczone to nam już było, abyśmy się w końcu połączyli. — Roman kochał mnie już przed kilku laty (kilkunastu — poprawił Butrym w myśli), ale ja wtenczas byłam zamężna i zmusiłam go, aby wyjechał...

Butrym wiedział, że było inaczej, bo Turski wówczas uciekł sam.

— I widzi pan — mówiła znów — przed losem swoim człowiek nie uciecze! Jesteśmy znów razem i zawsze będziemy...

— Tym razem teatr państwa połączył — rzekł, aby cośkolwiek powiedzieć.

Ruszyła ramionami.

— Ten teatr... To nie był szczęśliwy pomysł Romana, budować tu gmach taki kosztowny. Oddajemy go w dzierżawę byłemu dyrektorowi z Krakowa, Malinowskiemu. Pan go zna!

— Więc pani już występować nie będzie!

— Nie znajduję tutaj dość szerokiego pola dla rozwinięcia swej artystycznej indywidualności. Zaraz po ślubie wyjedziemy za granicę. Może tam...

Bergerowa leżała na wznak na otomanie w pensjonatowym pokoju pani Zośki i paliła papierosa. Wpatrzona w błękitny dymek plotła swoim zwyczajem bardzo swobodnie. Butrymowa mało jej odpowiadała. Wprawdzie w zasadzie była zawsze gotowa bronić prawa kobiet do rozmów, co najmniej również zuchwałych jak ta, które mężczyźni między sobą prowadzą, ale w rzeczywistości nie lubiła ich i nie wiedziała po prostu, jak się ma zachować.

Bergerowa nie zdawała się tego spostrzegać. Opowiedziawszy jej o różnych niedogodnościach stanu wdowiego i środkach, jakie na nie wynajduje, zaczęła roztrząsać nader szczegółowo i ze zdumiewającą znajomością rzeczy przypuszczalne zalety i wady znajomych mężczyzn między osiemnastym a pięćdziesiątym rokiem życia. Naraz zapytała zupełnie niespodziewanie:

— Zośka, czy tobie naprawdę wcale by o to nie chodziło, gdyby cię mąż zdradzał?

Butrymowa zrobiła nieokreślony grymas.

— Mój Boże, nie zastanawiałam się nigdy nad tym tak dalece...

— „Tak dalece” jest doskonale! Ale przecież możesz sobie wyobrazić, jak byś się w danym wypadku zachowała?

Zatrzęsła się naraz.

— Brzydziłabym się nim! — odparła szczerze.

— Aż tak! To za wiele... Pomyśl na przykład, że miałby romans ze mną. Ja przecież — mogę ci zaręczyć — jestem czyściutka, pachnąca i miła i nie byłoby zgoła powodu do obrzydzenia.

— To co innego. Myślałam o takim... poniewieraniu się z ulicznicami... Wiem, że tego nie robi. Na to jest zbyt wybredny. A co do tak zwanych romansów... mój Boże! Czyż ja mogę powiedzieć na pewno, że on ich nie miał albo nie ma? Cóż mnie to obchodzi.

Wdowa

Mówiąc to, usiłowała zrobić minę jak najbardziej obojętną i lekceważącą.

Bergerowa zaśmiała się złośliwie.

— Wcale, wcale cię nie obchodzi?

Pani Zośka brawurowała dalej:

— Naturalnie. Myślę nawet czasem, żeby mu to bardzo dobrze zrobiło, gdyby się trochę zakochał. Odmłodziłby zaraz...

— Aha. Rozumiem. A ponieważ mężowie niewierni są zwykle przez poczucie winy dla żon swych najtkliwsi, więc na tym odmłodzeniu ty byś zyskała.

— Jak to? — spytała pani Zośka wcale naiwnie i w tej chwili dopiero, zrozumiała sens słów Bergerowej, poczerwieniała nagle po same białka oczu.

— Ach, jesteś obrzydliwa! Nigdy o czymś podobnym nie myślałam. W ogóle tak gardzę tą stroną życia...

— Naprawdę? Bardzo, bardzo gardzisz? Bo co do mnie, to przyznam ci się, że nie mogę tego powiedzieć.

— Widocznie masz inne usposobienie — odparła pani Zośka sucho.

— Usposobienia są wszystkie pod tym względem jednakowe. Tylko, czasem... Chodź no tu bliżej i nie udawaj panienki. Otóż widzisz, niekiedy dość czasu upłynie, zanim się spotka mężczyznę, który...

Pani Zośka wstała z otomany, na którą ją Bergerowa przemocą posadziła.

— Dajmy pokój tej rozmowie. Może ci się to wyda śmieszne, ale doprawdy tak mnie ten temat strasznie, nie bawi... O czym tu mówić ostatecznie? Jeśli chcesz, możesz męża mego bałamucić, nie mam nic przeciw temu.

Zaczęła się krzątać po pokoju, choć właściwie nic w nim nie miała do roboty. Bergerowa wodziła za nią w milczeniu wzrokiem ciekawym i trochę szyderczym.

Gdy w jakiś czas Butrym wrócił do domu, zastał już żonę samą. Siedziała przy stole i pisała jakiś list.

— Do kogo piszesz? — spytał obojętnie, poglądając jej mimo woli przez ramię.

— Nic ważnego — rzekła, marszcząc brwi przelotnie i schowała pismo do rozłożonej teki.

Usiadł na otomanie, gdzie przed godziną siedziała piękna wdówka i przeciągnął się, aż mu kości w stawach zatrzeszczały.

— Aa! Byłem na Goryczkowej, zmęczony jestem trochę. Tak się podłe odzwyczaiłem od żywszego ruchu... Wyjdziemy prawdopodobnie gdzieś wieczorem? Trzeba się przebrać, a tak mi się nie chce!

— Możemy zostać dziś w domu.

— Jak wolisz.

Zawinął ręce z tyłu głowy i rzucił się plecami na oparcie kanapy.

— Wiesz, spotkałem w Kuźnicach księżną Hazarapelianową.

— Tak? — rzekła bez zainteresowania, chodząc po pokoju.

Zaczął jej opowiadać o swojej z nią rozmowie, a potem rzucił jako wielką nowinę:

— I pomyśl! Wychodzi za mąż za Turskiego!

— Wiem o tym od dawna.

— Skąd?

— Mówił mi Turski sam, pierwszego dnia, gdyśmy się spotkali w Monte Carlo.

— I nic mi o tym nie powiedziałaś!

— Czyż to takie interesujące? Nie przywiązywałam wagi do tego.

— Przecież to jest interesujące po prostu nadzwyczajnie! Człowiek, który przez dzieś lat błąkał się po Azji, aby zapomnieć o tej kobiecie, wrócił w przekonaniu, że jest wyleczony zupełnie i powoli, powoli wsiąkł w towarzystwo jej byłych... wielbicieli, swoich następców, których ona wciąż wodzi za sobą, aż teraz ma ją nazwać swoją żoną!

— To tylko dowód, jak ona umie sobie z ludźmi postępować.

— Albo jak ludzie są głupi — dodał Butrym i zamyślił się.

Po pewnym czasie podeszła ku niemu i usiadła blisko.

— Mietek, słuchaj, czy mnie ty często zdradzasz?

— Ach, dziecko! — zaśmiał się żartobliwie — gdy mi czasem tak bardzo dokuczasz, to chciałbym ci na złość to zrobić, ale właściwie to mi się tak piekielnie nie chce!

— Jak to ci się nie chce?

— Ano widzisz — żartował dalej — trzeba by zachodów, starań, potem się trzeba ukrywać, tyle kłopotów!

— Tak, a ty się już starzejesz i jesteś wygodny — rzekła z przekąsem.

Podniósł się i ujął jej rękę.

— Słuchaj, teraz mówię poważnie. Nie zdradzam cię i nawet nie szukam w tym żadnej zasługi. Nie potrafiłbym tego robić, bynajmniej nie dla jakichś zasad, ale po prostu dlatego, że krew moja wszystka zanadto jest pełna ciebie.

Milczała, zapatrzona w jakiś punkt przed sobą.

On tymczasem zaczął miękko gładzić jej włosy.

— Jeśli cię z kim zdradzam, to tylko z tobą samą. Jesteś mi nie tylko żoną, ale i kochanką. I dlatego...

Urwał i cofnął rękę z jej głowy.

— Mietek, co ci?

— Przypomniało mi się... Tak niepotrzebnie mówiłaś mi... to w Wenecji...

— Co?

— O tym Hiszpanie. Ach! Powraca mi to wciąż na myśl, ilekroć...

— Nie bądź śmieszny! To takie głupstwo. Powiedziałam, bo może tylko chciałam ci dokuczyć.

— Ja też staram się nie myśleć. Ale przypomina się ciągle i tak obrzydliwie boli. To mi ciebie po prostu brudzi.

Wstała z niechęcią.

— Jesteś śmiesznie romantyczny. Całe szczęście, że biorę to wszystko za mimowolną komedię z twej strony, gdyż inaczej musiałabym przypuścić, że dla ciebie wciąż jeszcze ideałem jest Wirginia, która ginie raczej z tonącym okrętem, aby się tylko dla ratunku nie obnażyć wobec marynarzy!

— Nie, nie, to zupełnie co innego! Tu nie o czyn idzie, nie o fakt, którego nawet nie było, ale po prostu o uczucie, choćby najbardziej przelotne.

— Uczucia są mimowolne i człowiek nad nimi nie panuje.

— Właśnie, i dlatego też one są miarą wartości człowieka.

— Ano, trudno. Widocznie więc ja, wobec tego, że jakiś tam Hiszpan na moment wywarł na mnie wrażenie, jestem istotą upadłą i zgubioną, samymi zdrożnymi wyposażoną instynktami. *Voilà!*

— I jeszcze nie o to idzie. Ale widzisz, gdybyś nie dawała przyzwolenia temu przelotnemu i mimowolnemu uczuciu, tobyś się go wstydziła przed samą sobą i mnie byś nie opowiadała — w taki właśnie sposób!

— A tak, kłamać, kłamać i kłamać! To jest twój męski ideał kobiety! Och, Boże! Jakież ty głupi! I ty się jeszcze śmiesz oburzać na taką księżną Helenę! Przecież to właśnie kobieta wedle twego serca!

— Nie rozumiesz mnie, jak zawsze.

— Widocznie nie dorosłam do twojej mądrości i... moralności.

— Nie chcesz mnie raczej rozumieć. Przecież pomyśl: Gdyby cię kto napadł i gwałt ci zadał, najgorszy jaki można, jeśli się to tylko stało bez twej winy i wewnętrznego przyzwolenia, nic by ci nie można było zarzucić. Natomiast...

— Dobrze, dobrze, już wiem, tylko skończ już na miłosierdzie boskie, bo to tak strasznie nudne! Dręczysz mnie i siebie nie wiadomo za co, dlaczego i po co?

— Ha, może.

Zamilkła na jakąś chwilę. Pani Zośka chodziła znów po pokoju dużymi krokami. Wreszcie po pewnym czasie zbliżyła się do siedzącego wciąż męża i podsunęła mu dłoń ku ustom.

— Pocałuj i przeproś. Nie wart jesteś doprawdy, abym była dobra dla ciebie.

W milczeniu dłoń jej całował.

— A widzisz, tak mi dokuczasz, i to jeszcze teraz, gdy mam takie straszne zmartwienie.

Spojrzał na nią badawczo.

— Co się stało? Czy miałabyś od ciotki list z domu? Może Jacuś chory?

— Nie... Ech, nie ma o czym mówić, głupstwo. Jak będzie trzeba, to ci powiem.

— Powiedz teraz — rzekł zaniepokojony.

Zaśmiała się.

— Ależ mówię ci, że nic takiego... Tak mi się tylko zdawało...
Przysiadła ku niemu i oparłszy głowę na jego ramieniu, wbrew dopiero co wypowiedzianym słowom, szepnęła cicho:
— Pożaluj...
Objął ją i przygarnął do piersi:
— Posiedź trochę tak cichutko. A może chcesz, żeby ci znowu jaką bajeczkę opowiedzieć? Tak, jak w Wenecji?
— Nie. Nie chcę.
Mówił z ustami przy jej skroni:
— Mimo wszystko taki mi jasny w pamięci ten dzień wenecki pozostał. Pieszczę się nim we wspomnieniu jak kwiatem. Tak mi dobrze tam z tobą było. A ty, Zosik? Powiedz, a ty?
Zachnęła się naraz od niego.
— Nie, nie! Ja nie chcę o tym dniu myśleć!
— Dlaczego? Dlaczego?
— Widzisz, to jest właśnie to moje zmartwienie. Tak się boję...
Urwała i odeszła ku stolikowi.
On powstał i spojrzął na nią z jakąś budzącą się, jeszcze niewyraźną, radosną nadzieją.
— Zośka?
— Jesliby tak było naprawdę, to oknem na bruk wyskoczę.
Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła cicho płakać.

IX

Turski pisał z Monachium do Butryma:

„Kochany panie Mieczysławie, żyję tu od paru tygodni prawie samotnie, a taką gwałtowną odczuwam potrzebę mówienia do kogoś o tym wszystkim, co myślę... Siedzę w ogromnej kawiarni, stoi przede mną flaszką wina reńskiego, naokoło pełno ludzi, światła, krzyku... Może to zresztą przemijająca słabość, ale czuję się strasznie samotnym w tej chwili. Nie wiem dlaczego, Pan mi właśnie na myśl przychodzi i z Panem chciałbym rozmawiać.

Z Panem jednym. Może to dlatego, że spośród wszystkich ludzi, jakich po powrocie z mojej dalekiej długiej wędrówki w kraju spotkałem, u Pana tylko zdołałem spostrzec to coś, co się szczerością nazywa, i dla mnie jest tak bardzo cenne. Nie wiem nawet, czy dobrze określiłem to, co mam na myśli. Ale Pan mnie zrozumie. Pan myśli uczciwie i uczciwie czuje. Rozmawiając z Panem, choćby o rzeczach najubożniejszych, mam zawsze to wrażenie, że stoję nad głęboką i czystą wodą, przez którą widać dno odległe zawsze, czasem przelotną falą na powierzchni chwilowo zaćmione, ale zawsze pewne, niewzruszone, niekryjące już nic poza sobą, żadnego podstęp, żadnej zdrady, żadnej rzeczy, którą trzeba ukrywać.

Poza tym w stosunku z nikim tego uczucia nie miałem i oto dlaczego pragnę dziś właśnie mówić do Pana.

Czy mam co do powiedzenia? Właściwie nic. Słyszał Pan już zapewne od żony, że w najbliższym czasie — zaraz po powrocie — wstępuję w związku małżeńskie. Takie to dla mnie dziwne i niespodziewane, choć przecie właściwie — jak teraz jasno widzę — całe życie moje ku temu ostatecznemu zdążyło celowi.

Pan jest astronomem, szkoda, że nie astrologiem, może by Pan wyczytał mój los w gwiazdach...

Dziwnie, dziwnie się wszystko w życiu układa. Zna Pan całą moją historię, powiedzmy raczej: naszą historię, nie będę więc, z niczego robił zbyt licznych tajemnic. Uciekłem przed tą kobietą przed kilkunastu laty, gdy widziałem, że nie mogę jej osiąść na wyłączną własność, uciekłem, choć powiedzieć tego nawet nie umiem, jak mi to przyszło ciężko. I nie wróciłem, aż po dziesięciu latach, kiedy byłem pewien, że nie żyje już we mnie nic z tego, co było. Czy ta pewność moja nie była przedwczesna — bo ja

wiem? — Bo ja wiem! Zastałem ją w innych warunkach, inną, zmieniło się wszystko, zdawało mi się, że to, co było, jest już tak przekreślone, wymazane i zapomniane.

A przecież nie można uniknąć swojego losu.

Nie mogłem być pierwszym, nie mogłem być jedynym, niechajże będę tym ostatnim, w którego oczach złote słońce w najcudniejszej krasie zachodzi. Nakłania się już dzień żywota: podobno o tej godzinie przychodzi ostateczna, siódma szczęśliwość...

Dlaczego ja o tym wszystkim piszę? Bo dziwny, niewytłumaczony niepokój mną owłada. Czy Pan miał kiedy w życiu to wrażenie? Wdzierałem się raz na niedostępny, nogą żadnego Europejczyka nie tknięty jeszcze szczyt na granicy Tybetu. Marzyłem o nim przez cały rok, poświęciłem wiele trudu i kosztów i starań. I nareszcie pewnego pięknego wieczora stałem u jego stóp. Błyszczał przede mną w niesłychanej krasie, cały z lodu i ze słonecznego złota. Nazajutrz z kilku dobranymi i wypróbowanymi od dawna góralami miałem rozpocząć z nim walkę. Serce drżało mi dziwną, niecierpliwą radością.

I wie Pan, w tej właśnie chwili uczułem coś, co ogromnie trudno słowami określić! Nie wierzyłem swojej dobrej gwieździe. Zdało mi się naraz, że musi zająć coś takiego, co mi nie pozwoli spełnić gorącego od lat życzenia. Cokolwiek bądź. Może to być zarówno zwichnięcie nogi, jak jakieś potworne trzęsienie ziemi, które dumny szczyt wniwecz obróci... A przecież byłem tak bliski, tak bliski celu!"

Butrym odłożył list.

— Głupstwa pisze — mruknął przesądnie, myśląc o sobie.

Ale te „głupstwa” nie schodziły mu z myśli. Przecież i on w tej chwili znalazł się niespodziewanie blisko celu, o którym od jakiegoś czasu marzył... Obawy żony, a jego nadzieje, były już prawie pewnością... Czemuż ten Turski — nieproszony — pisze mu ten list i uświadamia mu skryty, zimny lęk, który w nim nurtuje? Mogłoby się naprawdę stać jeszcze coś takiego, co by cały plan jego, przypadkiem tak cudnie się spełniający, wniwecz zdołało obrócić?

„Zwichnięcie nogi albo zawalenie się góry — wszystko jedno!”

Tak, powód jest zupełnie obojętny i w skutkach równoznaczny. Czy pożar domu został wywołany uderzeniem piorunu, czy nieostrożnym rzuceniem zaledwie tlejącej się⁹⁶ zapalki, jednakowo pozostają zgłiszczą i nad nimi z załamanymi rękoma ludzie, którzy wczoraj jeszcze mieli dom i ciszę, i spokój, i szczęście...

Wstrząsnął się.

— *Ad me non pertinet!*⁹⁷ — wypowiedział głośno stare, rzymskie zaklęcie.

Podniósł znowu list ku oczom.

„Na szczycie byłem trzeciego dnia...”

— A jednak! — Odetchnął z ulgą, jakby to i o jego losie miało wyrokować.

„...ale okazało się z następnych pomiarów i obliczeń, że to nie jest ten szczyt, o który mi właśnie chodziło. Przewodnicy mnie zbałamucili, czy ja sam na fałszywą wszedłem drogę? Obiecywałem sobie błąd powetować i nie powetowałem go nigdy. Zawsze jakieś drobnostki, nieprzewyciężone stały na przeszkodzie.

I teraz w dużej, jasnej kawiarni, przy butelce reńskiego wina przypomina mi się to wszystko.

Mam wrażenie...

Nie, nie! Nie chcę mówić! Zbyt długo żyłem wśród ludzi Wschodu, pełnych przesądów i zabobonu, aby się teraz odważyć na wyraźne napisanie swych obaw.

⁹⁶tlejącej się — dziś raczej: tlącej się. [przypis edytorski]

⁹⁷*Ad me non pertinet!* (łac.) — Nie obchodzi mnie to! [przypis edytorski]

Niechajże wszystko będzie, jak być ma i musi. Zdaje mi się, że i ta kobieta przekonała się, że jedynym ramieniem, na którym trwale oprzeć się może, jest moje, zbyt dużo niegdyś — może mimo woli — wobec niej przewiniłem, abym mógł pozwolić drżeć temu ramieniu, gdy ona po nie rękę wyciąga.

Po długich latach, gdzie liczyłem tylko na własne siły i zupełnie sobie wystarczałem (musiałem zresztą!), tak bym chciał teraz mieć kogoś bliskiego sobie, bardzo bliskiego... Prosiłbym Pana o przyjaźń, gdybym wierzył, że o taką rzecz w ogóle można prosić. Zresztą drogi nasze rozejdą się prawdopodobnie wkrótce i na długo. Zaraz po ślubie wyjedziemy oboje i z synem — może do Paryża? Do Londynu, czy do Ameryki? — nie wiem jeszcze, ale w każdym razie daleko stąd, aby w innym środowisku i wśród innych ludzi nowe rozpocząć życie. Ja chcę tego i chce tego księżna, choć może z innych względów. Rzeczywiście objawił się w niej nieprzeczuwany tak długo a ogromny talent artystki, dobrze będzie, jeśli znajdzie szerokie pole dla swych zdolności.

Powtarzam to za nią, bo co do mnie — kto wie, czy nie wybrałbym raczej życia tak cichego i spokojnego, jak Pańskie... Jasno mi się zawsze w duszy robi, kiedy myślę o Panu i Pańskiej żonie. Dnie czy wieczory, które spędziłem u Was, a zwłaszcza te, gdyśmy bez liczniejszego towarzystwa, we trójkę albo jeszcze z czwartym Śniegockim w jadalnym pokoju lub w Pana gabinecie siedzieli, błyszczą mi w pamięci, jakby dnie cudownej pogody na morzu, uśmiechem pani Zośki jak słońcem rozświetlonym.

Niech Pan ode mnie Pani ręce gorąco, gorąco ucałuje i powie jej, że część mam dla niej wielką i głęboką za to, że jest tak bardzo kobietą w całym a najlepszym tego słowa znaczeniu: że jest żoną i matką.

Czy pan pamięta? Raz w jakiejś, snąc bardzo złej chwili, powiedział Pan do mnie, że kobieta może być tylko naszą nałożnicą albo matką naszych dzieci. Wstydzi się Pan tego? Powinien się Pan wstydzić, właśnie Pan! Mnie się wówczas zdawało (różne przykre były okoliczności!), że Pan ma słuszność. Ale to mnie się tak mogło wydawać, Panu nigdy! Niech Pan w tej chwili idzie i uklęknie przed swoją żoną i nie mówiąc nawet za co, bardzo gorąco ją przeprosi.

I niech się Pan na mnie nie gniewa, że to wszystko piszę. Tak dawno, dawno nie byłem z nikim szczerym i otwartym...

Chciałem do tego listu dołączyć sznur pereł, w tym celu nawet przy innych sprawunkach u tutejszego handlarza wyszukany, z pokorną prośbą, aby go Pan raczył złożyć ode mnie u stóp swojej żony i powiedzieć jej, że jest dla mnie tak czysta i jasna jak te łzy morza... Ale jak Pan widzi, tchórzę w ostatniej chwili i pereł nie posyłam. Boję się, by Pana nie urazić... W Azji to jest zwyczajem, tutaj w Europie już pono nie. A ja stoję na rozdrożu...

Napisałem przypadkowo zdanie, które mnie teraz zastanawia. Czyżbym rzeczywiście stał na rozdrożu? Nie, nie! Droga przede mną jasna i wytknięta..."

Odłożył znowu list. Nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego napełniają go jego słowa głębokim i nieprzewidywanym smutkiem... To czuł, że Turski pisze właściwie nie do niego, lecz po to, aby myśli swe krążące i niespokojne ku jakiemuś określönemu zwrócić punktowi. Widział duszę jego, drżącą jak drzewo w zrywającym się wietrze, o którym nie wiadomo jeszcze, czy jest zapowiedzią burzy, czy tylko przelotnym podmuchem przed długą ciszą wieczorną.

— Może ja jestem naprawdę do tej wody podobny, o której Turski pisze — uśmiechnął się — i cień teraz na mnie pada od chmur, przebiegających na jego niebie?

Targnęła nim nagle i niespodziewana myśl, gdzie może być w tej chwili jego żona? Wiedział, że wyszła z domu przed godziną, nie powiedziawszy mu swoim zwyczajem, dokąd wychodzi i że nie wróciła jeszcze. Nigdy się nie troszczył jej nieobecnością, zostawiając jej naturalną w tym względzie swobodę, zdziwił się tedy sam niepokojem, który go dzisiaj naraz ogarnął na myśl, że żony jego nie ma w domu. Uczuł, że w tej chwili właśnie

powinien by być przy niej, choć nie umiał sobie określić dlaczego. Odruchowo chciał powstać i wyjść za nią na miasto, ale przyszło mu zaraz na myśl, że byłoby to próżne, gdyż nie wie po prostu, gdzie by ją mógł znaleźć.

Wsparł skronie na dłoniach i zadumał się.

W oknie mieszkania Bergerowej, wychodzącym na planty pokryte brudnym, topniejącym śniegiem, siedziała pani Zośka, tak jak była przyszła, w kołpaku na jasnych włosach i w szerokim futrze na ramionach. Założyła nogę na nogę, wsparła łokieć na kolanie i na dłoni brodę. Patrzyła przed siebie tępym, bezradnym wzrokiem spod brwi ściągniętych i nachmurzonych.

Wdówka chodziła po pokoju z rękami w tył założonymi.

— Rozbierze się przynajmniej — rzekła po chwili.

— Ach, głupstwo! — mruknęła Butrymowa i rzuciła futro, nie patrząc, gdzieś poza siebie na otomanę. Potem naraz przycisnęła obie pięści do ust i zaczęła powtarzać:

— To straszne! To straszne! Ja po prostu oszaleję!

Bergerowa nieznacznie wzruszyła ramionami.

— Właściwie nie wiem, o co ci chodzi tak dalece. Nie jesteś przecie panną, która się w takich razach musi ukrywać. Zresztą w dzisiejszych czasach i panny nie biorą tego zbyt tragicznie. Mogłabym ci zaraz przytoczyć przykład, jeśli mi tylko przyrzeczesz, że będziesz dyskretna...

— Ach, daj mi pokój z twymi przykładami!

Więc czegoś ty nareszcie chcesz?

— Rady, rady jakiej chcę od ciebie, pomocy ratunku, bo mi się już obłąd...

Urwała nagle i powstała.

— Właściwie nie chcę niczego. Przepraszam cię.

Zaczęła zbierać porozrzucane swe rzeczy, gotowa już do odejścia.

Bergerowi poskoczyła ku niej i objęła ją obiema rękami w pól.

— Zośka, Zośka! Zastanówże się, co ty robisz!

— Co?

Rzuciła to chłodno, trochę nieprzytomnie, patrząc z natężeniem na przyjaciółkę, której zresztą nie widziała, myślą swoją zajęta.

— Dokąd idziesz? Po co? Siadajże jeszcze. Przecież w takim usposobieniu ja cię na ulicę nie puszcę. Pogadamy. Może się co wymyśli, a może się ty uspokoisz i z tym ostatecznie bardzo zwykłym losem się pogodzisz...

Butrymowa potrząsnęła głową w milczeniu i usiadła.

— Przed wszystkim... czy jesteś pewna?

— Prawie że tak.

Naraz wdowa uderzyła się w głowę.

— Słuchaj no, przyznaj się, a może to... może to... mąż twój nie miał w tym udziału i dlatego...? Byłaś niedawno sama za granicą... Wiesz, że ja umiem dochować tajemnicy.

— Śmieszna jesteś.

— Więc powiedzże mi tak spokojnie, o co ci chodzi?

— Nie chcę! Nie chcę! I koniec! Nie chcę, słyszałaś!?

— Słyszę, ale...

— No. To powinno wystarczyć..

— Dobrze, ale dlaczego nie chcesz?

— Bo nie chcę. Nie chcę się czuć przez całe miesiące zwierzęciem, a po urodzeniu dziecka, o którym nie wiem nawet, jakie by było, być mamką, piastunką, służącą... Nie chcę! Dość tego miałam raz.

— Zdarza się to kobietom i po dziesięć razy.

— Niech się zdarza komu chce, ale nie mnie. Ja jestem człowiekiem i mam swoje ludzkie prawa. Jak może... jak się może coś dziać bez mojej woli!

Bergerowa uśmiechnęła się dyskretnie.

— Troszeczkę twojej woli jednak musiało w tym być...

Pani Zośka nie odpowiedziała. Przytknęła tylko chusteczkę do ust i do uszu. Bergerowa spostrzegła, że płacze. Przysiadła obok niej na dywanie i objęła ją rękami.

— Zochna, przecie się nie denerwuj niepotrzebnie! Trzeba jeszcze przeczekać, dotąd nic pewnego, a potem... potem może jaka rada się znajdzie. Ostatecznie w tym stanie nerwów, w jakim się znajdujesz, każdy lekarz przyzna ci słuszność!

— Tak, tak, ty dobra jesteś, Wandziu. Nie gniewaj się na mnie, ale ja już doprawdy nie wiem... Ty mi dopomożesz, prawda? Masz tu znajomości...

— Czy nie lepiej by było, aby sam mąż twój pomówił z kolegami z uniwersytetu?

— Och, on! On tego nie zrobi nigdy, nigdy!

Zaczęła płakać na głos i zanosić się aż od łez.

— To źle — mówiła Bergerowa. — Bez jego woli i zgody nic się stać nie może.

— Jak to? Nawet gdybym umrzeć miała? Gdyby to życiu mojemu groziło?

— Ha, w takim razie... Ale, o ile wiem, jesteś zupełnie zdrowa i w stanie twoim nie ma dla ciebie żadnego niebezpieczeństwa,

— Owszem, jest! Jest niebezpieczeństwo, bo ja się zabiję!

— Dajże pokój. Z powodu takiego głupstwa!?

— Dla ciebie to jest głupstwo, dla mnie nie.

Bergerowa nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

— Moja droga, w danym wypadku to byłoby raczej przeciwnie, bo ja przecieź nie mam żyjącego męża.

— Nie żartuj, bo mnie to nie w głowie w tej chwili.

— Owszem, najlepiej jest żartować, aby rzeczy nie brać zbyt tragicznie! I pomyśl! Namawiałaś mnie na romans ze swoim mężem! Ładna by była historia, gdyby to tak mnie było spotkało!

Butrymowa roześmiała się mimo woli.

— Wierz mi, że bym wołała.

— Ale ja nie. Dziękuję. Wolę zachować cnotę świętego stanu wdowiego — przynajmniej co do skutków.

— Ale mnie radź!

— Zrobię, co będę mogła. Musi się najpierw zebrać lekarskie konsylium, w tym całą rzecz, aby uznali, że stan twój jest niebezpieczny.

— Muszą uznać, gdy ja im powiem...

— Ech, to tam głupstwo, co ty im powiesz!

Pani Zośka zerwała się gwałtownie. Oczy jej płonęły, zaciśnięte szczęki zadrgały nerwowo.

— Jak mnie kto może zmuszać, gdy ja nie chcę! Jakim prawem? Jaką ustawą? Czyż ja nie mam swobody rozporządzać sobą i tym, co ode mnie zależy? Ja! Ja jedna tylko i nikt inny za mnie! Nikt na świecie!

— Dobrze, ale uspokój się, mówię ci, bo się jeszcze rozchorujesz. Prawa i ustawy są inne i nie bardzo o nas dbają.

— Tak, prawa i ustawy pisali mężczyźni.

— Przyznam ci się, że mimo wszystko wolę to. Bo choć sama jestem przypadkowo kobietą, ale bałabym się babskich praw.

— Kpisz ciągle, jakby mnie na złość...

— Więc będę mówić poważnie. Ale czyś się ty nad tym zastanowiła, co twój mąż powie? Zwłaszcza, gdy on jest przeciwnego zdania.

— Czy ja wiem? — wyruszyła ramionami. — Zresztą cóż jemu do tego? To przecieź wyłącznie moja sprawa.

— Nie bardzo i uprzedzam cię, że musisz się z nim bezwarunkowo naprzód porozumieć. Bez tego nie ma nawet o czym myśleć.

Pani Zośka objęła skronie rękoma.

— Och, Boże! Po co ja na tym świecie żyję? Żebym już raz zdechła, toby było najlepiej.

— Cóż ty wygadujesz? Przecie masz syna!

— Ach, syn... Starszy już jest i obszedłby się beze mnie. Zapomniałby wkrótce... A teraz znowu te przejścia, te rozmowy, te tłumaczenia!

— Myślisz, że profesor może się uprzeć i niezgodzić?

— Musi się zgodzić, ale co mnie to będzie kosztowało! A potem znowu ta cała historia. — Och! Jakież to obrzydliwe! Świństwo, świństwo!

— Więc namyśl się. Może lepiej dać pokój i zostawić wszystko tak jak jest?

— Nie mogę. Po prostu nie czuję się na siłach. To nie frazes, co mówię, ale doprawdy boję się obłędu. Zaledwie w ostatnich tygodniach trochę się uspokoiłam i przyszłam do równowagi, i znowu... Nie wiem co ja Panu Bogu winna jestem, że się tak zawziął na mnie.

— Nie bluźnij! Masz życie szczęśliwe, którego ci tysiąc kobiet może pozazdrościć.

— A! Żeby pies miał takie szczęście!

Bergerowa zaczęła się głośno śmiać.

— Moja ty, nie gniewaj się na mnie, że się śmieję, ale doprawdy nie mogę już wytrzymać. Żeby cię tak kto zobaczył i posłyszał! Moja Zochno, jesteś taka okropnie zabawna, że ludzkie wyobrażenie przechodzi!

— Więc nie chcesz mi dopomóc?

— Ale owszem, owszem, tylko pozwól niech się na — śmieję... Jak to powiedziałaś? „Żeby pies miał takie szczęście!”

Butrymowa ruszyła ramionami i bez pożegnania wyszła od przyjaciółki.

Szła przez planty wolno z pochyloną głową w bezradnym, tępym zamyśleniu. Wszystko to, co się z nią działo, przedstawiało jej się w wypotworniałych, nielitościwych kształtach. Głucha rozpacz w niej wybierała, a razem z nią żal niezgłębiony do męża, do ludzkich praw i urzędów, do przyrody całej, do losu wreszcie, choć niewątpliwie z trudnością by jej przyszło określić stopień ich przewiny. Czuła się tylko strasznie, strasznie nieszczęśliwą. Chwilami wrzał w niej bunt tym straszniejszy, że zupełnie bezsilny.

— Nie chcę, nie chcę! — powtarzała w sobie z zawziętym, ślepym i coraz twardszym uporem, zapominając już prawie, dlaczego nie chce właściwie. Nie opuszczała jej tylko świadomość, że zrobi raczej wszystko, co będzie w jej mocy, że waży się raczej na rzeczy jakiegoś całkiem nieprawdopodobne, niżby miała dopuścić, aby się działo coś, przeciw czemu oto cała wola jej się opiera.

— Nie dam się skrzywdzić — szeptała przez zaciśnięte zęby — jestem człowiekiem i mam prawo rozporządzać sobą, mam prawo, mam, mam!

Do żadnego dalszego rozumowania umysł jej w tej chwili nie był zdolny. Poglądała przed siebie z nienawiścią, jak gdyby wszyscy mijający ją ludzie byli jej osobistymi wrogami, czyhającymi tylko na to, aby jej jakąś straszną krzywdę wyrządzić. Miała uczucie, że jest osaczonym zwierzęciem, które musi się bronić, bronić wszelkimi siłami.

Ktoś jej się uklonił i przywitał ją głośno.

Wzniosła głowę, przywołując z przyzwyczajenia uprzejmy uśmiech na usta.

Stał przed nią adwokat Dzióbek i ze swym zwykłym, trochę impertynenckim uśmiechem wyrzucał monokl z prawego oka.

— A, to pan...

— Mówi to pani ze zdziwieniem. Czy mam to tak rozumieć, że mnie pani nierada spotyka? W takim razie idę dalej, jeśli pani przeszkadzam.

— To nie, ale przestraszył mnie pan — rzekła, podając mu dłoń na powitanie.

— Aż tak? Szła pani zamyślona... Czy można znać przynajmniej powód tego zamyślenia.

— Nie.

Powiedziała to krótko i twardo i zaśmiała się naraz.

— Ależ owszem. To jest... Myślałam właściwie o rzeczach zupełnie obojętnych.

— Ciekaw jestem w takim razie, jak pani wygląda, myśląc o rzeczach poważnych!

— Przecież kobiety według was nigdy podobno o poważnych rzeczach nie myślą.

— Przepraszam panią, co to znaczy to „według was”?

— Miałam mężczyzn na myśli.

— Nie lubię być podciągany pod miano ogólne, Zwłaszcza w tym wypadku. Jestem bowiem zdecydowanym i gorącym zwolennikiem kobiet.

Mówił dalej, banalnie i potoczyscie; ona odpowiadała odruchowo, nie słysząc właściwie zgola tego, co on mówi.

Chwilami przebłyskiwało jej przez świadomość, że adwokat prawi jej jakieś komplimenta⁹⁸, uśmiechała się zdawkowo i usiłowała być uprzejmą, bez jawnego wyobrażenia o tym, co robi.

Skręciła mimo woli i bez celu w jedną ze starych ulic, wiodących ku Rynkowi, adwokat szedł ciągle za nią. Ośmielony jej uprzejmym i nieodpornym zachowaniem się wobec tego, co jej prawił, począł być coraz „przyjemniejszym” i natarczywszym. Zauważyła nareszcie, że on jej robi zupełnie formalne wyznanie miłości. Właściwie nic ją to nie obchodziło. Nie odrzekła ani słowa, nie dbając zgola o to, jak mecenas będzie sobie jej milczenie tłumaczył. W pewnym miejscu zatrzymała się bezwiednie i podnosząc głowę, spojrzała w okna, oświetlone słońcem, które przed zachodem z za chmur wyjrzało.

— Pani mi nie odpowiada — usłyszała natarczywe słowa adwokata.

— Ach, przepraszam, zamyśliłam się. O co pan pytał?

Dzióbek poczerwieniał mocno.

— Widzę, że się pani głęboko zamyśliła, jeśli nie słyszała pani moich słów. A czy można wiedzieć *teraz*, o czym pani myślała.

Spojrzała znowu w okna, na które patrzyła przedtem nieświadomie, szukając pretekstu. Zauważyła naraz, że zna ten dom. Postanowiła z tego skorzystać.

— Tak, myślałam właśnie, że muszę zejść do doktora Poleskiego, który tu mieszka.

Wybuchnął trochę sztucznym, niegrzecznym śmiechem.

— Wszakże doktor Poleski przed dwoma laty się zastrzelił!

— Prawda, prawda. Zapomniałam. To wielka szkoda.

— Mówi pani jak nieprzytomna.

Patrzyła w okna. Miała wrażenie, że za firanką przesunął się jakiś biały cień kobiecy... Było jej to zresztą zupełnie obojętne. Nie wiedziała nawet, kto obecnie zajmuje to mieszkanie po garbatym lekarzu-samobójcy.

— Czy idziemy dalej? — zapytał Dzióbek z lekką niecierpliwością.

— Nie. Przepraszam pana. Muszę już śpieszyć do domu. Powinam tam być...

Pożegnała go skinieniem głowy i odeszła szybko. Stał przez chwilę na ulicy, patrząc za nią i kręcąc głowę z niechętnym zdumieniem.

— Coś tam musi być — szepnął i uśmiechnął się złośliwie.

W kawalerskim mieszkaniu Borzyckiego, czystym i nie bez pewnej skromnej i dość surowej wytworności urządzonym, siedziała przed zwierciadłem księżna Helena i upinała rozpuszczone włosy. Ręce jej nagie, wzniesione do góry, w ostatnich blaskach zachodzącego słońca wyglądały jak gdyby wyciosane z różowego marmuru. Na szyi odkrytej, oślepiąco białej, znaczyły się dwie krwawe plamy. Spozstrzegła to w zwierciadle i dotykając ich palcami, rzuciła z uśmiechem poza siebie:

— Patrz, co zrobiłeś! To ślady twych pocałunków. Jakże ja się teraz na świat pokażę!

Borzycki, który siedział w głębi, zbliżył się i znowu usta niesyte do ramienia jej przycisnął.

— Nie, nie, daj już pokój, nie można! — broniła się. — Godzina późna, a muszę wieczorem być na koncercie...

Mówiąc to, muskała mu ruchem głowy twarz swymi włosami, a potem wyciągając w tył ręce, ujęła jego skronie i przycisnęła na chwilę do ust swych gorących i upojnych.

— Och ty! Mój chłopcze!

— Heła!

Nagle głowę jego odepchnęła.

— Odejdź. Muszę się ubrać.

Osunął się na ziemię około jej kolan.

— Słuchaj mnie. Właśnie prosić cię chciałem, abyś dziś tak wcześnie nie odchodziła. Koncert dopiero za dwie czy trzy godziny się zacznie, a zresztą co ci po tym koncercie?

— Muszę się ludziom pokazać.

— Po co? Na co? — błagał cicho. — Posłuchaj, Helu, zaczyna się teraz nasza godzina, siądziemy przy sobie i będziemy gwarzyć... Tak rzadko dajesz mi coś więcej ze siebie ponad ten uścisk.

⁹⁸komplimenta — daw. komplementy. [przypis edytorski]

— Czy mało?

Przechyliła w tył głowę i spojrzała nań błyszczącymi spod opuszczonych powiek oczyma. Usta w zastygłym uśmiechu wpół rozchylone drgnęły lekko i wysunęły się nieco naprzód jak do pocałunku, pierś jej, ciągle niepokalanie doskonała w szlachetnym swym kształcie, wzniosła się w głębokim oddechu i pozostała tak na moment wzniesiona, jakby miłosną żądzą nabrzmiała...

— Czy mało...? — powtórzyła zaledwie dosłyszalnym szeptem.

— Nie! To dużo, to więcej niż świat, to szczęście, to rozkosz, to życie! Wszystko! Och, moja, moja ty! Ginę ze szczęścia przy twoich nogach. Nie wiedziałem nawet, że może w ogóle być szczęście tak wielkie i upojne!

Przypadł ustami do jej kolan i zaczął chłonać w obłądnych pocałunkach jej ciało.

— Widzisz, mówiłeś, że będziemy siedzieć cichutko, a czyż ty to potrafisz? Znowu całujesz.

— Boś jest słodka! Boś upojna! Rozkosznaś jest cała! Ale teraz zobaczysz, już będę spokojny, tylko małą, małą godzinkę jeszcze...

— Słońce już zaszło.

— To nic. Zapuszczę firanki, rozpalę ogień na kominku. To takie dobre, pocziwe mieszkanie w starej kamienicy, co ma głębokie wnęki u okna i kominki w ścianie.

Księżna uśmiechnęła się.

— A wiesz, że ja ten pokój znałam przedtem jeszcze, nim ty go zająłeś?

Ciemna chmura przemknęła błyskawicznie po czole chłopca.

— Byłaś tu? — spytał spokojnie.

— Tak jest, byłam raz — odrzekła z jasnym uśmiechem.

— U kogo?

— U doktora Poleskiego.

— U tego garbusa?

— Tak. W godzinę po tym, kiedy się zastrzelił. Leżał tutaj, o, około okna, właśnie w tym miejscu, gdzie ty kłęczysz.

— Znałaś go?

— Tak. Ale to smutna historia. Nie mówmy już o tym.

— Ja chcę wiedzieć!

— Cicho!

Przyciągnęła znów jego głowę ku piersi i całowała go po oczach, po ustach, po skroni.

— Tak się dziwnie składa... Czyż ja wówczas mogłam była pomyśleć, że będę tu kiedy z tobą, przy tobie... Nie znałam cię nawet jeszcze. Ale to szczególne, że ty właśnie to mieszkanie wynająłeś.

— Nie opowiadałaś mi nigdy o tamtej historii...

— Po co? Cóż nas obchodzi to wszystko, co było czy mogło być? Czyż nie tak?

— Tak, tak!

— Ale gdyś mi dał adres i gdy tu pierwszy raz do ciebie wchodziłam, wtenczas w jesieni, tak mi było dziwnie, tak dziwnie...

— Widzisz, teraz ty się zadumałaś. Płaczesz?

Usunęła go lekko dłonią.

— Tyle mi się różnych rzeczy przypomina — szepnęła, mrużąc nieco załzawione oczy.

Objął ją ramionami jak dziecko.

— Nie myśl, nie myśl! Przecież jesteśmy razem ze sobą i żadnego wczorajszego dnia nie było!

— Tak, nie było...! Dla ciebie.

— Wiesz, że dla mnie rzeczywiście nie było. Zacząłem naprawdę żyć dopiero, kiedy ciebie poznałem. Ale i jutro ja nie chcę innej. Naprawdę ty jesteś pierwszą kobietą, którą kocham i która... która... jest moja.

Zarumienił się jak panienka.

— Pierwsza? Pierwsza jestem? — uśmiechnęła się, wysuwając usta ku niemu.

— Tak. I będziesz ostatnia. Jedyna.

— Och, ty dzieciaku!

— Cóż jest śmiesznego w tym, co powiedziałem?

— Jakże ty nic znasz jeszcze życia. Ale kocham cię za to, za to właśnie!

— Życie moje jest w tobie! Nie umiem sobie już nawet wyobrazić, jak mógłbym istnieć, oddychać bez ciebie.

— A jednak...

— Co?

— Trzeba nam się będzie rozstać.

— Zaśmiał się.

— To niemożliwe.

— Możliwe, możliwe i nawet konieczne.

— Nie rozumiem — rzekł zaniepokojony.

Wstała powoli. Przyglądała upięte już włosy, wrzuciła bluzkę na siebie i oglądała się za zakietem zimowego kostiumu. Nim się weń ubrała, zwróciła się jeszcze ku Borzyckiemu, patrzącemu na nią wciąż z niemym i niespokojnym zdumieniem.

Zawahała się na moment. Ten chłopak przerażał ją czasem. Prawie dzieciak jeszcze, był jednak pierwszym z mężczyzn, nad którym w pewnych chwilach traciła swą czarodziej-ską władzę. Kochający do obłędu i na pozór uległy, każdemu uśmiechowi jej posłuszny, miał wybuchy, po prostu zatrważające. Przypomniało jej się, jak raz, spotkawszy się z nim, przez kaprys jakiś nie chciała nawet zrzucić kapelusza ani ust mu podać do poca-lunku. Prosił długo i cicho, a wreszcie pobladł i wstał z jakimiś strasznymi oczyma, które jej potem długo tkwiły w pamięci. Uczuła wówczas lęk, obezwładniający ją wbrew woli. Aby go pokryć przed sobą samą, rzuciła mu się na piersi i poczęła gwałtownie usta jego całować...

— Co byś był zrobił — mówiła w chwilę potem, kiedy już u nóg jej schylony zachwy-conymi oczyma dziecka patrzył jej w twarz, co byś był zrobił, gdybym była odmówiła?

— Zabiłbym cię — szepnął słodko i pokornie...

Przemknęła jej przez pamięć ta chwila. Borzycki stał przed nią, patrząc wciąż niespo-kojnie i z oczekiwaniem.

A jednak nie mogła się wahać. Wcześniej czy później trzeba mu będzie powiedzieć. Lepiej dzisiaj od razu.

Spojrzała nań smutno i łzawo.

— Wcześniej nie chciałam ci mówić... — Nachyliła twarz ku niemu. Pocałuj mnie, bardzo, bardzo, bo dziś się po raz ostatni widzimy...

— Ależ... zupełnie tego wszystkiego nie rozumiem — mówił chłopak ze szczerą roz-paczą w głosie. — Czyż ja co zwinilem?

— Nie.

— Więc dlaczego? Dlaczego!

— Posłyszysz... za kilka dni.

Namarszczył nagle brwi.

— Nie! Chcę usłyszeć teraz, zaraz, na miejscu. Inaczej cię stąd nie puszczę...

Spojrzała nań chłodno i z umyślną wyniosłością!

— Mogłabym nie odpowiedzieć i wyjść. Ale jeśli chcesz wiedzieć koniecznie: wy-chodzę za męża.

— Co!? — rzekł, mieniając się na twarzy. — Coś ty powiedziała?

— Czyż w tym jest coś dziwnego?

Stali przez chwilę w milczeniu naprzeciw siebie. Wreszcie Borzycki roześmiał się nieco wymuszenie.

— Ach, ty żartujesz ze mnie. Ale, Heła, ja bardzo proszę, nie rób ze mną takich żartów, bo... bo ja sam siebie się boję...

Chciał ją ująć za rękę. Usunęła mu ją.

— Już nie dotykaj. Skończone. Prześnił się sen. Podziękuj mi jeszcze z daleka, że był piękny i myśl o mnie zawsze dobrze i jasno. Bądź zdrow.

Borzycki zrobił się błądy jak trup. Usta mu jeno nerwowo zadrgały.

— Więc naprawdę? — zapytał na pozór całkiem spokojnie, głosem stłumionym i z lekka drżącym.

— Nie ciekaw jesteś, za kogo wychodzę?

— Więc naprawdę? — powtórzył.

— Słyszysz przecie.

— I to od dawna postanowione?

— Od kilku tygodni.
 — I przez ten czas... bywałaś tutaj — ty, ty...!
 — Milcz! Nie obrażaj!
 — Ścierko! — syknął przez zęby.
 — Dostyc mam tego. Proszę mnie puścić natychmiast.
 — Nie puszczę.
 — Zawołam oknem na policję, że mnie pan przemocą...
 — Za coś ty mnie miała? Coś ty ze mnie zrobiła?
 — Teraz widzę, że mam pana za więcej miała, niż pan jest w istocie. I to za moją miłość...
 — Komediantka!
 — To mam za karę, że się zlitowałam nad dzieciakiem? Czy mnie pan puści nareszcie?
 Postąpił ku niej krokiem. Takim go jeszcze nigdy nie widziała. Policzki mu naraz zapadły, oczy błyszczały febrycznie.
 — Słuchaj, ty za mąż nie wyjdiesz! — rzekł niby to z błaganiem, które jednak grzmiało jak groźba.
 — Proszę! Dlaczego?
 — Bo nie chcę.
 — Także powód! I cóż będę robiła? Mam może i dla twej fantazji wstąpić do klasztoru?
 Śmieszny jesteś!
 — Nie dla fantazji mojej, ale dla miłości. Moją żoną zostaniesz!
 Wybuchnęła srebrzystym śmiechem,
 — Pomyśl nadzwyczajny!
 Krwawe wypieki wystąpiły mu na twarz.
 — Nie śmieję się, bo...
 — Bo co?
 — Zabiję cię.
 — Ech, dostyc mam błazeństw. Z drogi!
 Wyrwał rewolwer z kieszeni i stanął przed nią z oczyma zupełnie obłąkanymi.
 — Cóż to ma znaczyć? — Usiłowała słowem swoim nadać wyraz ironiczny i stanowczy.
 On szeptał tymczasem, patrząc na nią rozszerzonymi źrenicami:
 — Tak, ja ja cię uchronię od tego grzechu, ja cię odkupię, wybawię... Widocznie musiało tak być...
 — Co takiego?
 Rysy ściągnęły mu się gwałtownym skurczem bólu.
 — Miałabyś zostać żoną innego, miałby kto inny twe pocałunki...
 Ruszyła ramionami.
 — Ja byłam pierwsza dla ciebie, ale tyś dla mnie pierwszy nie był. Dlaczegoż miałbyś być ostatnim? — rzekła z nielitościwym cynizmem, sądząc jeszcze, że go nim ubezwładni.
 Zatrząśł się i krzyknął nagle:
 — Heła! Ciebie już nikt w życiu nie dotknie! Po mnie nikt cię już dotknąć nie może.
 Mojaś jest. Zbyt piękna na to, abyś żyła dalej.
 Przestraszyła się, ale tylko na jeden moment. Zapanowała znów nad sobą.
 — Stefek, nie szalej i nie rób śmiesznej komedii. Przecież ja już naprawdę iść muszę.
 Ale on był nieprzytomny. Nie słyszał po prostu tego, co mówiła.
 — Byłaś mi szczęściem, byłaś mi życiem, wszystkim mi byłaś...
 — No dobrze, ale teraz chcę wyjść.
 — Nie wyjdiesz stąd.
 Z zaciśniętymi zębami, z oczyma, w których się obłęd żarzył, podniósł broń do góry.
 — Precz! — krzyknęła z rzeczywistą irytacją, chwytając go za rękę.
 Gruchnął strzał — umyślny czy przypadkowy...
 — Heła! — wrzasnął, rzucając się na upadającą bezwładnie na ziemię.

Morderstwo

Butrym telegrafował do Turckiego:
 „Przyjechać natychmiast. Straszny wypadek. Księżna nie żyje. Syna wzięłam do siebie”.

X

Kiedy Butrym wszedł do mieszkania Firdussiego, zastał go przy składaniu swych skromnych podróżyńnych tobołków. Ucieszył się mimo woli, gdyż oczywisty a niespodziewany wyjazd Persa uwolnił go niejako od zrywania stosunku, który mu już ciążył. Przyszedł nawet dzisiaj z tą myślą, aby mu to powiedzieć, widząc jednak, że to już zbyt wiele, udał jeno⁹⁹ przykre zdziwienie na widok zapakowanych kufrów.

— Pan wyjeżdża?

Pers uśmiechnął się niewyraźnie, patrząc w nieokreślonym kierunku swymi nadmiernie rozszerzonymi źrenicami.

— Wszakże pan dzisiaj rano postanowił więcej ze mną nie przestawać i przychodzi pan właśnie, aby mi to oświadczyć.

Butrym zdumiał się, choć był już przyzwyczajony do nadzwyczajnych jasnowidzeń dziwnego człowieka.

— Kto to panu mówił? — wtrącił trochę niezręcznie.

— Nie mówił mi nikt. Ale niech się pan nie tłumaczy ani nie usprawiedliwia; zdaje mi się, że ma pan zupełną słuszność. Był to błąd z mojej strony, nie dlatego nawet, że pana wybrał, ale w ogóle, że szukał uczonego współpracownika...

— Zamyśla pan teraz samodzielnie odkrywać tajemnice wszechświata.

— Tak.

— I ogłaszać?

— Nie. Zamierzam przede wszystkim pracować wewnętrznie i przyjść z samym sobą do porządku.

— Więc pan wzgardził tym, co wiedza świata daćby panu mogła? — rzekł Butrym z mimowolnym odcieniem urazy w głosie, zapominając, że ta „wiedza” pierwsza w jego osobie odpycha jasnowidza.

— Odpowiem panu na to pytanie, gdy mi pan powie, z jakich powodów pan postanowił ze mną nadal nie pracować.

— Ach, Boże, to takie proste... Pan jest fenomenem, wyjątkiem, zagadką, czymś, co się nie da obliczyć, naprawdę takimi ilościami ogromnie trudno jest w nauce operować i nie narażać się na mimowolne zejście z prawowitej drogi...

— A widzi pan. To samo usłyszę od każdego uczonego, do którego bym się zwrócił. W paru tygodniach obcowania z panem nauczyłem się tej jednej rzeczy, że uczeni ze swego stanowiska najzupełniejszą mają słuszność tak do mnie się odnosić. Na fałszywej byłem drodze, gdyż chciałem, aby ktoś drugi pomógł mi zrozumieć samego siebie i na odwrót, gdy pragnąłem drugiemu człowiekowi oczy otwierać, zamiast patrzeć głęboko własnymi. Pokazuje się, że za mało jeszcze byłem samotny. Zgubię się na pewien czas na największej pustyni, jaka jest na świecie, to jest w którymś z ogromnych miast Europy, gdzie tak cudownie można być samotnym...

— Czy mi pan nie przysłał swego adresu?

— Po co? Za jakiś czas szukałby mnie pan ze szkodą dla siebie i dla mnie.

— Gdy mi pan zginie tak bez śladu, będzie mi się zdawało, że cały pobyt pański tutaj był snem tylko.

— Tak lepiej. Niech mi pan daruje, że panu na pewien czas zamącił pracę. Mówię to zupełnie szczerze.

Wyciągnął rękę do Butryma.

Profesorowi przebiegło błyskawicą przez myśl, że dziwnym przypadkiem po raz pierwszy ma podać dłoń temu człowiekowi, choć przez kilka tygodni prawie codziennie z nim się spotykał i długie nieraz przepędzał godziny. Z mimowolnym lękiem ujął wyciągniętą rękę.

Chłód go przeszedł przykry, gdy dotknął długich, gładkich palców, obciążonych skórą jak gdyby martwą i niewrażliwą. Bał się spojrzeć w oczy cudzoziemca.

Gdy za chwilę znalazł się na ulicy, nie mógł sobie absolutnie zdać sprawy z tego, w jaki sposób i kiedy wyszedł z pokoju. Miał tylko niejasne uczucie, że między podaniem ręki a wyjściem jego upłynął jakiś przeciąg czasu i że „człowiek z gwiazd” powiedział

⁹⁹jeno — tylko. [przypis edytorski]

mu w tym czasie rzecz niezmiernie ważną i doniosłą, która całą istotą jego wstrząsnęła. A jednak mimo najusiłniejszej pracy nie mógł w pamięci odszukać ani śladu tego, co to mogło być i do czego się bodaj odnosiło? Zawahał się na chwilę, jakby chciał zawrócić na górę i prosić dziwnego Persa o powtórzenie mu tej zapomnianej tak nagle tajemnicy, ale zdjął go naprzód lęk, że będzie musiał raz jeszcze spojrzeć na niego, a potem zaczął sobie tłumaczyć, że ostatecznie to wszystko może być tylko złudzeniem i naraziłby się na śmieszność, wracając.

Zaczął więc iść powoli w stronę swojej pracowni uniwersyteckiej. Gdy jednak mijał dom, w którym mieszkał doktor Krasołucki, mimo woli zatrzymał się i pomyślał, że właściwie wcale nie jest w tej chwili usposobiony do pracy i dobrze będzie pogadać raczej z przyjacielem.

Wszedł na schody i zadzwonił. Służący wpuścił go do poczekalni, w której siedziały jakieś dwie starsze panie, doktor nie skończył być jeszcze ordynować, choć minęła już godzina, o której powinien być wolny. Butrym wziął w rękę jakieś stare czasopismo ilustrowane i przeglądał je bez zajęcia. Na myśl powracało mu ustawicznie rozstanie się z Firdussim i męczył się, usiłując sobie przypomnieć te zagubione ostatnie słowa. Próbował dojść do nich rozmaitymi drogami, szukał w pamięci okoliczności, jakie im mogły towarzyszyć, kombinował sztucznie, do czego by się odnosiły, usiłował odtworzyć sobie głos mówiącego doń Persa, to znów swoje wrażenie — i wszystko na próżno. Miał uczucie, że z życia jego wycięto jakieś kilka czy kilkanaście minut i to z tą świadomością, że były one dlań ważniejsze niż może całe lata... To jedno tylko nie pamiętał¹⁰⁰, lecz raczej odczuwał, że treść słów zapomnianych odnosiła się wprost do jego osobistego życia. I na tym koniec. Dalej ani kroku postąpić nie zdołał.

Nie zauważył nawet, jak poczekalnia się opróżniła. Mrok już padał, kiedy wreszcie Krasołucki stanął na progu.

— O, cóż ty tak siedzisz po ciemku! — zawołał. — Mówię temu bałwanowi służącemu, żeby lampy zapalał, ale gdzie jemu co w głowie! To jest straszne po prostu, że ja połowę czasu poświęcać muszę na walkę z tym bydlęciem, który nie może zrozumieć takiej prostej rzeczy, że cały świat został na to stworzony, aby mnie było na nim wygodnie i on się do tego stosować powinien!

Był to zwykły i ulubiony zwrot doktora, któremu jednak kłam zadawało całe jego życie, gdyż sam częściej postępował tak, aby innym było raczej wygodnie, a nie jemu samemu.

I teraz, nie wołając służącego, zabrał się sam do zapalenia światła, a gdy zobaczył, że przewód elektryczny jest zepsuty, pomruczawszy jeszcze trochę, potoczył się ku konsoli, na której stały stare, ciężkie, brązowe kandelabry około grającego kuranty zegara z osiemnastego wieku i zaczął je zaświecać.

— Daj pokój — mówił Butrym — wpadłem na krótką chwilkę tylko i to właściwie bez określonego celu.

— Niechże cię Pan Bóg broni, abyś do mnie z określonym celem przychodził, zwłaszcza w godzinach, kiedy się cyrulictwem param — zaśmiał się doktor.

— Na to się nie zanosz, jestem zdrow po prostu uporczywie i nieprzyzwoicie jak na dzisiejsze czasy!

Krasołucki siedział już przy nim na mahoniowym krzeselku, trzeszczącym pod jego ciężarem.

— Napijesz się ze mną herbaty? Co? To moja godzina. Mój władca, bo ja teraz tak mego służącego tytułuję, powinien ją przynieść za chwilę. O, idzie nareszcie. Drugą filiżankę podaj.

Służący zamruczał coś niechętnie i wyszedł z pokoju.

— Czemuż ty tak milczysz? — pytał Krasołucki Butryma. — Może ci jednak naprawdę co brakuje?

Badawczym i życzliwym wzrokiem jął patrzeć na profesora.

— To nic, ale... rozstałem się ostatecznie z Firdussim i to mnie tak jakoś poruszyło...

Wstydił się przyznać do tajemniczej okoliczności temu rozstaniu towarzyszącej. Krasołucki spoważniał.

¹⁰⁰To jedno tylko nie pamiętał — dziś poprawnie: Tego jednego tylko nie pamiętał. [przypis edytorski]

— Wiesz, kpiliśmy sobie nieraz przy kieliszku wina z tego człowieka, a jednak w nim jest coś dziwnego — rzekł. — Zdaje mi się, że poza tym wszystkim nadzwyczajnym, co my o nim wiemy, on ma jeszcze w sobie jakąś inną i niedocieczoną tajemnicę...

Butrym nie chciał dzisiaj o tym rozmawiać i z umysłu, aby zmienić temat, począł mówić o niespodziewanej śmierci księżnej Heleny. Doktor ruszył ramionami.

— Moje złoto, księżna Helenka sama sobie winna. Miała metodą wypróbowaną i pewną i zachciało jej się czego innego. Nie przełamuje się bezkarnie raz ustalonego porządku.

— Jak to?

— Rzecz prosta. Dotąd zawsze każdego nowego przyjaciela wprowadzała niemal oficjalnie w koło dawnych i tak jakoś to było składnie i... familijnie, że tak powiem. Teraz po raz pierwszy ta cała historia z tym chłopcem była trzymana w tajemnicy, nikt się tego nie domyślał, a zdaje się, że i on nie wiedział nic o swoich poprzednikach... To był pierwszy i niebezpieczny wyłom w dotychczasowych zwyczajach. Po wtóre: ten pomysł małżeństwa z Turskim! Że on jest osioł, to wszystko w porządku, bo od tego my mężczyźni jesteśmy, żebyśmy byli osłami wobec „ziemskich aniołów”, ale ona! Na cóż jej to było? Po co? Dla jakiego celu?

— Hm, Turski, mimo że się szarpnął na ów teatr, i tak jest jeszcze po prostu bajecznie bogaty!

— To i cóż z tego? Ona miała dość po nieboszczyku Hazarapelianie, który ją tak przyjemnie i w porę owdowił, a zresztą i bez małżeństwa mogła z Turskim i z wszystkim, co on posiada, robić, co jej by się podobało. A jeśli jej chodziło o syna...

— Tak, myślę, że o syna jej chodziło. Wszak ona sama pozwalała się domyślać, że to dziecię Turckiego...

— Ha, w takim razie...!

Urwał i począł w zamyśleniu mieszać herbatę łyżeczką.

Butrym zaczął po chwili:

— Ale nie rozumiem, co jej zamiar małżeństwa może mieć do czynienia z jej tragiczną śmiercią?

— Moje złoto, mógł być związek bezpośredni: oszalały chłopak dowiedział się po prostu o tym... Ale mogło też być co innego. Są związki ukryte i głębokie. Los czasem pozwala na pewien tylko sposób życia, gdy się człowiek z niego wyłamie, to się mści szybko i straszliwie.

— Znów metafizyka! — szepnął Butrym niechętnie.

Zapanowało na chwilę milczenie.

— Byłeś przy sekcji? — spytał wreszcie profesor.

— Tj... co tu było sekcjonować? Powód śmierci niewątpliwy. Kula trafiła w kość policzkową, wysadziła oko i utkwiała w potylicy, przesywszy mózg. Strasznie wyglądała. Usta w przerażeniu otwarte. Strzelił do niej z lichego rewolweru: straszna rana.

— Jego mi żal...

— Turckiego?

— Więcej tego chłopca. Znałem go. Zdolny, pełen życia i tężyzny.

— Ano, skończyło się.

— Będzie odpowiadał za morderstwo?

— Naturalnie. Jak tylko przyjdzie do przytomności. Nie wiadomo, co tam zaszło, ale zastano go w zupełnym obłądzeniu. Leży dotąd w gorączce i majaczy.

— Wszystko to jest takie smutne, takie smutne, że straszno o tym myśleć. Turckiego oczekują już lada godzina...

— *C'est la vie!*¹⁰¹ To jest ten gatunek kobiet, które niszczą ludzi, nawet umierając. A zresztą — machnął ręką — wszystkie to robią, jedne prędzej i widoczniej, inne wolniej i nieznacznie, ale ostatecznie na jedno wychodzi. I nie będzie inaczej, dopóki dzięki przesadzonemu dżentelmeństwu będziemy kobietę uważali za podobnego nam człowieka.

— Więc cóż?

— Moje złoto, *lux ex oriente*¹⁰²... Złożyć haremiki, przy drzwiach tęgi rzezaniec

Morderstwo

Szaleniec

Kobieta demoniczna,
Mizoginia

Mizoginia

¹⁰¹ *C'est la vie!* (fr.) — Takie życie! [przypis edytorski]

z dobrym bykowcem w rękę, a we wnętrzu śliczny ołtarz, na którym pani będzie wśród holdów królowała. Tylko niech na świat nie wychodzi, na ten świat, który do nas wyłącznie nie powinien należeć, bo myśmy go stworzyli, myśmy wymyślili wiedzę i sztukę, i religię, i moralność, której kobieta nigdy w istocie nie ma...

— Tego nie można powiedzieć! — zaproponował dość słabo Butrym.

— Owszem, to się powiedzieć musi. Każdy mężczyzna, gdy popełni łajdactwo lub zbrodnię, wie, że to zrobił, to jest, że wyłamał się z obowiązujących praw i na karę zasłużył. Kobieta tego nigdy nie czuje. Ona zawsze „ma słusność” i tylko świat wobec niej jest „niesprawiedliwy”. Dużo by o tym można mówić. No tak, na dzisiaj dosyć. Może ci zagrać co teraz? Mam jeszcze godzinę czasu.

— Godzinę, a potem?

— Ha, potem! Dzisiaj jest sobota, więc schodzimy się u Hawelki na obowiązkowego „szekspira”...

— Szekspir? Cóż to jest? Literackie posiedzenie?

— Ale gdzież tam! To tylko w krakowskim dialekcie tak wygląda; powinno brzmieć właściwie: *sechs Bier*¹⁰³...

Przeszedł wraz z gościem do „biblioteki” i usiadłszy przy fortepianie, zaczął znowu grać swe ulubione gawoty Bacha.

Przerywał jednak często muzykę i odwracał się z ruchomym taborettem ku Butrymowi, rzucając jakąś uwagę lub pytanie. Profesor odpowiadał rzadko i krótko, czuł ciężki opar, leżący mu na mózgu, którego pozbyć się nie mógł. Muzyka Krasołuckiego nie uspokajała go, zwłaszcza, że doktor — nie bardzo snąc w usposobieniu — zaczynał różne rzeczy i nie kończył, przerzucał się z poważnych w błahostki, aż wreszcie opuściwszy jedną dłoń, palcami drugiej począł brząkać jakiegoś dziwnego siekańca...

Butrym wziął w rękę jakąś książkę i przerzucał jej kartki, nie widząc zgoła liter.

— Co czytasz? — rzucił mu przez ramię doktor i zamknąwszy fortepian, zbliżył się do stołu.

— A, *Les fruits verts*¹⁰⁴, śliczna pornografijka, z talentem napisana, ale właściwie to tak samo nudne jak wszystko inne.

Wziął w rękę odłożoną przez Butryma książkę i rzucił w kąt szerokiej sofy.

— Dziwię się czasem, że cię to bawi — szepnął profesor.

— Ach, bawi! — wzruszył ramionami. — Szukam czegoś, co by mnie zajęło, nawet w tych śmieciach, gdy dosyć mam tak zwanej nauki, niezdolnej w istocie niczego wyjaśnić, nikogo uszczęśliwić i dosyć literatury, aż nazbyt często tak puste... i fałszywej do tego. Bo zważ tylko, moje serce, że w tych wszystkich okropnie idealnych i tytuł do nieśmiertelności stanowiących powieściach, w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto o nic innego nie chodzi jak o ukrytą pornografię, o podrażnienie zmysłów czytelnika...

— Niesłusznie obwiniasz — zaczął Butrym.

— Naprzód: nie obwiniam — przerwał Krasołucki — bo nie formuję tego jako zarzut. Trudno, moje złoto, są pewne rzeczy, około których świat się obraca, choćby to się nie wiedzieć jak moralistom nie podobało i nie podobna ich z życia, a co zatem idzie, ze sztuki usunąć. A następnie: słusność mam, gdyż idę z tobą o zakład, że w każdej powieści — te najnudniejsze wyłączywszy — znajdziesz gdzieś jakąś scenę, tak sobie między kartkami ukrytą, która zdanie moje potwierdzi. Dla czytelnika są to zawsze rodzynki w wielkanocnej babce. I nie o to mi też chodzi, ale o tę hipokryzję, z jaką się te sceny przemyca, ostatecznie dla poczytności dzieła i pokupności książki. Tutaj, w tych anonimowych drukach paryskich czy brukselskich, autor przynajmniej nie gra ze mną w ślepą babkę, ale od razu wyjeżdża z tym, o co idzie właściwie. A że mimo to nie zajmuje nikogo, oprócz niedojrzałych mlókosów chyba, to już nie jego wina, jeno tego, że i w tym kierunku od wielu tysięcy lat nie wynaleziono nic nowego. Ani w opisach, ani w rzeczy samej. W końcu wszystko jest świństwo i to śmieszne w dodatku.

— Smutny masz światopogląd.

— Nudzę się — szepnął Krasołucki, a potem naraz roześmiał się głośno.

— Z czego się śmiejesz? — zapytał Butrym zdziwiony.

¹⁰²*lux ex oriente* (łac.) — światło ze Wschodu. [przypis edytorski]

¹⁰³*sechs Bier* — (z niem., bł.) sześć piw. Poprawnie w języku niemieckim: *sechs Biere*. [przypis edytorski]

¹⁰⁴*Les fruits verts* — (fr.) Zielone owoce. [przypis edytorski]

— Przypomniała mi się Tourbillonka, ha, ha! Ta, której po nocach grywałem...
— Cóż w tym uciesznego? Biedaczka...
— A tak, tylko wyobraź sobie, że ta biedaczka obelgiwła mnie, starego idiotę, jak najęta. Chciałem... coś tam dla niej zrobić, dowiadywałem się, i co powiesz? Pokazało się¹⁰⁵, że ta cała jej romantyczna historia jest z palca po prostu wyssana od początku do końca! Córci nawet nigdy nie miała...
— Niepodobna! A ten paraliż?
Doktor machnął ręką.
— Dawna choroba, niezupełnie rtęcią z organizmu wywabiona. Nie poznałem się z początku...
Splunął w kąt, powstał i zaczął wołać na służącego, aby mu podał płaszcz i kapelusz.
— Daruj — zwrócił się do Butryma — ale godzina, „szekspira” się zbliża. Pójdziesz może ze mną? Nie? Czy? Ha, to trudno, pójdę sam. Ale przyznaj, że „szekspir” to jedyne lekarstwo na tę podłą ohydę życia. Tak się ślicznie i słodko głupieje, wszystko się człowiekowi wydaje wtedy w najzupełniejszym porządku na tym milutkim świecie. A w końcu i tak będzie trzeba umrzeć.

Wróciwszy do domu, posłyszał Butrym gwar w dziecinnym pokoju. Przeszedł w tamtą stronę i stanął cicho w uchylonych drzwiach.

Jacek i starszy od niego o parę lat Iwo stali na środku z podniesionymi drewnianymi szablami, zagrażającymi poważnie wiszącej u sufitu lampie. Jacek z rozchylonymi nieco usteczkami i szeroko rozwartymi oczyma wpatrywał się nabożnie w towarzysza, który mówił poważnym głosem, jakby wydawał rozkazy:

— Uważaj! Teraz na koniach naszych wiatropławach przepłynęliśmy morze i jesteśmy na kraju wielkiej pustyni! Musimy ją przebyć, ażeby wroga osiągnąć. Czy widzisz w oddali tę grupę palm daktylowych?

— Tak — przyświadczył malec poważnie. — Czy będziemy jeść daktyle?

— Wcale nie! To są tylko miraże pustynnej fata morgana¹⁰⁶, które znikną, gdy się przybliżymy. Ale niech cię to nie przeraża!

— O, ja się nic a nic nie boję!

— To dobrze. Więc ruszaj za mną. Teraz spotkamy zgłodniałego lwa...

— Ja go zabiję! — zakrzyknął Jacek mężnie wywijając szablą.

— Nie, ja! On mój!

Jacek, nie czekając, rzucił się ku najbliższemu krzesłu i zadał mu dwa straszliwe i niewątpliwie śmiertelne cięcia.

— Już go zabiłem — oświadczył z dumą.

— Ale gdzież tam! Przecież to była skała, a nie lew.

Malec stropił się.

— Tak? A gdzież lew?

— Uciekł przed nami, o tam! Pod kanapę!

Młody Butrym, zionąc pragnieniem walki i zwycięstwa, był już przy kanapie i leżąc na brzuchu zadawał w mroczną pod nią czeluść na oślep pchnięcia bohaterskie.

— Uważaj! — krzyknął Iwo. — Lew teraz wyskakuje!

Jacek poczerwieniał i drgnął z mimowolnej trwogi rzeczywistej, ale wytrwał na stanowisku. Pomógł mu w zaciętej walce towarzysz i za chwilę stojąc naprzeciw siebie, patrzyli obaj z dumą na miejsce na podłodze u swych stóp, gdzie miało niby leżeć bezwładne, pokrwawione cielsko ubitego zwierza.

— Wyszliśmy cało z niebezpieczeństwa — mówił Iwo — więc teraz, nim dalej ruszymy, podajmy sobie ręce i zawrzyjmy przyjaźń na śmierć i na życie. Czy chcesz?

— Dobrze! — zawołał Jacek z rozplonioną twarzą. — Na śmierć i na życie!

Wstrząsnęli sobie dłonie zupełnie uroczyście.

— Tak. A teraz jedziemy dalej przez tę ogromną pustynię, której końca wcale nie widać. I nie wiemy, co nas tam czeka.

— Może tam jest znowu morze?

¹⁰⁵Pokazało się — tu w znaczeniu: Okazało się. [przypis edytorski]

¹⁰⁶pustynnej fata morgana — dziś poprawnie: pustynnej fatamorgany. [przypis edytorski]

— Albo wysokie góry, na które będziemy się musieli wdzierać!
— Albo las, pełen białych niedźwiedzi?
— Białe niedźwiedzie nie żyją w lesie, tylko na lodach — poprawił Iwo.
— Ja wiem, ale tak sobie tylko powiedziałem, bo biały niedźwiedź jest najstraszniejszy.
— Zresztą tam może być także miasto, którego szukamy.
— Jakże! Przecież mieliśmy gonić wrogów, a nie szukać miasta?
— Wrogowie już pomarli na puszczy z pragnienia. Teraz szukamy miasta o dwunastu wieżach i złotej bramie...

Butrym, niezauważony przez zajętych sobą chłopców, stał we drzwiach i słuchał.

Jeden z nich — ten starszy — dziedzic mnogich majątków, był w tej chwili bezdomnym sierotą. Przed paru dniami zaledwie stracił matkę w sposób tragiczny i potworny. Nie wiedział nawet, jak się to stało. Powiedziano mu tylko, że matka nie żyje i przypro-
wadzono tutaj. Początkowo chciał koniecznie choć zwłoki widzieć, a gdy mu na to nie
pozwolono, ambitny nad miarę i wiek, płakał ukradkiem, wstydząc się leż przed obcymi.
Ale oto w kilka dni już począł zmarłej zapominać.

Potężna fala życia, bijąca w dzieciennym organizmie, zwycięska zawsze i radosna, wzięła nad wszystkim górę. Oto mu się śnią, jak zwykle, wyprawy przez morza i puszcze, oto już rwie za sobą w kraj swojej jak dzwon huczącej fantazji to chłopię jasnowłose, którego słucha jak wyroczeni.

Butrym uśmiechnął się.

— Zawarli przyjaźń na śmierć i życie, przysięgli sobie braterstwo...

Tak, tak... Jeno że ten młody, ten jego, będzie miał brata naprawdę! Rodzonego brata. Mniej więcej taka będzie różnica wieku jak między tymi dwoma. I za kilka lat dwaj bracia rodzeni będą się może tak bawili i Jacek wtedy będzie temu, dziś jeszcze nienarodzonemu, dyktował z powagą, gdzie jest puszcza, gdzie morze, gdzie góry.

A może będzie córka? Dziewczynka jasnowłosa z niebieskimi oczkami, której brat starszy jak królowie będzie służył...

Uczuł dotknięcie czyjejś ręki na ramieniu. Odwrócił się. Poza nim stał Turski.

— Przepraszam, że aż tu pana szukam, ale powiedziano mi...

— Proszę, proszę. Oczekiwałem pana właśnie...

Butrym był zakłopotany i nie wiedział sam, dlaczego. Zdawało mu się, że Turski złapał go na jakiejś myśli tajemnej, która nie była przystojna wobec zaszłej niedawno śmierci i wobec warunków, w jakich ten drugi chłopiec znalazł się w jego domu. Zamknął pośpiesznie drzwi od dzieciennego pokoju i poprowadził gościa do bawialni. Przez drogę, nie umiejąc jakoś znaleźć właściwego rozpoczęcia rozmowy, począł go wypytywać żywo, czy bardzo jest drogą zmęczony i czy nie napiłby się szklanki herbaty? Turski podziękował krótko.

— Przybyłem przed chwilą. Zaszedłem zaraz do pana, aby się upewnić...

Głos mu się urwał.

— Dziękuję panu za zajęcie się chłopcem — wtrącił.

Butrym skłonił głowę w milczeniu.

— Obecnie muszę zaraz iść — mówił Turski dalej — i co trzeba... i co się da, pozal-
łatwiać.

— Jeżeli mogę panu być w czym użytecznym...

— Na razie nic nie wiem oprócz tego, com w liście pańskim, do Wiednia wysłanym, wyczytał. Gdy zajdzie potrzeba, skorzystam z pańskiej pomocy. Wszak pozwoli mi pan przyjść tutaj wieczorem?

— Proszę pana.

— Dziękuję. Rozejrzawszy się w sprawie, wypytam pana jeszcze o różne rzeczy...

Wyszedł szybko, prawie bez pożegnania. Pani Zośka, wchodząc za chwilę do salonu, już go nie zastała.

— Czy mi się zdawało, że slyszalam głos Turskiego? — spytała, rozglądając się.

— Owszem, był.

— Wszedł już?

— Tak.

— Co mówił?

— Hm, mówił, że przyjechał przed chwilą..

Dziecko

— Ale o wypadku, o księżnej?
— Nic nie mówił.
Pani Zośka poruszyła wzgardliwie głową.
— Ostatecznie on jest winien wszystkiemu...
— Nie rozumiem — rzekł Butrym z istotnym zdziwieniem.
— Naturalnie. Gdyby mu się nie było zachciało żenić z nią...
Urwała w środku zdania i zmarszczyła brwi.
— Co ci jest? — spytał profesor zaniepokojony. Usunęła mu rękę, którą chciał ująć.
— Nic, nic. Wszystkiemu i zawsze wy winni jesteście.
Butrym patrzył za nią jak wychodziła; jakiś ciężar niepokojący kładł mu się na sercu.

Siedzieli obaj w gabinecie profesora. Turski podparł głowę na rękę i patrzył uporczywie na jakiś nóż kościany do rozcinania papieru, jakby ta rzecz w tej chwili całą uwagę jego pochłonęła. Butrym przyglądał się mu nieznacznie z boku.

Ta sama twarz smagła, wygolona, jakby z brązu odlana z lekko siwiejącymi na skroniach włosami, twarz spokojna i zastygła, z której niepodobna wyczytać, co się wewnątrz dzieje. Od paru godzin ten człowiek tu już bawił, załatwił szereg smutnych formalności, zdążył już zdać sobie ogólnikowo sprawę ze stanu interesów zmarłej, którymi zajął się w imieniu pozostałego chłopca, mówił o wszystkim z równym pokojem bez drgnienia ust ani powiek, i tylko Butrym zauważył, że chwilami występują mu na czoło duże, perliste krople potu... Ocierał je ręką i jakby z niechęcią, że walkę jego wewnętrzną zdradzają i pytał znowu albo wydawał rozporządzenia wedle potrzeby.

O sobie samym, o tym, co się w nim dzieje, nie odezwał się ani słowa.

Po kilkugodzinnym wirze zajęć, w który rzucił się natychmiast po przybyciu, teraz wieczorem dopiero usiadł, aby odpocząć.

Milczeli przez jakiś czas, aż Turski naraz wznosił głowę.

— Panie Mieczysławie, co się dzieje... z Borzyckim?

— Jest w szpitalu więziennym. Znalaziono go zupełnie nieprzytomnym ze wstrząśnienia przy zwłokach. Będzie odpowiadał przed sądem przysięgłych.

— Chcę go uratować!

— Pan?

— Tak. Znam go. To człowiek, którego szkoda, aby miał ginąć w więzieniu z powodu... zbrodni... młodzieńczej.

— Zgadzam się z panem najzupełniej, ale nie widzę sposobu, jak by to zrobić?

— Pieniądz wiele może. Dopóki jest w szpitalu, może jakoś uda się przemycić go stamtąd. Poświęcę na to chociażby milion. Niech pod obcym nazwiskiem wyjeżdża w świat...

— Pomyśl dobry rzeczywiście, jeno nie mam pojęcia, jakimi drogami taką rzecz można by przeprowadzić?

— Pomyślę, poszukam, popytam się, może się co znajdzie. Zresztą... przyznam się panu, że nie tylko o niego samego mi chodzi.

— Rozumiem.

— Tak jest. To była... tak, to była jedyna kobieta, którą w życiu kochałem i to jest matka Iwonka. Jeżeli już nie ze względu na siebie, to ze względu na dziecko muszę za wszelką cenę uniknąć tego, co by pamięć jej sponiewierało... do reszty i dało wszystkim wiedzieć... Spodziewam się, że po usunięciu Borzyckiego proces się nie odbędzie wobec braku winowajcy.

— I ja tak myślę.

— Więc trzeba dążyć do tego. Syna zabiorę i wywiozę ze sobą...

— To będzie trudno¹⁰⁷. Iwo musi mieć naturalnych opiekunów z rodziny matki lub zmarłego księcia Hazarapeliana, którym w tym względzie prawo wszelką władzę przyznaje.

¹⁰⁷To będzie trudno — dziś poprawnie: To będzie trudne. [przypis edytorski]

— Myślałem już o tym. Dziecko będę adoptował¹⁰⁸ i to jak się tylko da najprędzej. Nie spodziewam się, abym napotkał w tym na jakieś poważne przeszkody¹⁰⁹.

Zamilkł i zamyślił się znowu.

— Widzi pan — rzekł po chwili z melancholijnym, do skrzywienia bólu raczej podobnym uśmiechem — oto mój szczyt, o którym panu w liście pisałem. Gnębiło mnie już wtedy nieodparte przeczucie, że stanie się coś złego...

Butrymowi przyszło do głowy, że dla niego może właściwie lepiej, że się stało tak, jak jest, ale nie wypowiedział tej okrutnej myśli. Turski mówił dalej:

— Nie przypuszczałem jednak nigdy, żeby mógł być taki koniec. To jest po prostu coś potwornego...

Przerwał nagle i zwrócił na profesora pytające, niespokojne spojrzenie:

— Proszę pana, czy... czy pan nie wie, czy nie spotkano przy zmarłej albo na pogrzebie niejakiej pani Ireny, byłej przyjaciółki księżnej?

Butrym począł szukać w pamięci.

— Tak, tak... Gdy zwłoki po oględzinach lekarskich i sądowych przeniesiono do domu (byłem tam właśnie, aby dziecko usunąć), przyszła jakaś wymalowana... ruda...

— Tak jest. Ta sama.

— Mówiła, że jest bliską przyjaciółką czy krewną. Prosiła, żeby ją wpuścić, że chce się pożegnać...

— I wpuszczono ją?

— Tak. Obejrzała głowę, jak pan wie strzałem roztrzaskaną, i dostała ataku histerycznego śmiechu, który się zakończył spazmami.. Przypominam sobie dokładnie, bo ją musiano przemocą usuwać.

Turski milczał posepnie.

— Dlaczego pan o to pytał?

— Ach, tak tylko... Nie... Zresztą powiem prawdę: Ta kobieta przepowiedziała, że księżna... tak skończy. Czekala jej śmierci. Podobno... Nie, nie! Nie mówmy już o tym. To są rzeczy zbyt straszne. Może los naprawdę się mści.

Zatrząsał się cały i powstawszy, zaczął chodzić po pokoju.

— I to dziwne tak niepojęcie... Właśnie w tym samym pokoju, w którym mieszkał niegdyś Poleski i gdzie listy jej do mnie dawne były przez dziesięć lat w przechowaniu, gdy ja po Azji wędrowałem! W tym pokoju spaliłem te listy i tegoż dnia Poleski się zastrzelił. Nie powinienem był wracać z Azji, nie, nie! Mój powrót w złą godzinę winien wszystkiemu.

Butrym wodził za chodzącym oczyma i dziwił się. Dziwił się, że ten człowiek nie dał niczym poznać po sobie, że odczuwa własną, potworną krzywdę. Przecież zabita była jego narzeczona i za kilka już dni żoną miała już się stać. A zginęła z ręki kochanka, z którym snąć nie przerwała stosunku...

Naraz Turski zatrzymał się. Zdawało się, jakoby odczuł myśli profesora.

— Panie Mieczysławie — zaczął z naciskiem, patrząc mu prosto w oczy — wśród dawnych znajomych księżnej jest człowiek jeden, zupełnie zmarnowany, niejaki Rogocki, którego pan, zdaje się, zna.

Butrym przyświadczył skinieniem głowy.

— Kochał umarłą przed dawnymi laty, odepchnięty stracił wszystko, stał się ruiną człowieka. Widziałem go dzisiaj. I wie pan, co mi powiedział? Powiedział mi tak: „Księżna Helena nie była kochanką Borzyckiego, choć się przypadkowo na swe nieszczęście znalazła w jego mieszkaniu, a kto będzie mówił inaczej, tego ubiję jak psa!”. Rozumie pan?

— Rozumiem.

— Tak. Nie bądźmyż my gorsi od Rogockiego.

Rozmowę przerwało wejście pani Zośki.

— Chłopcy idą już spać — rzekła, zwracając się do Turskiego. — Może pan zechce zobaczyć Iwonka?

— Jeżeli wolno...

— Ależ proszę.

¹⁰⁸będę adoptował — dziś poprawnie: adoptuję. [przypis edytorski]

¹⁰⁹napotkał w tym na jakieś poważne przeszkody — dziś konstrukcja „napotkać na (coś)” uważana jest za błędną. Poprawnie: *napotkać (coś)* lub *natrafić (na coś)*. [przypis edytorski]

Przeszli wszyscy troje do dzieciennego pokoju, gdzie naprzeciw łóżeczka Jacka pod drugą ścianą przygotowano posłanie dla Iwonka. Chłopcy obaj w serdecznej zgodzie zajęci byli układaniem w pudełkach klocków, z których przed chwilą wspólnie jakiś pałac stawiali.

Turski zawołał Iwona cichym, niepewnym, jakby dławiącym się w krtani głosem.

Chłopak rzucił zabawki i zbliżył się ku niemu. Spoważniał w jednej chwili, zdawało się, że to nie ten sam dzieciak, który niedawno jeszcze z młodszym o parę lat towarzyszem urojone podróże przez morza i pustynie odbywał. Rysy mu się ściągnęły, szare oczy patrzyły smutno i twardo, snąc widok Turskiego przypomniawszy mu tę niespodziewaną stratę, której pojąc dotąd ani zrozumieć nie umiał.

Turski w milczeniu przycisnął jego głowę do piersi i gorąco ucałował. Chłopcu drgnęły wargi i oczy napełniły się łzami, znać było, że walczy ze sobą całą mocą, aby się nie rozplakać wobec obcych ludzi.

Butrym z żoną usunęli się nieznacznie do drugiego pokoju.

— Iwo — szeptał Turski — nie płacz, nie płacz! Zaciśnij zęby. Tak trzeba.

— Wiem.

— To dobrze. Mój jesteś. Będziemy odtąd zawsze razem.

— Tak, proszę pana.

— Nie mów mi: panie. Mów mi... tak jest, miałem być mężem twojej matki, więc mów mi odtąd: ojciec...

— Ojciec — powtórzył chłopak i nagle wybuchnął przez zagryzione wargi płaczem, niedającym się dłużej powstrzymać.

Ojciec, Syn

— Czy wiesz, o czym myślałem — mówił Butrym do żony — patrząc na tych chłopców, bawiących się razem?

Drgnęła, jakby ze snu zbudzona.

— A, tak? Nie wiem. O czym myślałeś? — spytała obojętnie.

Przyciągnął ją ku sobie.

— Namyśl się, może zgadniesz sama! — rzekł żartobliwie.

— Skądże mogę wiedzieć. Zresztą tak jestem zmęczona, że naprawdę trudno mi teraz zagadki rozwiązywać.

— Zosik...

— Co?

— A gdy tak jak Iwo teraz z Jackiem będzie kiedyś Jacek z młodszym bratem swoim w tym pokoju się bawił?...

Chmura przebiegła jej po czole.

— Zośka, nic nie odpowiesz? — prosił cicho i tkliwie.

— Cóż mam odpowiedzieć? Robisz fantastyczne przypuszczenia.

— Czyż tak bardzo fantastyczne?

— Zapewne. Nie wie się w ogóle, co nas jutro może spotkać.

— To prawda, ale człowiek zawsze musi się liczyć z naturalnym biegiem wypadków. Inaczej życie byłoby niemożliwe.

— I tak nie bardzo jest możliwe.

Udał, że nie słyszy tej uwagi.

— A może ja naprawdę robię fantastyczne przypuszczenie? — mówił znów z uśmiechem. — Może to nie będzie syn tylko córka? Zośka, powiedz, chciałabyś, żebyśmy mieli córkę, taką malutką dziewczynkę, do ciebie podobną, która potem będzie rosła i biegała za tobą, i szczebiotała...

Patrzyła na niego badawczo i uważnie. Zmieszał go trochę jej wzrok.

— A może wolisz, aby w ogóle o tym nie mówić? W takim razie dajmy pokój.

— Nie. Owszem, mówić można, tylko... czyś się ty zapytał, czy ja w ogóle chcę mieć dziecko?

— Jak to?

— Naturalnie! Takie pytanie nawet do głowy ci nie przyszło. Przecież ja jestem na to, abym, gdy ty zechcesz, wydawała twoje potomstwo na świat!

— Nie sądziłem, abys mogła zająć takie stanowisko. Ale ostatecznie musisz się zgodzić z dokonany­m faktem...

— Więc?

— Wyciągnij sam z tego konsekwencje.

Kłopotliwy uśmiech przebiegł mu po wargach.

— Widzę, że niepotrzebnie i niezręcznie zacząłem dzisiaj tę rozmowę. Daruj mi. W złym jesteś humorze.

— Nie, nie! Ty mnie nie zbywaj tym, w jakim ja jestem humorze. Rozmowę tę trzeba było zacząć, a im wcześniej, tym lepiej. Dzisiaj musimy ją doprowadzić do końca.

Zaniepokojenie odbiło się na jego twarzy. Czuł jakiś zbliżający się cios, ale nie umiał zdać sobie sprawy, skąd by mógł uderzyć. Postanowił sobie być spokojnym i łagodnym.

— Dobrze, Zośka. Tylko nie wiem, do jakiego końca moglibyśmy dojść.

— Ja za to wiem i niewątpliwie.

— Słucham cię.

Brutalnie, nielitościwie padło z jej ust straszne słowo.

Zerwał się na równe nogi. Tego nie spodziewał się nigdy. Czuł, jak wszystka krew ucieka mu do serca.

— Nie, Zośka — zaczął jakimś niby nieswoim głosem — to niemożliwe. Ja się na to nigdy nie zgodzę.

— Musisz.

— Nie. Nie pozwolę, choćbym miał...

— A cóż ty tu masz do pozwalania lub nie? Czyż to nie jest wyłącznie moja sprawa?

— Dziecko jest moje.

— W istocie tak, ale ostatecznie jaki masz na to dowód? Równie dobrze mogłoby być kogo innego, a zawsze należeć do mnie i dlatego ja tylko mam tu prawo rozstrzygać...

— Zosik, pomówmy spokojnie. Przecież to wszystko nie ma sensu. Zastanów się... Wiem, że to dla ciebie trud i kłopot. Nie chciałaś mieć drugiego dziecka i szanowałem tę twoją wolę. Nie nalegałem nigdy. Ale dziś, kiedy szczęśliwy... czy nieszczęśliwy dla ciebie przypadek tak zrządził...

— Więc ja mam podlegać przypadkowi? Po co? Na co? Dlaczego? Ani myślę! Będzie tak, jak powiedziałam.

— Zbrodnia!

— Głupi wymysł! Tragiczny frazes z lichej komedii! Przecież to nawet żywe jeszcze nie jest...

— Nie mów tak. To po prostu okropne.

— A! Okropne! A to nie jest okropne, to nie jest zbrodnią, gdy moje życie się marnuje, gdy moje zdrowie na szwank się naraża? Czyż ja nie jestem ważniejsza w tym wypadku? Wszak nawet wasze mądre prawa, gdy trzeba wybór zrobić, każą ratować raczej życie matki.

— Wszak o tym nie ma tu mowy.

— Owszem, bo ja nie czuję w sobie sił ani zdrowia na tyle, nie potrafię, nie zniósę, nie chcę!

Wybuchnęła płaczem.

Chodził po pokoju, odwilżając językiem spiekłe w nagłej gorączce podniebienie i wargi. Był oszołomiony, a czuł, że musi się zdobyć na zupełną przytomność umysłu, bo oto ostatnia, rozstrzygająca bitwa w tych długich, lata całe trwających, zapasach.

— Pomyśl — zaczął znowu — że to, czego ty żądasz, jest daleko niebezpieczniejszym niż naturalny porządek rzeczy...

— Naturalny porządek! Oczywiście, w stanie moim nie ma nic nienaturalnego, to nie jest choroba, to zwykły bieg rzeczy! Wszakże wedle was, my kobiety stworzone jesteśmy na to... Och, jakiś ty podły! Jakiś ty podły!

— Za co mnie znieważasz?

— Boś podły! Samolubny! Zły! Zły! Chcesz mnie zniszczyć, zabić, życie moje zmarnować! A ty, triumfator, będziesz się cieszył „licznym potomstwem”, bo to przecie chluba wasza!

Wyraz strasznej, obłąkanej nienawiści zabłysnął jej w oczach.

Butrym drgnął. Miał wrażenie, że pękło w nim coś i rozłamało się. Więc ona tak myśli? Tak czuje? Po siedmiu latach... I za co? Za co? Uczuł nagle dławienie w krtani. Nie, nie! Tego nie można brać tak dosłownie. Ona jest nieprzytomna, zdenerwowana, to przejdzie, przejdzie, przejdzie, wszystko się ułoży, byle tylko zyskać na czasie.

— Uspokój się, Zośka — szepnął bezdźwięcznie.

Patrzyła na niego teraz nieco przytomniej.

— A zgodzisz się?

Potrząsnął głową.

— Nie mogę.

Wstała i zbliżyła się ku niemu z rozplomienionymi oczyma.

— Słuchaj, więc ja ci teraz powiem... Zgodzić się musisz. I nie tylko, że się zgodzisz, ale pójdziesz — zaraz jutro, sam — do lekarza i wytłumaczysz mu, że ze względu na moje zdrowie, operacja jest konieczna... poprosisz o konsylium i muszą... Twoja rzecz w tym, aby ci nie odmówili. Rozumiesz?

Mówiła to przez zaciśnięte szczęki, trzęsąc się na całym ciele.

Profesor w pierwszej chwili odruchowo chciał odmówić. Zmarszczył już brwi i usta otworzył, gdy naraz przyszło mu na myśl, że lepiej, gdy całą sprawę będzie miał w ręku. Może znajdzie jeszcze jaki wybieg, jaki sposób wyjścia. Znał ją, wiedział, że jeśli on teraz odmówi, ona się tym nie zadowoli, lecz z tym większym uporem będzie poza jego plecami dążyła do wykonania swego planu. A w takim razie wszelki wpływ jego byłby z góry udaremiony, nie mówiąc już o tym, że, sama sobie zostawiona, gotowa by szukać pokątnej porady, mogącej naprawdę grozić jej zdrowiu i życiu.

Wszystko to przebiegło mu przez myśl z błyskawiczną szybkością. Pochylił głowę ruchem przyzwalającym.

— Dobrze. Jeżeli tedy chcesz koniecznie...

Pochwyciła go nerwowo za rękę.

— Koniecznie. Muszę. Przecież ja sama... przecie to i dla mnie takie ohydne, ale — powtarzam — nie mam sił wytrwać, nie mogę, obłądu bym dostała! Odebrałabym sobie życie...

Usiadł i przyciągnął ją ku sobie.

— Pomyśl jednak, że to naprawdę jest rzecz straszna i — pomijając wszelkie kodeksy — zbrodnia większa, aniżeli zabójstwo dorosłego człowieka.

Ruszyła niechętnie ramionami.

— Nie rozumiem tego. Przecież to nic nie jest jeszcze.

— Owszem, to jest życie, które się staje. Zabójstwo człowieka dorosłego jest czynem dającym się określić ze względu na swoją wartość ujemną: wiemy, co społeczeństwo czy rodzina, czy kraj tracą w owym człowieku. Ale przerywanie życia w ząbku wyrasta do jakiegoś potwornego wdzierania się w zarządzenia losu, bo nie wiadomo nigdy, co ginie w tym życiu, jakie możliwości przyszłego rozwoju, jakiemu przeznaczeniu tama się kładzie. Pomyśl, że każdy z geniuszów ludzkości był niegdyś takim „niczym” i tak samo matka mogła o nim powiedzieć...

— Wieczne deklamacje i tragizowania. Skąd wiesz, że byłby to geniusz? Może właśnie wprost przeciwnie, zbrodniarz jaki, niedołęga, kaleka, wyrzutek, a wtedy lepiej, że nie będzie żył. Obie możliwości można zarówno przypuścić, z tym tylko jeszcze dodatkiem, że na świecie jest więcej ludzi złych, głupich i nieszczęśliwych, aniżeli geniuszów, a więc to właśnie prawdopodobniejsze...

— Tak, ale...

— Zresztą nie ma o czym mówić — przerwała mu. — Zgodziłeś się już i rzecz jest postanowiona.

— Zapewne, ale ja ciągle jeszcze przypuszczam, że się rozmyślisz.

— Nie ludź się co do tego.

— Zośka, a czy tobie nie przychodziło na myśl, że to jest moje dziecko? Moje?

Potrząsnęła głową powoli i stanowczo.

— Nie. O tym nie myślę wcale.

— Dlaczego? Dlaczego?

— Ach, Boże... Udział mężczyzny jest taki śmieszny i nic nieznaczący.

Nachylił się ku niej, panując nad sobą całym wysiłkiem woli.

— Przecież to ten dzień w Wenecji — zaczął szeptać błagalnie — ten dzień jasny, kiedy nam tak dobrze było ze sobą... kiedyś mnie kochała, Zośka!

— Nie myślałam wtenczas wcale o tobie.

— Jak to?

— To takie proste. Byłam nie wiadomo dlaczego w usposobieniu... romantycznym... ty przyjechałeś...

— A gdybym ja nie był przyjechał?

— Toby nic nie było. Wstręt mam do wszystkich mężczyzn. Do ciebie się już przyzwyczałam. Ale po cóż kłamać, że myślałam o tobie albo ciebie pragnęłam? Owszem, wyobrażałam sobie, zupełnie dziecinnie, że to jakaś bajka, że jakiś zaklęty królewicz... bo ja wiem zresztą co?

Zakryła naraz oczy rękoma.

— Ach! I z tego teraz taka ohyda! Taka ohyda...

Butrym siedział błąd, na zagryzionej kurczowo wardze pojawiły mu się krople krwi...

XI

— Otóż przychodzę nareszcie do ciebie jako do lekarza, abys mi poradził — mówił Butrym do Krasołuckiego, siląc się na swobodny ton.

— O! Cóż takiego?

Profesor zarumienił się.

— Rzec jest właściwie trochę drażliwa...

— Czyżbyś sobie przypomniał... kawalerskie czasy wraz ze złymi skutkami? — zaśmiał się Krasołucki. — No, no, nie martw się. Będziemy jakoś radzić.

— O nic podobnego nie idzie.

Doktor spojrział mu w twarz i spoważniał w jednej chwili.

— Czego ci brakuje? — spytał krótko.

— Mnie nic...

— Żonie...

— Nie... to jest... Owszem, w domu wszyscy zdrowi.

Krasołucki ujął go za rękę i poprowadził do fotelu. Usiadł naprzeciw i wpatrzył mu się w oczy dobrym, rozumnym wzrokiem.

— Widzę jednak — rzekł po chwili — że jest naprawdę coś poważnego. Jeśli ci tylko mogę być pomocnym.

Butrym spuścił głowę.

— Tak mi głupio mówić o tym...

— Uspokój się przede wszystkim. Ja jako lekarz różne, różne rzeczy słyszę. Może kieliszeczek koniaku?

Podziękował ruchem dłoni.

— Tak, potrzebuję twojej pomocy i to bardzo. W dobrej sprawie, w dobrej sprawie, choć tak krzywą drogą muszę do niej dążyć.

— Bywa.

— Słuchaj, ja... to jest moja żona — wykrztusił przez ściśnięte gardło — moja żona... spodziewa się... dziecięcia.

Krasołucki skinął głową.

— Aha. Rozumiem. A ty, moje złoto, uważasz, że ten nowy obywatel wcale światu nie jest potrzebny i chcesz zatem... Ja wprawdzie nie zajmuję się takimi rzeczami, ale z przyjaźni mogę ci wyszukać jaką szuję, co nie siedzi dotąd w kryminale...

Butrym stał już i usiłował przerwać lekarzowi.

— Nie, nie, nie! Wcale nie o to chodzi! Raczej wprost przeciwnie!

— Jak to?

— Ja chcę właśnie, aby dziecko żyło!

— Bój się Boga! Więc po cóż do mnie przychodzisz? — wykrzyknął Krasołucki z zupełnie szczerym zdziwieniem.

Butrym zmieszał się i poczerwieniał znowu. W milczeniu przeszedł kilka razy po pokoju, a potem usiadł znów w fotelu i objął skronie rękoma, zakrywając równocześnie — niby mimo woli — oczy przed wzrokiem lekarza.

— To długa historia. Muszę ci wszystko opowiedzieć — rzekł po chwili.

I zaczął opowiadać. W miarę, jak mówił, Krasołucki, który siedział naprzeciw niego z dłońmi opartymi na rozstawionych kolanach, otwierał coraz szerzej oczy i usta. Bezmiernie zdumienie malowało się w jego twarzy.

— Ależ w takim razie — rzekł wreszcie, gdy Butrym skończył — możesz przecież wprost pani twojej powiedzieć, że nie chcesz, że się nie zgadzasz czy nie pozwalasz...

— Mogłaby szukać porady poza moimi plecami — szepnął.

— Racja. Dzisiaj za pieniądze wszystkiego dostanie. Jednak to już twoja rzecz, żebyś dopilnował i nie dopuścił do żadnych operacji. Jeśli tylko stanowczo wystąpisz...

— Nie mogę wystąpić stanowczo.

— Dlaczegoż to?

Butrym się zawahał. Krwawy rumieniec wystąpił mu znowu na czoło. Krasołucki to zauważył.

— Jeśli ci nieprzyjemnie mówić...

— Nie. Kiedy zacząłem, muszę ci powiedzieć wszystko, zwłaszcza, że twojej pomocy potrzebuję. Widzisz... między nami nie jest zupełnie tak dobrze jak ludzie sądzą. W szczególności nie będę się wdawał. Wiele się rwie, a ja nie mogę dopuścić do ostatecznego rozdarcia, bo... bo... ta kobieta nie jest mi obojętna... Ja ją muszę zatrzymać przy sobie, rozumiesz mnie? Nie tylko fizycznie, ale i duchowo. Gdybym teraz wystąpił stanowczo i oparł się, ona by mi tego nigdy nie darowała.

— Tchórzysz?

— Tchórzę.

Krasołucki pokiwał głową.

— Rozumiem, niestety, rozumiem i to. Ale w takim razie nie pozostaje ci nic innego, jak zgodzić się.

— Nie chcę. Nie mogę. Władku, nie pytaj mnie o wszystko, bo o wszystkim trudno mi mówić, ale to wiedz, że — poza innymi względami — ja w tym dziecku widzę ostatni ratunek dla siebie, dla nas obojga. Zbyt daleko odeszliśmy od siebie, może nas to znów połączy...

— Ano, niechże ci będzie. Byłeś się tylko nie ludził. Powiedź mi jednak, moje złoto, w czym ja ci tu mogę być pomocnym? Nie żądasz chyba, abym ja poszedł do twojej pani i namawiał ją, aby zamiast francuskim zdrożnościom hołdować, raczej tak, jak Pan Bóg przykazał i matki nasze robiły...

— A, nie! To nie doprowadziłoby do niczego.

— Naturalnie. A więc?

Butrym ożywił się.

— A więc ułożyłem taki plan: Przyprawdę żonę do ciebie. Powiem, że ty z przyjaciela dla mnie, na moje prośby zgodziłeś się... i wyszukasz specjalistę... Uspokoi się wtedy, nie będzie szukała na własną rękę a my zyskamy trochę czasu. Twoja głowa w tym żeby jakoś zwłóczyć. Może ona sama się tymczasem rozmyśli, a jeśli nie to wezwiesz wreszcie ginekologa na konsylium — uprzedzimy go naturalnie. Powiecie że już za późno, czy że jej organizm słaby i nie zniósłby... czy też wymyślicie co innego, byle tylko zapobiec, uchronić, nie dopuścić, nie dopuścić, na miłosierdzie boskie! Do takiej strasznej rzeczy, przed którą — wszystko już pomijając — wstręt mam tak niesłychany!

Zaległo na jakiś czas milczenie. Krasołucki chodził teraz po pokoju krokami tak wielkimi, jak tylko na to pozwalały krótkie jego nogi. Zaplótł ręce końcami palców na krzyżach i pokręcał co pewien czas głową.

— Kręte drogi wybierasz, moje złoto. Bo ja wiem, bo ja wiem, czy to będzie dobrze? Wedle mojego rozumienia to najlepiej by było tak po chłopsku czy po szlachecku: siedź aśka w domu i głupstwa sobie wybij z głowy, na to Pan Bóg stworzył kobietę!

— Gdybym to mógł!... — szepnął Butrym.

— A tak, serce, ja cię rozumiem. Gdybyś ty mógł! Ale nie możesz, więc budujesz gmach filigranowy, do diabła! Strasznie filigranowy, który pod lada ciężarem może się rozpaść. A czy pomyślałeś, co będzie wtedy, jeśli przez jakiś przypadek żona twoja dowie się o wszystkim, że ty, niby wolę jej czyniąc, w istocie robiłeś, co tylko mogłeś, żeby stanąć w poprzek jej życzeniom? Pomyśl, moje złoto, że kobiety są uparte i mściwe?

Butrym siedział z twarzą schowaną w obu dłoniach.

— Trudno, nie mam nic do stracenia — rzekł głucho. — Gorzej być nie może, niż jest.

— Mylisz się. Z kobietą często nie może być lepiej, ale gorzej zawsze jeszcze może być. Miej się na baczności.

Po chwili milczenia profesor wznosił głowę.

— Więc odmawiasz? — spytał powstając.

— Ale gdzież tam, moje złoto, zgadzam się. Możesz panią od razu jutro do mnie przyprowadzić. Cieszę się u niej tak paskudną opinią, że uwierzy na pewno, iż ja się wszystkiego podjąłem...

— Co do opinii...

— Tak, tak, ma mnie za szubrawca jak większość kobiet, zwłaszcza żon. Mniejsza o to. O specjalistę wystaram się łatwo, bo przecież w końcu o dobrą rzecz tutaj idzie.

— Dziękuję ci.

— Nie ma za co. Oby tylko wszystko...

Urwał naraz i wpatrzył się w profesora.

— Słuchaj no, a gdyby tak niespodziewanie po zbadaniu pani okazało się, że... taki zabieg jeśli już nie konieczny, to jednak jest wskazany?

Butrym rozłożył ręce.

— Rzecz prosta, że wtedy muszę ustąpić. Przegrałem walkę z losem.

— No, no, nie bierz rzeczy tak tragicznie. O ile znam konstytucję twojej pani, sędzę, że nie ma obawy o to. Kobieta jak młody dębczak. A że tam pewno są różne nerwowe dolegliwości, to taka zwykła rzecz w dzisiejszych czasach. Z tego nikt nie umarł. Zawsze niebezpieczniejsze są te... sztuczne figle.

Butrym milczał posępnie.

Krasołucki patrzył na niego a potem zaczął kręcić znów głową.

— A wiesz, że jednak dotąd nie mogę wyjść ze zdumienia. To jest po prostu niesłychane. Przychodzili tu do mnie nieraz rozmaici mężowie i nie mężowie, ale zawsze z prośbą o coś wprost przeciwnego. Wyprawiałem ich do wszystkich diabłów albo, gdy mnie już bardzo znudzili, do tego żydka z naprzeciwwka, którego dotąd jeszcze nie zamknięto. Ale żeby ktoś z takim interesem jak ty dzisiaj!... Po raz pierwszy w życiu to mi się zdarza, choć jestem już eskulapem — tfy! — coś ze trzydzieści lat blisko.

— A widzisz, bywa i tak — rzekł Butrym krótko i chciał się pożegnać, ale Krasołucki zatrzymał go jeszcze.

— Cenię cię za to, ale czy ty jednak, moje złoto, nie tragizujesz zanadto — zagadnął — i nie robisz *grande chose*¹¹⁰ z rzeczy, która ostatecznie jest głupstwem, jak dziś postępowi ludzie powiadają?

Profesor z wolna potrząsnął głową przecząco.

— Dla mnie to nie jest głupstwo.

— Ha, być może. Nie znam się na tym, muszę ci wierzyć na słowo. Nigdy nie byłem tak bardzo żonaty ani do ojcostwa nie miałem pociągu. Co kto lubi. Ja w skuteczność takiego wrzeszczącego węzła między dwojgiem ludzi, którzy się już tyłem do siebie odwracają, nie wierzę, a na twoim miejscu, po prostu aby się zbyć kłopotu, gdybym nie mógł przeszkodzić, machnąłbym ręką: rób sobie, co chcesz, babo... O, pardon!

Uderzył się dłonią w usta.

Butrym stał zamyślony i milczący. Po chwili podniósł głowę i spojrzał na lekarza szeroko rozwartymi jasnymi oczyma.

— Poza wszystkim — rzekł — mam bałwochwalczą cześć dla tajemnicy życia i boję się ściągać na to ręki...

— *Tatwami*¹¹¹ — szepnął Krasołucki, poważniejąc.

— Tak jest. Zwłaszcza, gdy chodzi o człowieka, który z takiego nikłego początku wyrasta na cały świat, myśli, uczuć, czynu.

¹¹⁰*grande chose* (fr.) — wielka rzecz. [przypis edytorski]

¹¹¹*Tatwami* — popr. *Tat twam asi* (sansk.): ty jesteś owym; jedna z najslawniejszych tzw. wielkich wypowiedzi (*mahawakja*) zawartych w *Upaniszadach*, wyrażająca jedną z podstawowych tez indyjskiej filozofii: jaźń jest identyczna z brahmanem, jedyną, niezmienną rzeczywistością, podstawą i źródłem wszystkich zjawisk. [przypis edytorski]

— Masz rację, może masz rację. Tak mawiał jedyny mój przyjaciel z pasieki na futorze za naszym sadem. Staruszek towiańczyk.

Zadrżał na całym ciele.

— Uderzyłeś mnie słowem, o którym w ciągu życia tak się zapomina. Tajemnica... Tajemnica życia i śmierci! Któż to powiedział takie głupstwo, że kobieta życie daje? To tylko bierne i odporne narzędzie i gdyby od niej wyłącznie zależało, byłaby jeno śmierć, śmierć, śmierć.

Butrym nie słuchał, w myślach swych pogrążony.

— Więc jakże? — pytała Bergerowa, nieco zakłopotana, udając, że patrzy w bok z roztargnieniem.

Doktor Podkiecki uśmiechnął się dobrotliwie pod malutkim, ślicznym wąsikiem.

— Ach, proszę pani, przecież to drobnostka.

— O, jaki pan dobry!

— To nawet z dobrocią nic do czynienia. Ja po prostu ze swego stanowiska uznaję najzupełniej prawo kobiety do rozporządzania życiem, które daje. Zwłaszcza dopóki ono w niej samej się chowa i nie zostało oddane na własność społeczeństwa. Bo wtedy naturalnie postać rzeczy się zmienia. Wtenczas człowiek staje się wykładnikiem pewnej wartości ogólnej i tylko społeczeństwo jedno ma do niego prawo...

Pani Bergerowa zrozumiała z tego wszystkiego jeno to, że ten kochany doktor Podkiecki zgadza się i że się Zośka bardzo, bardzo ucieszy.

— Ach, jak to cudownie — przerwała mu — że pan ma takie poglądy o społeczeństwie. Pan jest bardzo kochany i rozumny człowiek!

— Jestem tylko sprawiedliwy — rzekł z bezprzykładną skromnością.

— Ale mój panie złociutki, niech pan mówi prędko, jak to zrobić? Kiedy? Gdzie?

— Jak to kiedy i gdzie? — obruszył się z lekka doktor.

— No tak, rozumie pan, żeby nie było skandalu...

— Nie jestem pokątnym trucicielem. Jeśli co robię, to robię z zasady i zgodnie ze swymi przekonaniem. Wszystko otwarcie.

— Ależ podobno są jakieś tam ustawy...

— Ach, ustawy, ustawy! W dzisiejszym społeczeństwie jest mnóstwo ustaw przestarzałych i zgola głupich, powiedziałbym nawet barbarzyńskich, o ile się odnoszą do kobiety.

— Ma pan najzupełniejszą rację. Tylko... jak to zrobić?

— Nic łatwiejszego. Ustawa głupia i barbarzyńska odznacza się zawsze tym, że ma w sobie... dziurę!

— Ma dziurę? Och, jak to dobrze! Niech pan powie.

— Proszę pani, jednemu lekarzowi nic nie wolno, ale dwóch może wszystko. Jeżeli konsylium orzeknie, że jakiś zabieg jest ze względu na zdrowie pacjentki konieczny, jesteśmy najzupełniej kryci wobec prawa i nikt nam nic absolutnie zarzucić nie zdoła.

— A to konsylium?

— Zrobi się. Niech pani przyjaciółka przyjedzie do mnie. Ja jej wskażę drugiego lekarza, który również światle i postępowo na rzecz się zapatruje. Wydamy orzeczenie, że... z powodu... no, powód się wynajdzie. Potem ta pani uda się do którejkolwiek prywatnej lecznicy, to zawsze lepiej niż w domu, my zawiadomimy władze i w parę godzin będziemy ze wszystkim gotowi.

— Cudownie, cudownie! Gdyby to nie było w publicznym miejscu i gdyby ludzie na nas nie patrzyli, uściskałabym pana!

— Nie dość zasłużona byłaby nagroda.

— Ale a propos nagrody... Co do honorarium...

— Nie, pani. Takich rzeczy za pieniądze się nie robi. Powiedziałem już, że nie jestem pokątnym trucicielem i jeśli co robię, to tylko z zasady. Pomagam w ten sposób często biednym robotnikom, dla których zbyt liczna rodzina byłaby ciężarem nie do zniesienia, dla czegoż dzisiaj nie mam również bezinteresownie pomóc komuś, kogo pani popiera? Jedyny wydatek, jaki przyjaciółka pani będzie miała do poniesienia, to zwykła dzien-

na opłatę w lecznicy, którą sobie wybierze. Jeśliby to jednak było zbyt ciężko dla niej, pozostaje szpital...

— Nie. To zamożna osoba.

— Któż to taki? Bo dotąd nie zapytałem o nazwisko...

— Butrymowa.

— Co? Żona profesora?

— Tak.

Doktor Podkiecki pokręcił głową.

— No, no! No, no!

Bergerowa z niepokojem śledziła grę wyrazu na jego twarzy.

— Ale to przecież chyba nie zmienia postaci rzeczy? — spytała po chwili.

— Bynajmniej! Bynajmniej! Tylko... czy profesor się zgadza?

— Tak jakby...

— To źle. Powinien się zgodzić zupełnie.

— Czy to konieczne?

— Nieodzowne. Inaczej moglibyśmy mieć nieprzyjemności... licho wie co.

Wdówka zamyśliła się na chwilę.

— Ach, to już rzecz Zośki! — Wykrzyknęła wreszcie. — Niech sobie radzi z mężem jak chce.

— Niewątpliwie sobie poradzi — uśmiechnął się doktor.

Po czym wkrótce pożegnał się i wyszedł z kawiarni, kędy wraz z Bergerową siedzieli. Plucha na dworze była ohydna. Topniejący śnieg, nie dość rażno zgarniany, zalewał ulice grząskim, zimnym błotem, w powietrzu wisiała przenikliwa wilgoć, nie zdecydowana jeszcze, czy się ma w deszcz czy w nowy śnieg zamienić. Doktor podniósł kołnierz od płaszcza, a spostrzegłszy, że w pobliżu nie ma dorożki zaklął z cicha, wsadził ręce wraz z laską do kieszeni i ruszył piechotą przez planty.

Jakieś dziwne i nieokreślone uczucie w nim kołowało. Zbudziło się w nim w chwili, gdy posłyszał nazwisko swojej nowej pacjentki. Profesora Butryma nie znał osobiście, ale widywał go często i nie wiadomo dlaczego — nie lubił. Wydawał mu się nieprzystępnym, ponurym i wyniosłym.

Uśmiechnął się mimo woli.

— Tam jednak... coś jest!

Ruszył ramionami.

— Ach, co mnie to obchodzi! — mówił w myśli do siebie. — Robię przecież tylko to, co zrobiłbym dla każdej kobiety, w podobnym wypadku potrzebującej pomocy. A że to przypadkowo jest Butrymowa...!

Mimo to doznawał jakiegoś śmiesznie łaskotliwego uczucia i małego triumfu. Choć nie był złośliwy, uśmiechał się w duszy, jakby splotał komuś doskonałego figla. Oto pan profesor Butrym, sławny uczony, może sobie chcieć lub nie chcieć, a on, doktor Alfons Podkiecki, tak sprawą pokieruje, że stanie się to, co chce pani profesorowa! Są na wszystko sposoby i bardzo przyjemnie jest zrobić to, czego sobie życzy kobieta...

Zmarszczył brwi i usunął się na bok. Aleją naprzeciw niego toczył się doktor Krasońki. Pan Alfons jako człowiek nieskazitelnym i pełen zasad, nie był rad spotkać się z tym sprośnym grubasem, który — wedle jego przekonania — był przez swój sposób życia „istną zakałą stanu lekarskiego”. Udał więc, że patrzy na wróble, kryjące się pod bezlistnymi gałęziami, szczęśliwie wybrnął z niebezpiecznego spotkania.

— Tak, tak, takie egzystencje wytwarza i utrzymuje tylko ustrój kapitalistyczny — mruknął i przyspieszył kroku, przypomniawszy sobie, że w domu jest ciepło i zacisznie, i że go tam czeka młoda żona ze smaczną kolacją.

Profesor Butrym nerwowym krokiem krążył po swojej pracowni. Czuł dziwne, nie-naturalne podniecenie, język wysychał mu wciąż jakby w gorączce. Podchodził co chwilę do małego stolika w kącie pokoju i wychylał szklankę wody. Intryga, którą uknuł, wydawała mu się niezmiernie chytrą i zręczną, był pewien, że go nie zawiedzie, a jednak nie mógł się oprzeć ogarniającemu go niepokojowi. Właściwie bez powodu... Po raz dziesiąty przechodził w myśli wszystkie szczegóły i widział po raz dziesiąty, że się wszystko musi

udać. Jutro zaraz pójdzie z żoną do doktora Krasońckiego. A potem... Potem w jakiś czas, gdy lekarz jej wytłumaczy rzekomą niemożliwość tego, czego ona sobie życzy, będą zapewne łzy i gniewy, ale w końcu zgodzi się ze swym stanem.

Przystanął na środku pokoju.

— Zośka, Zośka — szeptał — ty nie wiesz nawet, jaki ja potrafię być dobry dla ciebie, aby tę twoją przykrość okupić! Choćbyś nie wiedzieć co mówiła, robiła ze mną nie wiedzieć co...

Przyciskał ręce do piersi i drżał w jakiejś wizji szczęścia, którego tak strasznie, tak rozpaczliwie pragnął. Chwytał się jak zbawienia tej nikłej nadziei, że teraz „będzie inaczej”.

— Moja będziesz, moja! Los sam chciał, żebyś stała się na powrót moją, daruj mi, że wbrew twojej woli i wszelkimi sposobami walczę o to, ale to będzie nasze wspólne szczęście...

I znowu uczuwał niepokój. Coś jakby wyrzut, że niewłaściwą idzie drogą i nie prostą. Na moment przyszło mu na myśl, aby dać pokój tej intrydze i raczej pomówić z żoną szczerze, wytłumaczyć, przekonać, a gdy się to nie da, prosić jeszcze jak o łaskę najwyższą, jedyną, aby nie niszczyła tej iskry tlejącego dopiero życia, której uczepiła się cała nadzieja jego dojrzałego, męskiego serca. W tejsze jednak chwili błysnęły mu w oczach z uporem zacięte wąskie usta pani Zośki i jej chłodny, nielitościwy wzrok...

— Nie ma rady — szepnął znów prawie głośno. — Nic jej nie wytłumaczę, bo ona zrozumieć nie chce, a nic nie uproszę, bo tym bardziej będzie chciała swoją zrobić wolę... Muszę już iść tą jedyną drogą, którą wybrałem.

Tak pomyślał, ale smutek go ogarnął nagle ciężki i przygnębiający. Usiadł w fotelu przed biurkiem i ścisnął skronie rękoma.

— Owszem — myślał — muszę kłamać i grać komedię, muszę! Aby podejrzeń jej nie obudzić, powinienem udać, że mnie przekonała i ja z dobrej woli godzę się teraz na wszystko.

Zatrząsał się ze wstrętem.

— Zośka, Zośka! Czemu ty mnie zmuszasz do tego? Czemuż nigdy i nigdy porozumieć się nie możemy...?

Siedział w milczeniu, zastygły i prawie bez myśli. Po całodziennym nerwowym podnieceniu wszystko w nim naraz rozluźniło się i opadło. Pozostało tylko nieznośne uczucie, jakby niepotrzebnie połkniętego ogryzka, który tkwił teraz w gardle czy w sercu i dusił go...

Nagle doznał dziwnego wrażenia. Bez żadnej widocznej przyczyny stanął mu w myśli Firdussi. Jako żywy. Chwila pożegnania. Widzi go niemal szeroko rozwartymi oczyma przed sobą. Czuje dotknięcie niesamowite jego przedziwnej ręki. I słyszy słowa. Te tak niepojęte i natychmiastowo zapomniane słowa... Chwyta już uchem ich dźwięk, dotąd obcy, ale moment jeszcze, pół momentu, a przypomni sobie ich treść, zrozumie znaczenie...

Drzwi się otwarły. Pani Zośka weszła do pokoju. Zarękawek rzuciła na sofę i podniósłszy woal z zaróżowionego chłodem noska, podała mężowi policzek do pocałowania. Zauważył, że jest wesoła i ożywiona. Wziął to za dobrą wróżbę. Gorączkowe podniecenie znów go ogarnęło. Zerwał się i z mimowolnym lękiem wewnętrznym, aby nie przepuścić pomyslnego momentu, zaczął mówić głośno i bezładnie. Kłamał i nawet nie dziwił się, że kłamię tak dobrze. Jak wprawny aktor, który jednak cokolwiek się „zgrywa”, opowiadał z podejrzaną przesadą, ile trudu sobie zadał, aby stosownie do jej życzenia wynaleźć chętnego lekarza... Trzeba było być ostrożnym, tak jest bardzo, bardzo ostrożnym. I takie to było przykre. Ten i ów odmówił. Inny wziął wprost propozycję jego za osobistą obrazę. Aż trafił nareszcie na Krasońckiego... Ona ma do niego uprzedzenie, ale niesłuszne, bo to doskonały lekarz. Postara się sam o specjalistę, który rzecz załatwi, naturalnie o ile się tylko da. Bo czasami bywają przeszkody. Ale trzeba mieć nadzieję, że w tym wypadku nie będzie żadnych. Zaraz jutro pójda oboje razem do Krasońckiego...

Powiedział już wszystko, co sobie był ułożył i zamilkł nieco zakłopotany, że nie ma już nic więcej do powiedzenia. Pani Zośka nie odpowiadała. Zaniepokoiło go to. Podeszedł ku niej — usiadła była bowiem na sofce — i zacierając ręce rzekł z nieszczerym uśmiechem:

— Cóż? Rada jesteś...

Spojrzała nań z roztargnieniem.

— Tak, tak. Dziękuję ci.
 — Więc zaraz jutro idziemy.
 — Nie. Już nie potrzeba.
 Uderzyło go niedobre przeczucie. Czuł, że błędnie.
 — Jak to?
 — Nie wiedziałam, czy się uda, więc robiłam starania na własną rękę.
 — Sama!?
 — Przez Bergerową.
 — A tej małpie co do tego?! — wykrzyknął zgoła nieoględnie.
 — Jak to: co jej do tego? Prosiłam ją. Tak samo jak siebie.
 — Tak, tak, masz rację — rzekł, starając się opanować. — I cóż ?
 — Rzecz nie przedstawia zgoła żadnych trudności. Znalazła lekarza... Butrym uczuł, że dłoń jakaś niewidzialna ściska go nagle za gardło.
 — Zapewne jakiegoś konowała — wykrztusił — truciciela bez sumienia i czci, który ci może zdrowie zrujnować na całe życie.
 — Przeciwnie. Jest to nader wzięty specjalista, przy tym człowiek młody, przystojny i bardzo miły. Na jej prośby podjął się rzecz załatwić i zrobi to otwarcie, bez niepokojących tajemnic, przez konsylium...
 — Któż to taki?
 — Doktor Podkiecki.
 — Doktor Podkiecki — powtórzył Butrym głucho.
 — Będę jutro u niego.
 — Jutro? Już?
 — Wszak sam mówiłeś, żeby zaraz jutro... tylko, że ja nie do Krasołuckiego...
 — Ależ... przecież nie może od razu?
 — Nie. Jutro ma mnie tylko zbadać.
 — Kiedy będziesz u niego? — zapytał naraz twardym głosem po chwili kłopotliwego milczenia.
 — O ósmej rano. Później jedzie do chorych...
 Profesor usiadł znów w krześle przed biurkiem. Wir sprzecznych myśli i uczuć kłębił mu się w duszy. Odruchowo chciał już powiedzieć żonie wszystko, przyznać jej się, co był z Krasołuckim ułożył i błagać ją, aby zamiar swój porzuciła...
 Spojrzał na nią i w tymże momencie uczuł całą bezcelowość takiego postąpienia. Pani Zośka z zaciśniętymi ustami patrzyła chłodnym, nieco roztargnionym wzrokiem przed siebie... Wiedział, że gdy do niej przemówi, spojrzy nań obojętnie zimnym połyskiem tych oczu o zmiennym kolorze morskiej wody, usta silniej zaciśnie, wzruszy w nieokreślonym ruchu lekceważąco ramionami i w ślepych uporze zacięta nie będzie nawet rozumiała tego, co on jej powie. Wszak w tej chwili chodzi jej już tylko o to, aby postawić na swoim.
 Nagle krew mu w skronie uderzyła. Ścisnął szczęki i namarszczył czoło. Zaciekłość i w nim się obudziła.
 — Walka? — myślał — więc dobrze! Zobaczymy, kto będzie silniejszy. Ja i teraz jeszcze sposób wynajdę!
 Z na w pół nieprzytomnym natężeniem zaczął liczyć godziny i minuty, które mu jeszcze do jutrzejszej ósmej godziny ranej pozostawały. Nigdy jeszcze żadnego astronomicznego obliczenia nie robił z taką uwagą, jak tę prostą rachubę¹¹², która nadto ciągle się mu plątała. Miał wrażenie, że jest skazańcem szukającym ratunku przed godziną egzekucji, a równocześnie czuł, że jakiś nerwowy skurcz twarzy ściąga mu usta w grymas jak gdyby uśmiechu...
 — Z czego się śmiesz? — spytała pani Zośka, która patrzyła nań już od paru chwil. Ocknął się.
 — Nic... Przypomniało mi się w tej chwili, że mam jeszcze ważną obserwację astronomiczną zrobić dziś wieczorem...
 — Wyjdiesz?
 — Tak. Wyjdę w tej chwili...
 Ruszyła ramionami.

¹¹²jak tę prostą rachubę — dziś poprawnie: jak tej prostej rachuby. [przypis edytorski]

— Jak chcesz. Ale nie siedź długo, bo jutro o ósmej musisz iść ze mną do Podkierkiego i powiedzieć mu wyraźnie, że się zgadzasz.

Miał już wyjść z pokoju — zawahał się jeszcze na moment.

— Słuchaj — zaczął — a może by tak jeszcze zastanowić się, rozważyć rzecz dobrze, nim klamka zapadnie.

— Zastanowiłam się i rozważyłam. Nie ma o czym mówić. Jeślibyś robił trudności albo przeszkadzał mi, z miejsca wyskoczę oknem na ulicę.

— Ależ dlaczego? Zośka! Dlaczego?

— Bo nie chcę. Rozumiesz mnie? Nie chcę!

— To takie straszne...

— Nie bój się. Operacja zupełnie łatwa.

— Nie o tym mówię. Ale moralna strona...

— Ach! Strona moralna! Dobrze tobie mówić, gdy ciebie nic nie czeka. Zresztą po co próżno słowa tracić? Zgodziłeś się już i sprawa załatwiona.

Na ulicy skoczył w pierwszą napotkaną dorożkę i kazał się wieźć do mieszkania Bergerowej.

Wdowa przyjęła go z rzeczywistym zdumieniem.

— O, wielcy bogowie! Co? Mamże oczom wierzyć? Profesor u mnie we własnej osobie?

Butrym przywitał się krótko i od razu przystąpił do rzeczy.

— Żona moja była u pani?

— Wszak pan wie że zachodzi często — odparła Bergerowa przezornie przypatrując się badawczo ściągniętej i wyburzonej twarzy profesora.

— Prosiła panią o pomoc...

— W czym?

— Pani wie dobrze.

— Ach, więc o to idzie! Drobnostka. Zrobiłam dla niej, co mogłam. Rada jestem, że się udało.

— Czemu się pani wtrąca do nie swoich rzeczy? — wyrwało mu się właściwie mimowolnie.

Bergerowa powstała.

— Jak to? Gdy Zośka sobie życzyła?...

— A spytała pani, czy ja sobie życzę?

— Pan? — rzekła zgoła wyzywająco — Pan? A cóż panu do tego? Czyż Zośka nie ma prawa rozporządzać sobą wedle własnej woli? — powtarzała słowa od Butrymowej przed paru dniami słyszane.

— Tak! Sobą, ale dziecko jest moje! — wybuchnął.

— Przypuśćmy, ale to nie wielka sztuka i pana to chyba wiele nie kosztuje, ją zaś przeciwnie. A zresztą, skądże mogłam wiedzieć, że pan się nie zgadza, gdy ona mi powiedziała...

Ruszyła ramionami, ziewnęła sztucznie i spojrzała na zegarek.

Butrym uczuł, że mimo woli w zupełnie głupi sposób rozpoczął rozmowę. Wszakże nie o to mu chodziło, aby się kłócić z Bergerową lub robić jej próżne wyrzuty. Szukał słów, jakby rzecz naprawić, gdy ona, stojąc wciąż, odezwała się po chwili milczenia:

— Byłoby naprawdę wskazane, żebyście państwo załatwiali sprawy między sobą u siebie w domu, a nie mieszały w nie osób trzecich. Tak muszę panu po prostu powiedzieć. Naprzód żona pańska przybiegła do mnie, rozpacza, prosi, błaga o ratunek, ja się męczę, szukam, chodzę, a kiedy nareszcie zrobiłam, czego chciała, pan mi przychodzi robić awanturę! Przyznam się panu, że to jest nadzwyczajne.

— Pani Wando! Niech pani nie gniewa, jestem doprawdy tak wzburzony, że już nie panuję nad sobą. Ach! Po co pani do tego rękę przyłożyła!

— Powiedziałam już. Bardzo pana dotąd lubiłam ale teraz... chciałabym mieć wieczór spokojny.

— Rozumiem. Pani mnie wyrzuca. Ale ja i tak jeszcze nie pójdę.

— Proszę. Więc niech pan siada.

Butrym jednak nie usiadł, lecz chodził po niewielkim pokoju.

— To jest straszne, to straszne! — powtarzał.

— Ach, niechże pan nie robi z głupstwa tragedii! Przecież to rzecz taka zwykła i dzisiaj niemal codzienna... Niech pan zapyta lekarza.

— Może. Ale mimo to nie przestaje być zbrodnią.

— Śmieszny pan jest. Doprawdy, że człowiek w pańskim wieku i na pańskim stanowisku...

Profesor przystąpił do niej cały rozogniony.

— Tak jest proszę pani. Nie cofam wyrażenia: to jest zbrodnia i nie tylko... wobec tego życia samego, które się gasi w zaczątku, lecz także wobec społeczeństwa, wobec naszego zwłaszcza społeczeństwa, naszego narodu, dla którego po prostu warunkiem istnienia stało się to, aby się mnożył energicznie...

— Choćby na najgorszą nędzę i ciemnotę, choćby na łup wszystkim chorobom!

— Chociażby nawet! — krzyknął Butrym w zacierzewieniu.. — Jediną pozytywną wartością na świecie jest człowiek...

— Bez względu na to, jaki?

— Owszem! Ale narodowi uciskanemu, jak nasz, przede wszystkim o ilość musi chodzić, w masie wybitne jednostki znajdują się zawsze. Cofanie się od tego obowiązku wobec społeczeństwa, od wydawania potomstwa, jest — powtarzam — zbrodnią, która powinna być najcięższymi ścigana karami!

— Pani Wanda nie wytrzymała już dłużej i parsknęła śmiechem.

— Bardzo piękne teorie, a dla mężczyzn nader wygodne i przyjemne!

— Nie, to nie teorie, lecz życie samo! A wy, wy kobiety...

— Ja?

— Wszystko jedno, pani nie pani, ale kobiety dla kaprysu, dla wygody, dla pozbycia się kłopotu i ciężaru...

— Czcza deklamacja! Gdyby tak z was który spróbował to przechodzić, co kobieta musi znieść... A zresztą czego pan chce ode mnie? Niech to pan wszystko powie swojej żonie.

Butrym zamilknął zawstydzony.

— Ma pani słuszość — rzekł po chwili ze smutkiem. — Zupełnie niepotrzebnie do pani to mówię. Nie po to tutaj przyszedłem.

— Więc nareszcie po co? Może mi pan w końcu zechce powiedzieć.

— Pani Wando! To się stać nie może! — jęknął ze szczerą rozpaczą w głosie.

Bergerowa spojrzała na niego z przelotnym współczuciem.

— Pan naprawdę jakoś nazbyt gorąco tę rzecz bierze. Nigdy bym się nie była spodziewała... Ale w takim razie... nie rozumiem pana. Dlaczegoż pan tej biednej Zośce nie powie wprost, że pan korzysta ze swego, przez Kościół i państwo danego prawa i nie pozwala. Przecież lekarz bez pańskiej zgody nic nie robi.

Rozłożył ręce ruchem bezradnym.

— A otóż to! To tak trudno pani powiedzieć...

— Przyznam się panu, że miałam pana za bardziej stanowczego i odważniejszego!

— Niech mnie pani zrozumie. Mnie tutaj nie o dziecko tylko chodzi...

— Więc o co?

— O żonę.

— Jej się nic nie stanie.

— Wierzę. Zbyt długo trzeba by mówić... Mniejsza oto. Ale ja ją tracę, ja ją tracę!

I jeśli jeszcze ten mój zakaz stanie między nami...

— Na to, mój drogi profesorze, ja już nic nie poradzę.

— Owszem pani jedna poradzić by mogła...

— Ja?

— Tak. I naprawić to, co pani... mimo woli, zupełnie mimo woli zrobiła złego...

— Jakżeż to?

— Właśnie z tą prośbą przyszedłem...

— Dość późno ją pan wyjawia.

— Mniejsza. Otóż niech się pani uda dziś, zaraz, do doktora Podkieckiego, czy jak mu tam, i powie mu, wytłumaczy, przedstawi, że trzeba koniecznie, aby udał, że się zgadza, a tymczasem użył wszelkich środków dla wybicia Zośce z głowy tego planu...

Pani Wanda zerwała się oburzona.

— A dajcież mi pokój nareszcie i nie mieszajcie mnie do tych wszystkich głupich historii! Czysty dom wariatów. Nie, profesorze kochany, ja tego zrobić nie mogę.

— Ależ dlaczego? Dlaczego?

— Dziwię się, że pan jeszcze pyta. Naprzód dlatego, że się brzydzę wszelkimi intrygami i wdawać się w nie nie myślę. Następnie taki krok byłby z mojej strony ohydną zdradą wobec Zośki, która mi zaufała. A wreszcie, niechże pan sobie wyobrazi, co by doktor Podkiecki o mnie pomyślał! Wczoraj go proszę o to, a dziś... Nie! Nie mogę przecież robić błazna ze siebie. Niech sobie pan sam z nim rozmawia, jeśli pan sądzi, że ta droga jest... uczciwa.

— Nie mam innej.

Bergerowa ruszyła ramionami.

— Trudno.

— Czy pani zechce dać mi jego adres?

— Owszem.

Wymieniła ulicę i numer domu.

— Czy go teraz zastanę?

— Dobre pytanie! A skądże ja mogę o tym wiedzieć?

Przy drzwiach Butrym zatrzymał się jeszcze.

— Pani Wando — zaczął z pewnym wahaniem — jeszcze jedna prośba...

— Słucham.

— Jeśli pani nam, to jest mnie i Zośce choć trochę dobrze życzy, to niech jej pani o dzisiejszej rozmowie naszej nie wspomina...

— Może właśnie należałoby jej powiedzieć...

— Jak pani chce. Zrzuńuje pani do reszty to, co się może... i tak już wali.

— A wreszcie, jeśli się panu zdaje, że tak wiele od tego zależy!... Nie powiem jej o niczym, może pan być spokojnym — uśmiechnęła się. — Przecież ona i tak na swoim postawi.

Butrym wybiegł na ulicę i polecił dorożkarzowi jechać prosto do mieszkania doktora Podkieckiego. Nie zastał go w domu. Przyjęła go żona doktora, młoda, przystojna kobietka o jasnej twarzy i dobrych, łagodnych oczach. Przedstawił jej się i zapytał o męża.

— Wyszedł z domu po kolacji — rzekła — ale jak pan go potrzebuje do chorej, to proszę tylko adres zostawić...

— Nie, ja muszę z doktorem mówić osobiście i to dzisiaj koniecznie. Czy pani nie wie, gdzie bym go teraz mógł znaleźć?

— Mój Boże, bywa czasem u Hawelki, czasem w kawiarni lub na jakim posiedzeniu... Zdarza się także, że go z miasta niespodziewanie do chorej wzywają.

Butrym pojechał do Hawelki, zrobił przegląd wszystkich kawiarni i większych restauracji, zajrzał do lokalów zebrań publicznych i nigdzie doktora nie znalazł. Wrócił więc i późno nocą zapukał znowu do drzwi jego mieszkania. Wyszła służąca i powiedziała mu, że pan doktor jeszcze nie wrócił, a pani właśnie spać się położyła i także już przyjąć go nie może. Profesora rozpacz ogarnęła. Poprosił o pozwolenie napisania kilku słów. Służąca wprowadziła go do wielce ozdobnego i z pewną kokieterią urządzonego gabinetu doktora, ostrzegłszy jeno, aby szedł na palcach, bo obok właśnie zasypiają dzieci...

Profesor wziął z biurka arkusik wonnego papieru listowego *ivoir*¹¹³ i pisał. Po kilku zdaniach zmiął niecierpliwie papier i wsadził do kieszeni. Wziął świeży arkusz i począł pisać na nowo. Służąca niecierpliwiła się w pokoju, oczekując wyjścia nocnego gościa. Z zamierzonych „kilku słów” zrobił się długi list. List długi i śmieszny, mimo że w tej drugiej jego właściwości Butrym nie zdawał sobie wcale sprawy. Męczył się, pisząc. Chciał powiedzieć wszystko i nic nie powiedział zarazem. Chciał, aby pod zdaniami zdawkowymi, nieszczerymi i do znużenia powtarzanymi doktor odgadł właściwą treść... Bał się

¹¹³*ivoir* (fr.) — kość słoniowa, tu: papier listowy o barwie kości słoniowej. [przypis edytorski]

zostawić na papierze widomy i wyraźny znak tego, co myśli, i bał się równocześnie, że może nie dość jasno myśl swoją przedstawić. Pisał o nerwowym stanie żony, który poniekąd zachciankę jej usprawiedliwia, i że on „w razie konieczności” się zgadza, a równocześnie błagał, żebrał po prostu między wierszami młodego lekarza, aby tej „konieczności” nie przyznał i pomocy swej odmówił. Nie mógł powiedzieć wprost, że nie pozwala, aby przez to żony w cudacznym nie postawić światła, a usiłował dać to jak najjaśniej do zrozumienia i znowu powtarzał, że „w razie istotnej i nieodzownej potrzeby on naturalnie nic przeciw temu mieć nie może”.

W końcu powstał z tego wszystkiego list, będący istnym chaosem, i gdyby Butrym trochę mniej był zdenerwowany i gdyby zachował choć ślad krytycyzmu, byłby zrozumiał, że obcy, dla spraw najzupełniej obojętny lekarz śmiać się tylko może, pismo to przeczytawszy.

Ale on, kładąc podpis swój trzęsącą się ręką, miał wrażenie, owszem, że rzecz należycie załatwił i że może spać spokojnie. Przekonany był, że młody doktor, sam ojciec i mąż, tragedię jego odczuje i zrozumie wstyd, który mu wyraźniej pisać nie pozwala. Był pewien, że dla uczciwej sprawy znajdzie w nim dobrego, mądrego i wyrozumiałego pomocnika i czuł już w tej chwili przyływ ogromnej, głębokiej wdzięczności dla tego człowieka...

Powstając od biurka, uczył dopiero, jak straszliwie jest znużony i rozbity na nowo. Zatoczył się jak nieprzytomny, tak, że służąca, która oglądała otrzymany pieniądz i nie słuchała zakłęk, aby list koniecznie przed ósmą panu oddała, przed ósmą!, miała go wręcz za pijanego.

Gdy powrócił do domu, żona już spała. Rozbierał się z uczuciem, że czeka go długa, męcząca, bezsenna noc. Przyłożywszy głowę do poduszki, zasnął natychmiast twardym, kamiennym snem człowieka wyczerpanego do ostatnich granic.

Profesor Butrym zatelefonował rankiem do kancelarii uniwersyteckiej, że dnia dzisiejszego z powodów natury osobistej wykładów mieć nie będzie. Ubierając się i potem, przy wczesnym śniadaniu, którego przełknąć nie mógł, był w ciągu gorączkowym podnieceniu, a jeśli pani Zośka tego nie zauważyła, to jedynie dlatego, że w ogóle nań nie zwracała uwagi. Zajęta swymi myślami: jedną uporczywą i ślepą żądzą „aby się udało”, patrzyła nieprzytomnymi oczami na wszystko, co się koło niej działo. Butrym natomiast dziwnie niezdolny był w tej chwili do skupienia myśli na jednym przedmiocie. Powtarzał sobie w duchu, że wkrótce ma zaprowadzić żonę do doktora Podkieckiego i usiłował sobie przypomnieć słowo po słowie wczorajszy list, czy dobrze był napisany, ale jakby na przekór różne inne obojętne rzeczy do głowy mu przychodziły. Jakies obliczenie astronomiczne, które od tygodnia leżało niedokończone, głupekowata fizjonomia któregoś ze słuchaczy, nie wiadomo dlaczego zapamiętana, odjazd Turskiego z synem, jakieś zdania zamienione ongiś z Firdussim, koń dorożkarski przed tygodniem na rogu ulicy widziany i znowu uporczywe a bez powodu powracające do pamięci elementarne wzory rachunku różniczkowego.

Męczył go ten stan oszołomienia niewymownie, zwłaszcza że zdawał sobie sprawę, iż zgłębia o czymś innym i nierównie dla siebie ważniejszym w tej chwili myśleć by powinien.

— Czy jesteś gotów? — spytała pani Zośka, nadszpodziewanie i wbrew zwyczajowi szybko do wyjścia zebrana.

Poderwał się z krzesła jak sprężyną rzucony.

— Tak. Idziemy.

Drogę całą przebyli w milczeniu. Profesor usiłował zacząć jakąś rozmowę, która — jak mu się zdawało — byłaby ważna i doniosła, ale po prostu nie mógł znaleźć pierwszego słowa. Ani się spostrzegł, kiedy żona zatrzymała dorożkarza na jakiejś odległej ulicy. Zdziwił się, zauważywszy, że zna dom, przed którym stanęli.

— Ach, prawda, byłem tu wczoraj — pomyślał. — Mieszkanie doktora Podkieckiego.

Nagły dreszcz go przejął.

— To tutaj, już?

Uczuł ze wstrętem graniczącą niechęć do przestąpienia jeszcze raz progu tego domu. A przy tym jakby świadomość jakiegoś fatalizmu: uczyniłem wszystko, co było w mojej mocy, niech się teraz dzieje, co chce. Po co patrzeć w twarz temu człowiekowi? Na co odgrywać dalszą komedię? Jaką wobec niego przyjąć dziś rolę? Stawka leży na cyfrze, ruleta kręci się sama.

Pani Zośka zawahała się również przed bramą.

— Nie wiem, czy to koniecznie, abys ty szedł ze mną — rzekła, obawiając się snąć jakiej niespodzianki ze strony męża, któremu jeszcze nie ufała.

— Masz słuszność — podchwycił skwapliwie. — Zbyt by to było przykre dla mnie, a może i dla ciebie...

— Daj mi więc tylko bilet, że pozwalasz.

Wyrwał kartkę z notatnika i skreślił ołówkiem:

„Pan wie już wszystko. Jeśli nieodzowne — zgadzam się”.

— Zaczekam na ciebie na ulicy — rzekł, podając żonie świstek papieru.

Szepnęła coś jakby „dziękuję” i zniknęła w bramie. Słyszał skrzypienie drewnianych schodów pod jej krokami, potem stuk otwieranych na pierwszym piętrze drzwi.

— Tak, niech się ruleta kręci — powiedział prawie głośno i przeszedłszy na drugą stronę ulicy, zaczął chodzić tam i z powrotem. Teraz już zupełnie świadomie starał się nie myśleć bez celu o tym, co się dzieje. Odliczał krokami odległość latarni, a później rachował na pewnej przestrzeni kamienne płyty chodnika. Było mu gorąco: rozpiął płaszcz, kapelusz zsunął na tył głowy.

Czas dłużył mu się w nieskończoność. Poglądał co chwila na zegarek i dziwił się, że dopiero dwie lub trzy minuty upłynęły odtąd, kiedy ostatni raz patrzył na wskazówki. Męczyło go to, więc postanowił zegarka więcej nie wyciągać i przełożył go nawet do innej kieszeni, aby odruchowo zań nie chwycić. Patrzył teraz ciągle na drzwi kamienicy, w której zniknęła jego żona. Gdy przechodząc, mijał ją, oglądał się ustawicznie, aby nie przeoczyć momentu, kiedy będzie wychodzić.

— Czy długo czekałeś? — usłyszał głos za sobą.

Drgnął, jakby ze snu zbudzony i zwrócił się. Przed nim stała pani Zośka.

— Kiedy wyszłaś?

— W tej chwili, kiedy byłeś odwrócony. Nie dojrzałam cię zrazu...

Wzięła go swobodnym ruchem pod ramię i zawróciła ku domowi.

— I cóż? — wykrztusił po chwili przez zdławione gardło.

— Doskonale! — odparła wesoło.

— Jak to?

— Zrobi się wszystko. Od razu jutro.

— Co?!

Uczuł, że blednie. Staął na środku chodnika i patrzył na nią rozszerzonymi z przerażenia oczyma.

Pociągnęła go za ramię.

— Pójdźże. Czemu patrzysz? Tak się cieszę. Nawet nie śmiałam się spodziewać, że pójdzie wszystko tak gładko. Dał mi adres lekarza, do którego mam iść po południu po orzeczenie, że to ze względu na moje zdrowie konieczne i jutro... No, chodźże nareszcie!

Butrym nie ruszał się z miejsca. Zatoczył się jeno mimo woli pod wpływem nagłego zawrotu, tak, że się musiał wesprzeć plecami o mur kamienicy, aby nie upaść.

— Zośka! — jęknął, nie zważając na przechodniów, którzy się im już zaczęli przypatrywać.

— No, czego chcesz? Widzę, że znów zaczynasz jakieś komedie — rzekła tonem naraz zmienionym.

— Nie rób ty tego! — szepnął, jakby nieswoim głosem.

— Czyś ty oszalał? Pójdź, bo ludzie patrzą. Czyś oszalał naprawdę? Miałabym teraz, gdy wszystko tak dobrze się składa...

— Ja nie chcę! Ja nie chcę!

Spojrzała teraz na niego nienawistnym zimnym, nienawistnym wzrokiem.

— Nie chcesz? A! Więc robiłeś wszystko, starałeś się niby, niby się godziłeś w nadziei, że mi się to nie uda?

— Tak — wyznał szczerze.

Żachnęła się nagle od niego.

— Och ty, ty! Jak ja ciebie nie znoszę za to komediaństwo twoje, za tę nieuczciwość, obłudę za tę złość twoją wobec mnie!

— Zośka! Ja dla ciebie nie jestem zły!

— A! Nie jesteś zły, a chcesz, żebym szeszła marnie, zginęła, byleś ty tylko postawił na swoim i byleś się cieszył... licznym potomstwem! I otóż ci się nie udało! Znaleźli się na szczęście ludzie lepsi dla mnie od ciebie, obcy ludzie, którzy mi dopomogli: Wanda i ten lekarz młody, co mi w tej chwili więcej okazał współczucia niż ty przez całe życie.

Krew uderzyła mu do głowy.

— Nie masz prawa tak mówić! Tych ludzi właśnie nic nie obchodzisz i dlatego ci pomagają. Ja jeden jestem ci życzliwy, ja jeden cię kocham.

— I chcesz mnie zabić dlatego! Och! Jakżeż ja cię strasznie nienawidzę, jak gardzę tobą!

— Nie wyzywaj mnie do walki! Bo jeszcze i teraz mogę się oprzeć, i cofnąć dane, raczej wymuszone przez ciebie pozwolenie.

— Nic nie zrobisz, bo lekarze powiedzą, że to dla mnie konieczne.

— Wezmę innych, zażadam konsylium!

Patrzyła nań w milczeniu, potem wybuchnęła naraz:

— O! Zły jesteś! Zły! Nie spotkałam człowieka tak złego!

Błysk zapamiętałej nienawiści zaświecił jej w źrenicach.

— Ty! Żebym ja widziała, jak ty będziesz zdychał w moich oczach, toby był najpiękniejszy dzień w moim życiu!

— Za co?

— Żeś mnie sponiewierał, żeś mnie zniszczył, żeś mnie chcesz dobić...!

Zaniosła się spazmatycznym płaczem.

Skinął na przejeżdżającą dorożkę.

— Siadaj — rzekł krótko.

Jechali jakiś czas w milczeniu. Butrym po pierwszym, piorunującym oszołomieniu zaczął teraz myśleć spokojniej i jeno smutek ponad wszelkie powiedzenie ciężki i nieznośny przygniatał go coraz bardziej i dławił.

— Stało się. Źle się stało i ja jestem winien, myślał, choć nie umiał sobie jasno zdać sprawy, gdzie jego wina leży właściwie: czy w tym, że wbrew wszystkiemu z tak uporczywą nadzieją chciał życie nienarodzonej istoty uratować, czy że taką nieprostą drogę wybrał do tego, czy jeszcze może gdzie indziej?

Przyszło mu na myśl, że jeszcze i teraz mógłby istotnie zakazać — wszak miał prawo! — ale to już doprawdy nie miałyby żadnego celu. Cóż by mu przyszło z tego, gdyby teraz przebojem postawił na swoim? Czy warto? Przecież toby już było tylko znęcanie się nad tą kobietą, gdy wie, że jej odzyskać nie może w ten sposób.

Bezwład ogromny opadł go wraz ze smutkiem.

„Żebym ja widziała, jak ty będziesz zdychał w moich oczach” zadzwoniło mu w pamięci.

Westchnął głęboko i nerwowo.

— Biedna! Więc ona tak myśli? Tak czuje? Biedna...

Oczy znużone i palące go pod powiekami zwrócił na żonę, siedzącą cicho w kącie powozu.

— Zośka...

— Słucham cię — szepnęła miękko i niemal pokornie.

— Zośka, ja chcę się jeszcze zobaczyć dziś z Podkieckim. Jeśli to istotnie potrzebne... jeśli nie może inaczej być...

— Rób, co chcesz.

W milczeniu dojechali do domu.

Pani Zośka z uczuciem silnego zdenerwowania wchodziła żywym krokiem na schody mieszkania lekarza, wskazanego jej przez doktora Podkieckiego. W poczekalni zastała kilkoro ludzi, musiała czekać. Usiadła w kącie na wytartej i wygniecionej kanapie i patrzyła przez okno na niebo, niespodziewanie w tym dniu błękitne i jasne.

Czuła się ogromnie zmęczoną i wyczerpaną, a nadto nurtował w niej głęboki żal do męża, którego o cały swój rozstrój obwiniała.

— Mój Boże, mój Boże — szeptała w sobie, przyciskając do ust jedwabną chusteczkę — że też ten człowiek nie może się obejść bez komedii, bez awantur, bez tragizowania!

Ostatecznie to takie głupstwo, w kilka dni będzie po wszystkim i czyż to potrzebne te historie! Byle mnie tylko udręczył do ostatka, gdy i tak dosyć mam przykrości...

Przyszło jej na myśl, że gdyby dziecko zwykłym trybem przyszło na świat, Mietek, który teraz niby tak gorąco tego pragnie, byłby z pewnością w głębi duszy niezadowolony wobec kłopotu, jaki to w domu ze sobą sprowadza.

Wydeła usta pogardliwie.

— Aby tylko mnie na złość, byle mnie na przekór! — myślała i utwierdzała się w przekonaniu nie tylko, że ma prawo to robić, co robi, lecz nadto, że robi dobrze i rozumnie, nie poddając się dzikim fantazjom męża.

— Gdy się opamięta, sam mi będzie wdzięczny, że nie ustąpiła — zakonkludowała i podniosła się, gdyż właśnie lekarz uchylił drzwi, dając jej znak głową, że na nią teraz kolej.

Weszła do gabinetu i podała list doktora Podkieckiego. Lekarz, mało znany i nędzną praktykę mający internista, pochwycił skwapliwie w dłoń pismo od szczęśliwszego kolegi. Stała przed nim i patrzyła jak przebiegał papier oczyma, odruchowo rozczesując palcami lewej ręki długą, czarną brodę.

— Aha, aha — powtórzył kilkakrotnie i spojrzał na Butrymową. Zarumieniła się naraz i zmieszała w przykry sposób.

— Czy mnie pan zechce zbadać — spytała.

Ruszył ramionami, nie przestając dłużyć nerwowo palcami w brodzie.

— Hm, proszę pani, cóż ja wybadam... Jeżeli kolega Podkiecki pisze, że to potrzebne, to mi wystarczy. Mam do niego zupełne zaufanie. Główna rzecz, aby załatwić stronę formalną, to jest wydać potrzebne orzeczenie. Proszę, niech pani siada.

Uczuła dla niego mimo woli głęboką wdzięczność, że jest tak delikatny i wględny, zwłaszcza że obawiała się znowu przykrych i wstrętnych dla siebie oględzin. Zastanawiała się w duchu, jaką sumę ma mu ofiarować jako honorarium, aby to nie było za mało.

— Wszyscy są dla mnie dobrzy — myślała — z wyjątkiem męża mojego! — I tym głębszy żal ją przejmował.

Lekarz tymczasem usiadł przy biurku pod oknem tyłem do niej i, wzięwszy kartkę papieru, począł się namyślać.

— Czy pani nie miewa bicia serca? — spytał naraz, zwracając się ku niej.

Drgnęła, jakby niespodziewanym głosem obudzona i odrzekła niezręcznie:

— Nie, nie miewam. Bicia serca nie miewam.

— Hm, ale ostatecznie mogłaby pani mieć. A zawrotów głowy?

— Nie przypominam sobie.

— No, tak po kieliszku wina na przykład?

— Po kieliszku wina? Owszem. Ja wina nie znoszę.

— Aha. Więc zawroty głowy są. Dobrze. To wystarczy.

Nachylił się i zaczął pisać coś pośpiesznie. Po chwili powstał i podał Butrymowej zaklejoną kopertę z adresem doktora Podkieckiego.

— Gotowe. Niech pani raczy to tylko oddać koledze Podkieckiemu i pozdrowi go przy sposobności pięknie ode mnie.

Wsunęła papier do torebki i wyciągnęła z niej banknot.

Lekarz się cofnął.

— Nie, proszę pani.

— Jak to? Jestem przecież panu winna...

— Nic pani winna nie jest. Takich rzeczy nie robi się za pieniądze. Spełniłem tylko życzenie mego kolegi, a jeśli i pani tym się przysłużyłem, tym mi przyjemniej.

Wyciągnęła ku niemu dłoń przyjacielskim, wdzięcznym ruchem.

— Dziękuję panu.

— Wszyscy, wszyscy są dobrzy dla mnie — myślała, wychodząc — tylko on jeden jest zły, mój mąż.

To pomyślawszy, powiedziała sobie, że jeśli Mietek nawet cierpi naprawdę, to ponosi tylko słuszną karę za swoją złość i uspokoiła się zupełnie.

Po dłuższych szukaniach i krążeń znalazł nareszcie Butrym Podkieckiego w szpitalu. Wprowadzono go do małego pokoju biurowego, gdzie przy stole siedziało jakieś chude indywiduum zajęte pisaniem, i proszono, aby zszedł.

Po pewnym czasie zjawił się doktor Podkiecki. Fartuch biały miał na sobie, zakasane po łokcie ręce trzymał wzniesione do góry.

— Profesor Butrym?

— Tak jest.

Podkiecki skłonił się głową, nie zmieniając pozycji rąk.

— Bardzo mi przyjemnie pana poznać. Miałem dotąd zaszczyt tylko z widzenia... Oddano mi pański bilet. Przepraszam, że dałem na siebie czekać i że ręki nie podaję, ale dłonie mam już do operacji umyte...

— Jeśli pan zajęty, ja mogę później...

— Nie, nie! Mam jeszcze chwilę czasu i chętnie panu profesorowi służę.

— Chciałem kilka słów...

— Służę panu — powtórzył Podkiecki.

Butrym spojrzął z boku na indywiduum zajęte pisaniem.

— Sprawa osobista...

Doktor się uśmiechnął.

— Możemy wyjść na korytarz, tam będziemy swobodni. Niech pan tylko zechce łaskawie drzwi otworzyć, bo ja się już nie chcę mytymi rękami klamki dotykać.

Wyszli na długi korytarz szpitalny. Podkiecki trzymał ciągle ręce wzniesione z rozłożonymi palcami i wciąż się uśmiechał, co chwilę przechodziły koło nich posługaczki, siostry miłosierdzia, lekarze...

Butrym zdjął kapelusz i obtarł spocone czoło.

— Pan otrzymał wczoraj mój list? — zaczął.

— Tak, proszę pana — odparł lekarz i patrzył na niego pytającym wzrokiem, jakby nie wiedział zgoła, o co chodzi.

— I jednak podjął się pan zrobić operację mojej żonie. Czy to pan ze stanowiska lekarskiego uważa za konieczne?

— Ach, mój Boże! Konieczne... To takie względne pojęcie. Być może, że kto inny mógłby być innego zdania. Jednakże ze względu na stan nerwów szanownej pani, na wysoki stopień rozdrażnienia... Medycyna dziś, proszę pana, musi się liczyć z momentami psychologicznymi...

— Prosiłem pana, żeby pan usiłował odwieść ją od tego zamiaru.

— Robiłem, co było w mojej mocy. Straszylem ją trudnością operacji, która w istocie jest bardzo łatwa, dałem jej do zrozumienia, że może wypadnie ją uspić, że ból będzie znaczny... Cóż było więcej do zrobienia? Pani taki ma chorobliwy wstręt do swego stanu, że godziła się na wszystko. Nie mogłem przecież skłamać i powiedzieć, że rzecz jest niemożliwa! Poszłaby do innego lekarza i wyśmiano by mnie po prostu.

— Tak. Dziękuję panu. Źle się stało.

Podkiecki przestał się uśmiechać i udał wielkie zakłopotanie.

— Czyżbym ja list pański źle zrozumiał? Pan sobie może wcale nie życzy tego, z czym pani do mnie przysłała? — spytał zgoła naiwnie.

— Przyznam się panu, że istotnie pragnąłem uniknąć za wszelką cenę...

— Ach Boże! Trzeba mi było wyraźnie napisać. Byłbym pani powiedział po prostu, że bez wyraźnej zgody pańskiej nie wolno mi niczego zrobić... Teraz to już pan sam chyba z żoną pomówi, bo mnie trudno się cofnąć, gdy obiecałem. Ale, widzi pan, to tak się stało... nie mogłem przecież przypuszczać, że żona pańska wbrew woli pana, że tam między państwem jest jakieś nieporozumienie.

Butrym wznosił głowę.

— Żona moja nie robiła niczego za moimi plecami — rzekł z odruchem dotkniętej w jej osobie dumy swojej. — Nieporozumienia nie ma tu żadnego: ja godzę się na wszystko, co jest potrzebne i dziękuję panu.

Uklonił się i wyszedł ze szpitala.

Czuł całą śmieszność bezcelowości dalszej z tym człowiekiem rozmowy.

Parę godzin, jakie mu pozostawały do wieczora, ubił, blakając się po ulicach miasta i po odleglejszych kawiarniach, w których mógł być pewien, że nie spotka nikogo ze znajomych. Pod wieczór wrócił do domu. Pani Zośka przywitała go swobodnie i zaproponowała wyjście do teatru. Nie miał powodu się sprzeciwiać. Przebrał się mechanicznie, gdy wchodzili do łoży, przedstawienie było już rozpoczęte. Siedział osowiały w kącie i patrzył tępyim wzrokiem przed siebie. Pod koniec aktu, gdy miano rozpalic światła na widowni, żona zwróciła się ku niemu.

— Bój się Boga, nie rób przynajmniej wobec ludzi miny skazańca.

Uśmiechnął się trochę nieprzytomnie i głupkowato, a ona szybkim i nieznacznym ruchem pogłaskała go dłonią po twarzy.

— No, proszę — szepnęła miękko.

W antrakcie kilka znajomych osób przyszło ich w łoży odwiedzić. Pani Zośka rozmawiała z nimi swobodnie i wesoło, słyszał jak przez mgłę jej srebrzysty śmiech i widział błyski jej jasnych oczu o kolorze zmiennej morskiej wody, w której się odbijają zielone wzgórza nadbrzeża i błękitne niebo nad nimi. Ktoś do niego zagadał. Odpowiedział przytomnie i spokojnie, jeno ciągle miał wrażenie, że to nie on sam mówi, tylko jakaś powierzchowna maska boleśnie przyklejona do jego twarzy, poza którą on się skrył, skurczony cały pod nieznośnym ciężarem swojej myśli.

W którejś z dalszych przerw między aktami przyprowadzono doń do łoży młodego francuskiego matematyka, który w przejeździe przez Kraków, zapragnął mu się przedstawić. Francuz znał jego dzieła astronomiczne i mówiąc, tytułował go z wielkim szacunkiem: *maitre*¹¹⁴... Butrym dawał mu żądane wyjaśnienia i wygłaszał swoje teorie o prawie utrzymania równowagi we wszechświecie, potem podtrzymywał wszczętą rozmowę o Paryżu, do której z czarującym uśmiechem wmieszała się także pani Zośka i ciągle, ciągle miał nad wyraz nużące uczucie zupełnej obcości swoich słów, gestów, uśmiechu.

Wreszcie przedstawienie, z którego ani słowa nie rozumiał, skończyło się szczęśliwie. Pani Zośka miała jeszcze ochotę w towarzystwie kilku znajomych udać się wspólnie do restauracji, ale gdy na wzrok jej pytający szepnął, że wołałby dziś jechać prosto do domu, nie upierała się wcale przy swoim planie.

— Przepraszam państwa — mówiła słodko, żegnając się — ale Mietek dzisiaj tak znużony... Pracował dużo, a przy tym zaczyna się trochę, troszeczkę, ot tak odrobinę starzeć. Prawda, Mietku? Jeszcze gdy żony nie ma, to sobie tam czasem młodsze lata wspominasz...

Śmiano się i żartowano.

W domu Butrym, zrzuciwszy płaszcz, krążył długo po swoim gabinecie, a potem przeszedł do pokoju żony. Rozbierała się już, siedząc na krawędzi łóżka. Na odgłos otwieranych drzwi zwróciła niespokojny wzrok.

— Nie śpisz jeszcze? — przywitała wchodzącego.

— Nie. Chciałem z tobą pomówić.

— Słucham cię. Robisz przez cały dzień minę tak śmiesznie tragiczną, że aż mi wstyd za ciebie.

— Mniejsza. Widziałem się dziś z doktorem Podkieckim.

— Tak?

— Nie pytasz się, cośmy mówili?

Wzruszyła ramionami.

— Cóż mi na tym zależy. To i tak nie zmieni postaci rzeczy.

— Owszem, mogłoby zmienić. Jestem wciąż jeszcze w mocy zakazać.

— Podkiecki cię nie posłucha.

— Musiałby. Wie, że mógłbym zrobić doniesienie karne i wsadzić go do kryminału. Zaśmiała się trochę nerwowo.

— Głupstwa pleciesz, mój drogi. Nim byś co zrobił, rzecz będzie załatwiona, a wtedy gdzie masz środki udowodnić, że to nie było konieczne, gdy on ma w ręku orzeczenie drugiego lekarza? Naraziłbyś tylko mnie na skandal, a siebie na śmieszność i na proces o oszczerstwo.

¹¹⁴*maitre* — (fr.) mistrz. [przypis edytorski]

Butrym chodził w milczeniu po pokoju. Pani Zośka zaniepokoiła się jednak.

— Słuchaj no, czy może mówiłeś z nim o czymś podobnym? Może mu groziłeś? Och, ty prześladujesz wszystkich, którzy tylko są mnie życzliwi.

— Nie. Podkieckiemu powiedziałem, gdy mnie wręcz zapytał, że wszystko się dzieje z moją zgodą, choć nie przeczę, że usiłowałem wpłynąć na niego, aby ci to wybił z głowy. Nie dosłyszała już drugiej części zdania. Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Widzę, chwała Bogu, że przyszedłeś nareszcie do opamiętania i do rozumu. Cieszę się z tego, bo już doprawdy żał mi cię było, gdyś widziała, jak się męczysz z głupstwem tragedią, którą sam w sobie wmówiłeś.

Usiadł obok niej na krawędzi łóżka.

— Zośka, niczego w sobie nie wmówiłem, a męczę się więcej, niżli ty to przypuścić możesz... I mam... mam prośbę do ciebie.

— Aha. Gdy cię wszystko inne zawiodło, masz prośbę.

— Tak. Gdy mnie wszystko inne zawiodło, mam prośbę. Robiłem wszystko, co mogłem, aby do tego nie dopuścić: nie udało się. Może i lepiej. Gdyby mi się było powiodło, byłbym zdobył szczęście odzyskania ciebie wbrew twojej wiedzy i woli... Zosik, ja mogę je teraz jeszcze otrzymać z twoich rąk, z łaski twojej.

— Do czego zmierzasz?

— Ty wiesz. Pomyśl, wszystko się tak złożyło, że nie masz już przeszkód, bo i ja zakazem nie stanę nigdy wbrew twojej woli ze względu właśnie na ciebie. Zośka, zrób teraz dla mnie, dla nas obojga tę ofiarę i wyrzeknij się swego zamiaru dobrowolnie. Daj znać Podkieckiemu, że się rozmyśliłaś...

— Czyś ty oszalała? — powtórzyła rzucone już rankiem pytanie.

— Może oszalałem, bo wierzę, że potrafisz być tak po królewsku wspaniałomyślna. Jeśli kiedy był głupio zły dla ciebie, żałuję tego. Nie dam ci odtąd nigdy, nigdy sposobności uskarżać się na mnie.

— Ach, znam ja te twoje obietnice i twój sposób postępowania ze mną. Z byłe blahego powodu nadokuczasz mi, zwymyślasz mnie ostatnimi słowami, dasz mi uczuć rzekomą wyższość swoją...

Osunął się cicho na kolana i przycisnął do ust obie ręce żony.

— Spróbujmy, Zośka, spróbujmy jeszcze być szczęśliwi, a może nam się uda! Nie kładź między nas tej krwawej rany, o której, wiem, że nigdy nie będę mógł zapomnieć. Ja cię naprawdę kocham tak bardzo. Nie zabijaj tego we mnie. Zobaczysz, jak ci będę wdzięczny i dobry. Co ci szkodzi zrobić próbę?

— Zbyt wiele by mnie ta próba kosztowała. Nie mam na nią sił.

— Więc odmawiasz?

— Człowieku! Zastanów się przecie, że żądasz ode mnie rzeczy niemożliwej!

— Zośka, ja błagam! Zrób łaskę...

Zerwała się.

— Och, jak mnie ty męczysz, jak męczysz mnie straszliwie!

Powstał pobladły, usta drgały mu nerwowo.

— I to jest cała twa odpowiedź?

— A jakieżże ty chcesz innej? Najlepiej nie dręcz już mnie i siebie i idź spać.

— Słuchaj, powiedz mi tak szczerze: i ty nie masz wstrętu, przed tym coś zamierzyła? Nie czujesz całej ohydy tego?...

— Brzydę się tym, jak wszystkim, co jest nieczyste i obrzydliwe, ale poza tym...

Zrobiła lekceważący ruch głową.

— Poza tym nic? Nie odczuwasz potworności takiego kroku, ty, matka?

— Mój kochany, oszczędź mi chociaż o tej późnej godzinie nauk moralnych i nie próbuj roztrząsać mojego sumienia, którego w tym względzie nie mam. Biorę rzeczy tak, jak są, bez deklamacji i pozy, które ty tak bardzo lubisz. Nie robię z bagateli tragedii. To cała rzecz.

— Tak, tragedią dla ciebie było tylko to, co jest naturalnym i zwykłym porządkiem rzeczy. O, ty zwierzę, zwierzę! — syknął przez zęby.

Zatrzęsała się naraz w histerycznym wybuchu.

— Dosyć mam tego! Jak śmiesz mi tu jeszcze rzucać obelgi? Ty jesteś zwierzę, ty jesteś podły, najpodlejszy człowiek, jakiego w życiu spotkałam! Byle jeno dogodzić swojej

fantazji, byle na swoim postawić, to nic ci o mnie nie idzie. Najnieszczęśliwszy, przeklęty dzień mojego życia, kiedyś cię poznała, ty! ty kiepski komediantcie i dręczycielu!

Nerwy jej, od kilku dni naprężone i trzymane na wodzy jeno niezmiernym wysiłkiem uporu, nagle wzięły górę. Poskoczyła ku mężowi z podniesionymi rękami, jakby go chciała uderzyć.

Coś się w nim szarpnęło: jakiś odruch pierwotny przeważającego siłą samca. Mięśnie mu się w ramionach sprężyły i oczy zabiegły krwią, był moment jak mgnienie oka krótki, że chciał pochwycić żelazną dłońią te wzniesione nad sobą ręce i tę piękną, słabą, nad wszystko kochaną kobietę rzucić sobie brutalnie do nóg i bić głowę jej jasną, tłuc o ziemię i słuchać, aż z ust jej słodkich wydrze się okrzyk bólu, przerażenia, błagania o litość...

Opanował się. Ostatnim skurczem opawającego naprężenia mięśni pchnął ją jeno mimo woli od siebie tak, że upadła w tył na łóżko, uderzając ciężko głową o ścianę.

A w nim zerwała się jakaś potworna, dusząca fala, szarpnęła go za żebra, przydławiła krtań, rzucił się na sofę z wybuchem strasznego, niedającego się powstrzymać łkania. Wgniał twarz w poduszki, gryzł dłonie, którymi usiłował jęk swój zatłumić, niezdolny nawet na tyle, aby wstać i wyjść z pokoju.

Naraz uczuł, że obejmują go ciepłe ramiona i usta drogie, jedyne błędzą pocałunkami po jego zalawionej twarzy.

— Mietek, Mietek! Uspokój się przecie!

— Odejdź! — wykrztusił przez spazm, pierś jego bolesnym skurczem zrywający.

Nie odeszła. Przygarnęła go obiema rękami jak dziecię do siebie.

— Gdybym była wiedziała, że tobie naprawdę tak strasznie o to chodzi — mówiła — gdybyś mi był od razu tak szczerze, tak otwarcie powiedział...

— Co wtedy? — szepnął z odcieniem jakiejś głupiej nadziei.

— Nie wiem, nie wiem. Ale można by się było wtedy spokojnie zastanowić. Może bym nawet była zdołała pogodzić się z tą straszną dla mnie rzeczą. Widzisz, niepotrzebnie knuleś jakieś intrygi, niepotrzebnie mnie zwodziłeś, obiecując niby pomoc, a w istocie pragnąc zgoła czego innego.

Uspokojony nieco, uniósł się i zakrył oczy rękami.

— O ciebie mi tylko chodziło, tylko o ciebie! Nie chciałem iść przebojem, narazić ci się nie chciałem, bom przecie walczył o ciebie, żebyś ty była moja!

— A widzisz. Byłeś nieszczerzy i teraz zasłużoną karę ponosisz. A tak mi cię żal.

Usiadł obok niej na sofie.

— Zośka — szepnął błagalnie — przecie dzisiaj jeszcze czas...

Potrząsnęła głową smutno ale stanowczo.

— Nie. Już za późno. Nazbyt już przywykłam do tej myśli i nie potrafię się jej wyrzec. Nie mam sił. Jutro w południe idę do lecznicy.

Zwiesił głowę bezwładnie.

— Stało się — rzekł po chwili. — Przegrałem walkę z losem, może nawet z własnej winy.

Wzniósł oczy, pełen rozpaczliwej jak śmierć smutnej miłości.

— Jutro zrobisz, co zechcesz, Zośka, ale dziś moja jeszcze jesteś, moja, moja! Dziś jeszcze nic nie stoi pomiędzy nami, to przyjdzie dopiero jutro.

Ogarnął ją w gorący, zarazem lękliwy i niemal macierzyński uścisk. Wsparła głowę na jego ramieniu, myśląc już tylko, że jest strasznie znużona i chciałaby spać, spać...

XIII

Na rogu rynku dojrzał Butrym idącego naprzeciw Krasołuckiego. Usiłował go wyminąć, ale doktor zauważył go już również i z daleka począł mu dawać znaki. Nie było rady, podszedł ku niemu i przywitał się.

— Bój się Boga — mówił Krasołucki — co się z tobą dzieje? Od trzech dni cię nie widziałem.

— Byłem trochę niezdrowszy — rzekł Butrym wymijająco.

Doktor ujął go pod ramię i zawrócił przez ulicę Szczepańską ku plantom.

— Ale moje złoto — zaczął przyciszonym głosem, gdy wyszli z tłumu przechodniów — pani twoja u mnie nie była... Wszystko przygotowałem...

Przemoc

Rozpacz

— A nie, to się już inaczej zrobiło.

— Chwała Bogu! Więc wybiła to sobie nareszcie sama z głowy?

Pierwszym odruchem chciał Butrym utwierdzić go w tym przekonaniu, ale dość wcześnie przysła mu na myśl bezcelowość tego kłamstwa, które aż nazbyt rychło by się wydało. Spuścił oczy, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Wstyd go objął nieznośny.

Krasołucki zauważył jego pomieszanie i dorozumiał się, jak rzeczy właściwie stoją. Uśmiechnął się dyskretnie i bąknął bez nacisku:

— Ach, więc ustąpiłeś...

Znać było, że nie poruszy więcej tego tematu, ale Butrymowi zdało się teraz, że musi koniecznie coś powiedzieć. Wtajemniczył tego człowieka w całą historię i to nareszcie — jak się okazało — niepotrzebnie, zapragnął więc teraz salwować jakoś opinię swej żony.

— Wiesz, pokazało się — zaczął — że to jednak istotnie było ze względu na jej zdrowie wskazane...

Krasołucki popatrzył nań badawczo i przenikliwie.

— Aha. Było wskazane. I któż ci to powiedział?

— Doktor Podkiecki — wymienił nazwisko odruchowo i niebacznie.

— Hm, doktor Podkiecki...

Szli znowu jakiś czas w milczeniu. Dopiero na plantach Krasołucki zwrócił się do profesora:

— Rozumiem cię, że nie chcesz ze mną o tym mówić, ale... to niedobrze się stało, niedobrze!

— Ja wiem, że niedobrze — szepnął Butrym, niezdolny w tej chwili do dalszej komedii.

— Nie mogłeś zapobiec?

W milczeniu potrząsł głową przecząco.

Krasołucki mówił znowu:

— Powinieneś był jednak wystąpić stanowczo, tak jak od początku radziłem. Przede wszystkim ze względu na zdrowie. Jeden taki figiel lub dwa mogą kobietę na całe życie zrujnować. Ja ci to mówię jako lekarz. A potem... i to także ważne...

Zamilkł i patrzył przed siebie, jakby niepewny, czy ma myśl swoją wypowiedzieć.

— Potem... niepotrzebnie okazałeś się słabym — dokończył wreszcie. — To się mści.

— Było wskazane — próbował Butrym jeszcze kłamać.

— Faramuszkii, moje złoto! Przecież ty wiesz równie dobrze jak ja, że to nieprawda. Pani była może bardzo zdenerwowana, ale to zwykły objaw. Po pewnym czasie nastąpiłby spokój. Ja sam początkowo z tego tragedii nie robiłem, ale teraz mi cię żal, gdy patrzę na ciebie. Wskazane! Wskazane! Znam ja Podkieckiego. Bardzo szlachetny i uczynny człowiek. Ma zasady. Pomaga kobietom i to bezinteresownie. Nikt mu nic zarzucić nie może. Człowiek uczynny i szlachetny. Wiem, jak to urządza: wszystko otwarcie i „legalnie”!

Butryma nużyła niesłuchanie ta rozmowa, bezprzedmiotowa już w tej chwili, a nie wiedział, jak ją przerwać. Tedy milczał. Krasołucki tymczasem mówił dalej, jak gdyby do siebie samego:

— Tak, tak, istnieje na tym kochanym świecie przedziwny rodzaj sprawiedliwości. Biedną sażfamkę¹¹⁵, która się zląkomiła na parę setek i okazała... zbyt wiele uczynności, zamyka się do kryminału, pokątnemu lekarzowi, co sobie w ten, nie bardzo dozwolony sposób łąta nadwątloną praktykę, odbiera się prawo pisania recept, ale za to...

Machnął ręką.

— O, Boże! Rozejrzeć się tylko dookoła! Ile to rządów i państw, którym zależy na liczbie obywateli, zamiast prześladować prywatnych i przygodnych fabrykantów aniołków obojej płci, powinno by raczej przyjrzeć się dokładnie temu, co się dzieje pod pokrywą najzupełniejszej legalności w ich własnych szpitalach, klinikach i szkołach położniczych! Naturalnie Francja idzie tu, jak zawsze, na pierwszym miejscu. My Polacy lubimy małpować Francuzów.

Splunął, a potem roześmiał się grubo i sprośnie.

¹¹⁵sażfamka — od fr. *sage-femme*: położona. Krasołucki używa określenia przewrotnie, w stosunku do kobiety, która pomogła w doprowadzeniu do aborcji. [przypis edytorski]

— Zresztą to wszystko jest w najzupełniejszym porządku. Społeczeństwo się demokratyzuje, co ja sobie na swój język przekładam: hołocieje. I to doskonały sposób: pod grozą kary więzienia mnożyć się musi tylko hołota, „państwo” znają sposoby uniknięcia... przykrej konsekwencji, a gdy te przypadkowo zawiodą, to przecie znajdzie się jeszcze jakiś Alfons Podkiecki, który dopomoże i wyratuje zgoła bezinteresownie, jedynie dla zasady, dla uznania w kobiecie „równego mężczyźnie człowieka”. Och, ślicznie będzie nasze społeczeństwo za kilkadziesiąt lat wyglądało. Te charłaki i te ciemięgi... Bóg strzegł, że tego nie dożyję, choć umierać to zawsze głupia rzecz...

Butrym nie mógł słuchać dalej. Spojrzał na zegarek i zaczął się żegnać.

— Ot, moje złoto, twoje „tatwami”! — rzucił mu jeszcze Krasołucki na odchodnym. — Miałaś za sobą i słuszność, i prawo, i siłę, a jednak słaba kobieta postawiła na swoim. Ta kobieta, o której Dumas *filis*¹¹⁶ pisał głupstwa, że wtedy tylko pożąda miłości, kiedy pragnie zostać... matką! Ha, ha, ha! Dobrzem ci radził od początku: nie możesz wprost przeszkodzić, machnij raczej ręką na wszystko...

Rozstawszy się z grubym lekarzem, Butrym szedł dalej z wolna plantami. W pewnym miejscu wyrwał nagle z kieszeni zegarek, na który przy Krasołuckim patrzył, nie widząc godziny. Dochodziła teraz trzecia, około czwartej miał odwiedzić żonę, która w południe udała się do lecznicy. Była jeszcze godzina czasu. Przypomniał sobie, że tego dnia nie jadł jeszcze nic, zaszedł więc do jakiejś restauracji, choć nie czuł wcale głodu. Jadło jednak nie chciało mu przejść przez ściśnione i suche gardło. Żuł długo jakiś kęs mięsa i przełknął go wreszcie przemocą, potem odsunął talerz z resztą potrawy. Wypił tylko parę kieliszków wódki i siedział osowiały w ciemnym kącie pustej o tej porze sali.

Nie myślał po prostu nic. W głowie czuł jeno ciężką, aż bolesną tępość, która w pewnych momentach jakimś dziwnym prawem kontrastu przechodziła w stan niemal błogiej nieświadomości.

— Wszystko jedno, już wszystko jedno — powtarzał w kółko, nie zdając sobie nawet jasno sprawy ze znaczenia tych wyrazów.

Zbliżyła się wreszcie czwarta. Wstał mechanicznie, bez pośpiechu i zapłaciwszy rachunek, wyszedł na dwór. Uderzyło nań światłem i ciepłem przepojone niemalże wiosenne już powietrze. W zmrużonych przed blaskiem oczach zaroily mu się tłumy przechodniów, wesołe, uśmiechnięte, gwarne, dążące gdzieś, dokądś, po coś... Jakaś uliczna przekupka zbliżyła się doń z koszem niepachnących, cieplarnianych czy też z południa sprowadzonych fiołków. Nie wiedząc nawet co robi, wziął jedną wiązanekę.

Przypomniała mu się naraz wenecka kwiaciarka i purpurowe gwoździki. Obejrzał się mimowolnym ruchem, jakby się spodziewał dojrzeć gdzieś w tłumie Zośkę...

Uśmiechnął się gorzko i fiołki wgniółł niedbale do kieszeni płaszcza.

Zaczął iść, zrazu wolno, potem coraz śpieszniej, aż w końcu spostrzegł, że biegnie prawie, roztrącając zdumionych przechodniów. Umiarkował krok.

— Nie mam się przecież po co śpieszyć — szepnął do siebie.

Było nieco po czwartej, gdy zadzwonił do zamkniętej bramy lecznicy. Wymienił nazwisko żony, wskazano mu numer pokoju na pierwszym piętrze. Szedł już prawie bez wzruszenia, nie zawahał się nawet, naciskając klamkę drzwi.

Leżała w łóżku na wznak, biała jak płótno.

Uczuł nagle zdławienie w gardle i kłiwość około serca, nogi pod nim osłabły jak galareta. Zrozumiał: było już „po wszystkim”. Z trudem zbliżył się do łóżka.

Nie poruszając głowy, uśmiechnęła się doń jasno i przyjaźnie pobladłymi wargami.

— Dobrze, żeś przyszedł. Nie mogę ci nawet ręki podać na powitanie. — Poruszyła lekko dłonią, leżącą na kołdrze. — Lekarz kazał mi leżeć tak bez ruchu co najmniej do jutra.

— Jak się czujesz? — bąknął, aby cośkolwiek powiedzieć.

— Dobrze, tylko jestem strasznie osłabiona. Tak się cieszę, że się to już odbyło i to tak od razu.

Usiadł na krześle przy łóżku i patrzył na jej białe ręce, które w przeciągu paru godzin aż przejrzyste się stały. Doznawał dziwnego uczucia: przejmowała go głęboka, aż z bólem granicząca litość dla tej ukochanej kobiety, a równocześnie wstręt tak niepokonany, że

¹¹⁶*Dumas filis* — Dumas syn. [przypis edytorski]

nie mógł się przemóc, aby pocałować bodaj dłoń jej biedną, na kołdrze bezwładnie leżącą... Nie nienawiść, nie złość, nie oburzenie nawet ani niechęć, tylko wstręt. Po prostu fizyczny. Wstręt wobec pogwałcenia życia, które się w niej i z wolą jej oto dokonało, wobec jakiegoś brudnego, nieludzkiego, przeciwnego naturze targnięcia się na los i prawa przyrody, brutalnego zdeptania jego uczuć i nadziei, zniszczenia w zarodku tego kwiatu, który wszelką miłość oczyszcza i rozgrzesza.

Wczoraj już obawiał się niejasno, że podobne uczucie może nim ovlądnać, ale teraz, gdy pojawiło się tak nadspodziewanie potężne i gryzące, przeraził się i aż zawstydydził.

Przyszło mu na myśl, jak inaczej byłby patrzył na tę kobietę, bezsilną i bladą, gdyby obok niej w tej chwili kwiliło dziecko, dar jej miłosny i łaskawy dla jego umęczonego serca, nowy węzeł zadzierzgnięty między ich duszami, ich krwią, życiem ich całym. Nic z tego. Stała się rzecz nieodwołalna i niepowrotna, i tak bezbrzeżnie głupia, i taka potworna. Targnęła nim rozpacz tak gwałtowna i obłądna, że całą siłą woli musiał się powstrzymać, aby nie wyć jak zranione zwierzę leśne i rąk własnych nie kasać. I żal, żal zalewający wszystko czarnym, cichym morzem.

Stało się.

I naraz w pewnym momencie doznał wrażenia, jakby ta istota przed nim leżąca i do niedawna tak mu droga, była dlań najzupełniej obca. Aż się zadziwił. Podniósł na jej twarz wzrok chłodny, badawczy.

Zauważyła to i coś jakby cień niepokoju przemknął po jej licu.

— Nie gniewasz się? — szepnęła.

— Nie — odparł z roztargnieniem.

— I uspokoiłeś się już?

— Najzupełniej.

— Kochasz?

Zawahał się z odpowiedzią. Wyraz tak często i z głębi duszy do niej mówiony, wydał mu się w tej chwili czymś zupełnie bez znaczenia.

— Owszem, kocham — rzekł nieswoim głosem.

— Pocałuj. Taka jestem biedna...

Uniósł się, aby musnąć ustami jej czoło i usiadł znowu. Głowę miał schyloną, widział tylko jej białe ręce na kołdrze złożone.

Zamajaczyło mu coś w oczach. Jakiś daleki, daleki dzień... Obszerny, niski pokój w weneckiej oberży. Białe dłonie z zaróżowionymi paznokciami, które chłonął w niesytym, rozkochanych pocałunkach...

Jakaś powrotna fala odpływającej już miłości uderzyła nań i gwałtownym spazmem ścisnęła mu pierś. Omal że nie krzyknął i nie padł czołem i ustami na te ręce bezwładnie, na szpitalnej kołdrze cicho biejące...

Przypomniały mu się naraz własne słowa, bodajże do Turskiego przed laty wypowiedziane:

„Kobieta potrafi być tylko naszą nałożnicą, albo matką naszych dzieci...”

Zatrząśł się cały. Znowu uczucie wstrętu jak góra piasku na ostatnią falę się osuwająca...

Spuścił głowę jeszcze niżej i milczał. Czuł, że sytuacja jest nad wyraz głupia i nużąca. Było zbyt wcześnie, nie wypadało mu wstać i odejść. Zaczął szukać w myśli jakiego tematu, choćby najobojętniejszego, aby zacząć rozmowę, i absolutnie nic nie mógł wynaleźć. Nareszcie zauważył, że ona cicho płacze.

Podrażniło go to w pierwszej chwili, a potem naraz jakiś cień smutnej, rozpaczliwie ostatniej nadziei... Jak gdyby z rozbitego okrętu, którego skarby poszły na dno wyłowiona jedna, cenna perła, co może się stać zadatkiem nowego bogactwa...

— O co płaczesz? — spytał miękce i zbliżył się ku niej. — Czy żal ci może w tej chwili tego, co się stało?

— Och, nie! Z tego jestem, bardzo, bardzo rada. Tak mi się ulżyło, jakby jakiś ciężar straszny ze mnie spadł. Ale widzę, że ty nie opamiętałeś się jeszcze zupełnie, gdy wrócę do domu, czekają mnie znowu wyrzuty, przykrości...

Uśmiechnął się przykrym skrzywieniem zmrożonej naraz twarzy.

— Będę się starał nie robić ci przykrości.

Rad był prawie, gdy za chwilę weszła Bergerowa.

Mizoginia

Wdówka przywitała się z nim swobodnie, jeno w kącikach ust zamigotał jej lekceważąco-zjadliwy uśmiech. Zbliżyła się do chorej. Butrym ustąpiwszy jej miejsca, usiadł opodal i słuchał obojętnie, jak rozmawiają z ożywieniem, jak pani Wanda wypytuje się Zośki o szczegóły, a potem rozpowiada jej różne miejskie plotki. Chwilami uderzył go śmiech srebrzysty jednej lub drugiej i znów troskliwa uwaga Bergerowej:

— Moja droga, tylko się nie ruszaj, bo to główna rzecz...

Duszno mu było.

Powstał i zabierał się już do wyjścia, gdy naraz doktor Podkiecki wszedł do pokoju.

Butrym mimo woli spojrział na żonę: uśmiechnęła się z serdeczną wdzięcznością, patrząc na lekarza.

— Czy może przeszkadzam? — spytał trochę niezręcznie.

Podkiecki zwrócił się uprzejmie ku niemu.

— O, nie, bynajmniej! Teraz pani badać nie będę, chciałem tylko zobaczyć, jak się miewa...

Ujął za puls i rzucił okiem na tablicę, na której pielęgniarka zapisała mierzoną niedawno temperaturę.

— Doskonale! Jeśli tak dalej pójdzie, za pięć lub sześć dni będzie pani mogła wrócić do domu.

— Ależ to pysznie się składa! — wykrzyknęła Bergerowa. — Na sam koniec karnawału.

Zwróciła się do profesora:

— Po tym, co żona pańska przeszła i wycierpiała, należy jej się jakieś zadośćuczynienie. Musi jej pan sprawić piękną suknię balową, a potem wysłać ją gdzie nad morze dla odzyskania sił.

— Wyjazd nad morze bardzo by się pani przydał w istocie — wtrącił doktor Podkiecki.

— Tak, tak — przyświadczał Butrym z bezmyślnym uśmiechem.

Pani Zośka zauważyła, że mąż jej nie przywitał się dotąd właściwie z lekarzem.

— Och, panie doktorze — zaczęła — tacy panu wdzięczni jesteśmy oboje! Mietek czekał właśnie aż pan przyjdzie, aby podziękować za tyle dobroci mnie okazanej. Nie wiem czym panu odplacimy...

Podkiecki zwrócił się w stronę profesora z uśmiechem i lekkim ukłonem.

— Drobnostka — rzekł — bardzo chętnie to dla państwa zrobiłem.

Wyciągnął rękę.

Butrym dotknął podanej dłoni i bąknął coś niezrozumiałego.

— Pan o każdej porze może tu żonę odwiedzać, wydam polecenie, ale proszę uważać, aby się pani teraz nie denerwowała — mówił Podkiecki.

— Tak. Będę uważał.

Pożegnał się i wyszedł.

Na korytarzu, kładąc ręce do kieszeni płaszcza, trafił na zmięty bukiet fiołków. Wyjął go i rzucił obojętnie gdzieś poza siebie.

Zaczął zstępować ze schodów. Miał wrażenie, że za każdym krokiem wiodącym go naprzód i w dół, rwą się jakieś niewidzialne nici, do pleców jego, do rąk, do głowy, do nóg przywiązane. Wyciągają się, prężą i pękają. Nie mogą go wstrzymać. Idzie naprzód. Odchodzi od niej. Ciężko mu iść. To takie bolesne. To już nie nici, ale nerwy jego własne, żyły, krwią czerwoną tętniące, sieć cała żywa, którą musi przerwać i iść, iść...

— Stało się — rzekł na ulicy i odetchnął głęboko.

EPILOG

Z czołem przyciśniętym do szyby wagonu patrzył Butrym w noc i pustkę. Deszcz zimny, jesienny ściekał po zamglonym szkle, poza którym błysnęło tylko czasem światło przed domkiem dróżnika lub zapłonęły lampy małej stacyjki, szybko w pędzie mijanej. Nieustanny zadyszany, twardy łoskot kół, czasami gwizd przeciągły, w ciężkim powietrzu bez echa się gubiący i znów szelest łaskotliwy i zaciekły kropel deszczowych w szybie siekących.

W przedziale światła były przyćmione, rolety od strony korytarza zasunięte szczelnie.

Coś się poruszyło w cieniu na poduszkach siedzenia. Profesor zwrócił głowę i począł nasłuchiwać czujnie. Uniósł się wreszcie ostrożnie i spojrział. W słabym obrzasku, przez zieloną na lampie osłonę bijącym, widniała jasna główka dziecięca. Chłopiec oczy miał zamknięte, ale poruszał wargami, jakby rozmawiał z jakimś widzeniem co go snąc we śnie naszło.

Ojciec z zapartym oddechem nasłuchiwał przez chwilę, aż wreszcie widząc, że chłopak śpi znów spokojnie, wrócił na dawne miejsce przy oknie.

— Cóż robić, cóż robić — szeptał do siebie — nie było innej rady!

Siedział znów i dumał.

Przesuwały mu się w pamięci dzień po dniu te miesiące, które upłynęły od owego pamiętnego dnia przedwiosennego. Miesiące męki, szarpania się i coraz głębszego rozdziału. Miesiące, które mu twarz pokryły zmarszczkami i przybieliły siwizną włosy na skroniach.

— Powinienem być już wówczas wiedzieć, że tak się stanie — myślał.

Tak, powinien był wiedzieć, a jednak...

Jednak walczył jeszcze z jakąś rozpaczliwą, nieokreśloną nadzieją, że da się naprawić, to co zepsute już było niepowrotnie, że znajdzie się siła, mogąca zasklepić tę rysę z każdym dniem głębszą i szerszą, i bardziej otwartą. Walczył z własnym żalem, z pamięcią swoją, walczył ze wstrętem, który go od niej odpychał i znów z miłością swoją, co go do nóg jej ciągnęła, pragnąc pokonać jedno z dwojga, które się słabszym okaże. Ale oba uczucia były jednakowo silne — i miłość, i wstręt, więc męczył się w potworny sposób i ją zamęczał przy sobie.

I znowu szukał w jej duszy odruchów, które by mu pozwoliły rozpocząć życie z nią po prostu od nowa. Jak szpieg czatował na jedną myśl jej: aby kiedykolwiek w słowach, w oczach, w zadumaniu bodaj wyczytać, że tego, co się stało, chociażby przez moment jeden żałuje. A kiedy moment taki sam ze siebie nie przychodził, usiłował go wywołać za wszelką cenę w sposób zarówno nierozumny i naiwny, jak okrutny. Bywało, że w rozmowach długich, nasyconych jakąś chorobliwą elektrycznością nerwów, przypominał jej całe przejście, rozgrzebywał każdą okoliczność, każdą bliźnę rozdzierał i z niewypowiedzianą męką dla samego siebie znęcał się nad nią w słowach bezlitośnie, wciąż w głupiej i śmiesznej nadziei, że tą pośrednią drogą wywoła w niej żal, którego czekał jak odkupienia.

A w niej wzbierał istotnie żal, coraz większy i głębszy, ale tylko przeciw niemu.

— Nie umiesz być dobrym! Nie umiesz zapomnieć! — krzyknęła raz.

Rozłożył ręce ruchem bezradnym:

— Nie umiem.

Wreszcie współzycie ich, od dawna już niedobre, stało się teraz jakąś piekielną parodią małżeństwa. Nie było już między nimi rozmowy, która by na obopólnych wyrzutach nie utknęła, nie było postępku, którego by drugie nie brało za cios przeciw sobie wymierzony, wyrazu, za którym nie podejrzewaliby wzajem ukrytego zamiaru obrazy lub dokuczania.

Dla niej stał się mąż czymś najzupełniej obojętnym, co tylko wisiało nad nią, jak zmora życie jej zatruwająca, nie mogła i nie chciała zrozumieć walki, która się w jego duszy, bądź co bądź do obłądzenia ją kochającej, odbywała.

Rzekł raz do niej, w wybuchu szczerości, gdy się na postępowanie jego uskarżała:

— Kocham cię i właśnie dlatego cię męczę!

— Więc raczej nie kochaj, a pozostaw mnie w spokoju! — odparła.

A on myślał ciągle, że właściwie tak łatwo mogłaby ona wszystko zmazać i naprawić!... Jedna, jedna chwila i tylko te słowa z głębi duszy wypowiedziane: „Żałuję tego, co się stało”. Łudził się, że to by wystarczyło.

Ale ona nie umiała kłamać, a żalu nie odczuwała żadnego.

Gdy wreszcie spostrzegł bezcelowość i fałszywość swojej drogi, było już za późno. Byli w dwóch odrębnych światach myśli i uczuć, porozumienie stało się rzeczą wręcz niemożliwą.

Więc oto odjeżdża z synem w świat.

Aby nie wrócić.

Pożegnała go obojętnie, prawie wesoło raczej, jakby zadowolona, że się pozbywa nareszcie gniotącego ją ciężaru. Nie robiła mu żadnych wyrzutów ani wymówek, owszem

zapewniła go na rozstaniu, że dobrze mu życzy. Spokojnie roztrząsała z nim materialną stronę nowego układu ich życia.

Widział, że jest już dla niej niczym, tak dalece niczym, że nawet... dobrze mu życzy, byle tylko przy niej się nie znajdował.

A on, stanowczy na pozór, chłodny i spokojny, drżał cały na zewnątrz. Było już wszystko gotowe, a on odwlekał jeszcze chwilę wyjścia z domu, jakby się jeszcze czego spodziewał, jakby się w ogóle mógł jeszcze spodziewać czego. Wbrew wszelkiej logice i wszelkiemu prawdopodobieństwu zdawało mu się, że stanie się jeszcze coś niespodziewanego, że ona powie jakieś słowo, jakiś gest uczyni, po którym po dawnemu, po dawnemu w ramiona ją ogarnie i okrywać będzie pocałunkami, witając cud nowego świtu, nowego życia wspólnego po tej straszliwej męce ostatnich lat i miesięcy.

Nic z tego.

Podawała mu rękę z lekkim, przelotnym uściskiem.

— Bądź zdrow.

— Bądź zdrowa...

— Przycisnął usta do jej dłoni...

Czuje jeszcze w tej chwili: palą go wargi stęsknione.

Jedzie w świat, aby nie wrócić.

I wiezie miłość swoją ze sobą. Swoje życie zepsute i swój sponiewierany los.

A ona tam została — spokojna, zrównoważona, nic sobie niewyrzucająca, rada, że wolna jest nareszcie...

„Miłość wszystko przebacza” Kto to powiedział? Święty Paweł? Och, nie! Po stokroć nie! Miłość wiele wymaga, przebacza tylko... obojętność.

Miłość

Ukrył twarz w dłoniach.

— Tatusiu — zakwilił rozespany głosik.

Powstał i nachylił się nad posłaniem.

— Śpij, malutki, śpij...

— Kiedy mama tu była...

— Mamy nie ma, synku. To ci się śniło tylko.

— Ale mamusia przyjedzie za nami?

— Tak, tak. Przyjedzie. Może przyjedzie.

Chłopiec usiadł i przecierał oczy piąstkami.

— Czy to jeszcze daleko?

— Oj, daleko! Śpij spokojnie.

— A jak daleko?

— Rano będziemy w dużym mieście. Tam wysiadziemy z pociągu i pójdziemy do takiego dużego hotelu i będziemy chodzić po prześlicznych błyszczących ulicach, a potem prześpimy się w łóżku...

— A potem?

— Potem pojedziemy znów dalej, jeszcze jeden dzień i noc jedną... Malec położył znów głowę na poduszcze.

— Aha, i tam mamusia do nas przyjedzie — mruczał, zasypiając — przyjedzie mamusia i przywiezie mi drewnianego konia, którego zapomniałem zabrać z domu. Ten koń ma wyrwany ogon, ale to nic, bo on i tak biega...

Zaległa znów cisza, mącona jedynie loskotem kół i ciągłym, Nielitościwym siekaniem deszczu o szybę.

Butrym wrócił do pierwotnej pozycji. Wsparł znowu czoło na oknie i patrzył w mroczną, zimną pustkę, z której — zda się — na próżno usiłował uciec pociąg, całą siłą pary pędzący. Pustka i noc szły za nim, ogarniały go, chłonęły. Rozpaczliwy, do zachryplego jęku podobny gwizd wyrwał się z zadyszanych stalowych płuc maszyny i gasł w ciężkim od deszczu i mgły powietrzu.

Zdało się Butrymowi, że patrzy we własną przyszłość swoją.

I naraz zatrząsł się wszystkimi mięśniami.

Niespodziewanie, bez żadnego widocznego powodu, stanęły mu w pamięci — jasno i wyraźnie — zagubione słowa Firdussiego. Jak gdyby kto biczem Nielitościwie ciął go

przez twarz, przez serce. Zwinął się w nagłym bólu, jak robak kolcem przebity. Och, zapomnieć je, zapomnieć na powrót... Kiedy ich już we właściwej chwili nie pamiętał!

Złożone pięście¹¹⁷ przycisnął do ust, czoło wgniół silniej w zimną szybę, jakby chciał zdusić myśli pod czaszką wirującą.

A jednak Firdussi miał słuszność... To także straszne, a przecież proste i jasne, i powinien był o tym i bez słów dziwnego Persa wiedzieć.

„Własne niedołęstwo człowieka, który zeszedł dla kobiety z prawowitej drogi ku gwiazdom, wywołuje grzech dookoła i on w nim ginie. Zgwałcony los się mści — i on poniesie karę — bez oczyszczenia...”

Huczały mu teraz donośnie te słowa w uszach jak łoskot miedziany i złowrogi.

„... i on poniesie karę bez oczyszczenia!”

On sam...

Spojrzał na syna śpiącego cicho z rozchyłonymi ustami i zwinionymi w pięstki drobnymi dłońmi.

A to dziecko? Czy i ono ponosić ma karę?

„Do siódmego pokolenia ścigać was będę...”

Szarpnął się w sobie i oburzył.

Nie poddawać się! Nie poddawać! Proroctwom wszystkim i wszystkim tajemnym mądrościom na przekór tak nie będzie! Poza tą czarną nocą jest świt! Poza tym duszącym, śmiertelnym przygnębieniem życie musi być!

Jeśli nie dla niego, to dla tego dziecka musi być życie. Wychowa je w wielkości duszy, nauczy gardzić ponętą a trupią słodyczą, którą poi kobieta!

Aby syn był lepszy od ojca.

Najwyższe, święte przykazanie życia!

Naraz odczuł raczej niż spostrzegł, że mrok się przeredza. Gdzieś daleko spoza wyplakanych, ciężkich chmur jesiennych wstawał świt przedporanny. A w słabym, szarym obrazku budził się dokoła pędzącego pociągu krajobraz obcy: szeroki, płaski, chłodny.

Butrym patrzył długo na coraz wyraźniejsze zarysy rzadkich drzew, na rozsiane przy drogach domy murowane, na długie, dobrze uprawne zagony ziemi czarnej i tłustej, w rozpaczliwie jednostajną pokrajanej szachownicę.

Wreszcie gwizd przeciągły, triumfalny rozdarł powietrze, pociąg dojeżdżał do stacji wielkiego miasta. Butrym drgnął z lekka i wznosił dłoń, jakby żegnając czy błogosławiąc mrok, który uciekał... Wargi poruszyły mu się mimowolnym, na poły gorzkim, bolesnym na poły szeptem:

— *Laus tibi, femina...*¹¹⁸

¹¹⁷pięście — dziś poprawnie: pięści. [przypis edytorski]

¹¹⁸*Laus tibi, femina...* (łac.) — Chwała tobie, kobieto... [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zulawski-profesor-butrym/>

Tekst opracowany na podstawie: Jerzy Żuławski, Profesor Butrym. Powieść współczesna, Instytut Wydawniczy "Biblioteka polska", Warszawa 1922.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Paulina Choromańska, Urszula Smokowska.

ISBN 978-83-288-5875-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).